REDAGUJE
PROFESOR
JAN ŻARYN

wSIECI

Nr 9–10 (76–77)
WRZESIEŃ–PAŹDZIERNIK 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

wSIECI HISTORII

WRZESIEŃ 1939. NIEMCY I SOWIECI MORDUJĄ POLSKĘ

ZBRODNICZY SOJUSZ

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

eprasa.pl 88a0abcd8b

LOTOS TOTALIZATOR SPORTOWY PANI Tydzień Świat Wiedzy WP LOGO naszemiasto.pl FREENOW Viva!pl Bierhalle McFIT RMF
TVP SIECI HISTORII wPolityce.pl RZECZY GAZETA POLSKA Gazeta Polska codziennie niezależna NOWE PAŃSTWO Komisja Krajowa NSZZ Solidarność EdukacjaFilmowa.pl DEMOTYWATORY.PL FILMWEB PKP INTERCITY
eprasa.pl 88a0ab6d8b

80. ROCZNICA NAJWIĘKSZEJ WOJNY

Pierwszą wojnę światową nazwano Wielką Wojną, bo wydawało się, że ludzkość nie jest w stanie przeżyć większej zbiorowej tragedii. Po jej zakończeniu zaś wielcy pisarze tamtego świata rozpisywali się, jak choćby Erich Maria Remarque w swej słynnej „Drodze powrotnej" (1931), nad zgubnym skutkiem prowadzonej przez cztery lata wojny. Czy cele, które przyświecały narodom w 1914 r., warte były tej ofiary? Główny bohater Ernest, im głębiej powraca do domu, tym mocniej zdaje sobie sprawę z bezcelowości zmagań, w których uczestniczył. Jednak także nie zrozumie życia bez wojny! Niezależnie od tego, czy podzielamy poglądy Remarque'a, czy też nie, to trzeba sobie powiedzieć, że doświadczenie II wojny światowej i trauma wynikająca z jej przebiegu mogły wprowadzić w stan depresji i rezygnacji z dotychczas wyznawanych wartości nie tylko jednostki, lecz również całe narody. Zginęło w niej bowiem dużo więcej osób niż podczas Wielkiej Wojny, ponad 60 mln ludzi, w tym zapewne ponad 6 mln obywateli II RP. Połowę stanowili Polacy, prawie tyle samo Żydzi i Polacy pochodzenia żydowskiego. Tych ostatnich, wraz z pozostałymi Żydami europejskimi, zginęło co najmniej 5,5 mln.

Wojna, która rozpoczęła się za sprawą tajnego układu sowiecko-niemieckiego z 23 sierpnia 1939 r., umożliwiającego napad III Rzeszy na Polskę 1 września, otworzyła nowy rozdział w relacjach między narodami, między ludźmi. Nic już nie było takie samo, wszystkie reguły współżycia opartego na dotychczasowych normach zostały pogwałcone: sojusze i układy międzynarodowe, podpisane dokumenty, godność ludzka. Niemcy, a wtórowali im Sowieci, od samego początku wojny zabijali jeńców wojennych, mordowali ludność cywilną, wciągali swoją V kolumnę w uprawianie zbiorowego ludobójstwa, jak w przypadku zbrodni pomorskiej, która w ciągu kilku miesięcy pochłonęła co najmniej 30 tys. bezbronnych ofiar (a szacunki mówią nawet o 50 tys.). Bezkarność morderców niemieckich rozochociła kolejnych ludobójców, choćby Ukraińców mordujących w sposób bestialski najpierw Żydów, a potem Polaków, m.in. na Wołyniu. Podobną porcją nienawiści odznaczali się członkowie kolaboracyjnych formacji litewskich, którzy od 1941 r. w Ponarach gwałcili i mordowali, a często zarzynali Żydów, grzebiąc ich warstwa po warstwie w tamtejszych lasach. Tyle zła i diabolicznej satysfakcji z jego istnienia w przestrzeni publicznej nasza część Europy nigdy wcześniej nie doświadczyła. I jeszcze, żeby tego było mało, po 1945 r. Polska i Polacy nie mogli się cieszyć wolnością. Nic dziwnego, że także wtedy zarówno w kraju (póki cenzura komunistyczna nie zdławiła jakiejkolwiek myśli), jak i na emigracji zaczęły powstawać nowe „Drogi powrotne". Opowiadania Zofii Nałkowskiej czy Mirona Białoszewskiego wpisywały się w ten depresyjny nurt rozliczeń z wojną, która miała przekreślić sens walki o cokolwiek. Wydaje się, że znaczna część tamtego pokolenia Polaków nie poszła jednak w ślady Ernesta. Mimo traumatycznych doświadczeń, utraty bliskich, majątku, wygnania i zaczynania wszystkiego od nowa, mimo utraty Ojczyzny, tułaczki emigracyjnej, w kulturze polskiej tuż powojennego czasu nie dominuje niechęć do świata wartości, co najwyżej bunt przeciw niesprawiedliwości. Kazimierz Wierzyński pisał w kontekście haniebnego procesu moskiewskiego z czerwca 1945 r.:

Oskarżajcie nas wszystkich, nie tylko szesnastu,
Sądźcie poległych w grobie, to też winowajcy,
Sądźcie szkielet, co z wojny pozostał się miastu,
Gdy wyście jeszcze z diabłem kumali się, zdrajcy.

Oskarżcie także wolność, nieznane wam słowo,
Ten odwieczny zabobon, co zawsze nas dzieli,
Cały kraj polski weźcie, zamknijcie go w celi
I wprowadźcie pod sztykiem na salę sądową.

W tym wierszu jest moc złości i niepogodzenia się z werdyktem mocniejszych od Polski, ale nie ma rezygnacji z polskości. Obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej to dobry czas, by się zastanowić, czy nadal podzielamy ten system wartości, który przyświecał polskim ofiarom II wojny światowej – zarówno tym, którzy zginęli w latach 1939–1945, jak i tym, którzy przeżyli, ale nie poszli drogą Ernesta. Uznali nadal, że walka o Polskę stanowi głębszą wartość niż doświadczenie wojenne odbierane jako droga do całkowitej utraty sensu ofiary, a więc i istnienia.

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 88a0ab6d3b

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 9–10 (76–77) WRZESIEŃ–PAŹDZIERNIK 2019

12 WOJNA, KTÓRA ROZPOCZĘŁA SIĘ ZA SPRAWĄ TAJNEGO UKŁADU SOWIECKO–NIEMIECKIEGO, OTWORZYŁA NOWY ROZDZIAŁ W RELACJACH MIĘDZY NARODAMI, MIĘDZY LUDŹMI – PISZE PROF. JAN ŻARYN

14 LATO ROKU 1939 NIE ZAPOWIADAŁO KATASTROFY: „W SOPOTACH NIE BYŁO TŁUMÓW, ZA TO WISIAŁY FLAGI ZE SWASTYKĄ, A BOJÓWKI SKUTECZNIE ODSTRASZAŁY OD WYSIADANIA Z PĘDZĄCEJ NA HEL LUKSTORPEDY" – PISZE ANNA LISIECKA

3 GŁOS NACZELNEGO
PROF. JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

10 ŻOŁNIERZ, KTÓRY WYGRAŁ WOJNĘ ZE ŚMIERCIĄ; ZŁOTO Z MIASTA ANIOŁÓW
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12 A WIĘC WOJNA!
JAN I MAŁGORZATA ŻARYNOWIE

14 ONI NIE WIEDZIELI
JOANNA PUCHALSKA

16 O JÓZEFIE, DZIADKU KRZYSZTOFA
JERZY DĄBROWSKI

20 ŻEBY NIE ZOSTAŁY PO NICH TYLKO NAPISY NA ŚCIANACH...
KAMIL JANCZAREK

24 Z OBOZU WYSZEDŁ POCHÓD CIENI
BARBARA STEFAŃSKA

26 ZAWÓD DYPLOMATY
ANNA LITWIN

28 ANIOŁY Z DYWIZJONU 307
ZBIGNIEW IZDEBSKI

31 ZAMACH NA HITLERA
MAREK SKOLIMOWSKI

34 SOWIECKIE NALOTY NA WARSZAWĘ
MICHAŁ GRUSZCZYŃSKI

37 ZA NASZĄ CZY WASZĄ WOLNOŚĆ?
KRZYSZTOF JASIEWICZ

40 GUŁAG REMBERTÓW
BOGUSŁAW KOPKA

43 WYBÓR PILECKIEGO
ROZMOWA Z JACKIEM FAIRWEATHEREM

FELIETONY

45 WCIELENIE SOLIDARNOŚCI
GRZEGORZ GÓRNY

61 1944 – ROK NAJMŁODSZEGO PAŃSTWA WIKINGÓW
PAWEŁ SKIBIŃSKI

77 KLUCZ DO PUTINA
MAREK JUREK

90 POLSKA–UKRAINA: ODWILŻ?
RYSZARD CZARNECKI

98 CIEŃ WOJNY
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

101 ZAGADKA SIEROWA
ANTONI DUDEK

101 TEORIA SUSPENSU
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

110 MATKA MŚCISŁAWA
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

POLONIA

46 WIELKA CHWILA. NA EMIGRACJI O WYBORZE KARDYNAŁA KAROLA WOJTYŁY NA PAPIEŻA
KRZYSZTOF TARKA

NAC PREZENTUJE

49 14 GODZIN CHWAŁY
ŁUKASZ KAROLEWSKI

WEHIKUŁ CZASU

50 WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

54 SOBIESCIANA
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

56 WOJNA I OKUPACJA W OCZACH DZIECKA
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

POLSCY WYNALAZCY

58 CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (7)
BOLESŁAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

62 TRUDNE WYBORY SZLACHTY INFLANCKIEJ
HENRYK LITWIN

eprasa.pl 88a0ab6d8b

FOT. NAC (2X); BIBLIOTEKA NARODOWA; IPN

107 WZIĘCI DO NIEWOLI OBROŃCY POCZTY POLSKIEJ PO BEZPRAWNYM PROCESIE ZOSTALI SKAZANI NA ŚMIERĆ ZA RZEKOMĄ „PARTYZANTKĘ" I ROZSTRZELANI NA POLIGONIE NIEMIECKIEJ POLICJI W GDAŃSKU – PRZYPOMINA ŁUKASZ KAROLEWSKI

DAWNO TEMU

65 **SPISEK ORLEAŃSKI**
KAROL ŻOJDŹ

ZDARZYŁO SIĘ

68 **FIŃSKI PIŁSUDSKI**
ERWIN JAN KOZŁOWSKI

71 **JÓZEF HIERONIM RETTINGER I KONIEC EUROPY NARODÓW**
MACIEJ GLOGER

74 **OSTATNI Z WYKLĘTYCH**
RONALD WERELICH

78 **REPRESJE NAWET WOBEC TAKSÓWKARZY**
KAROLINA MĘTRAK

ZIEMIAŃSTWO

80 **ARYSTOKRATA Z RZEŹBIARSKIM DŁUTEM**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PRASPORT

84 **MISTRZ SZABLI, DZIAŁACZ PRON I „ELEMENT PODEJRZANY"**
GRZEGORZ MAJCHRZAK

WŁADCZYNIE

87 **ANNA CYLEJSKA, ŻONA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY, I JEJ CÓRKA**
MAREK BARAŃSKI

GALERIA JEDNEGO DZIEŁA

88 **HISTORIA PEWNEGO LOTU**
PAWEŁ ORZEŁ

PEŁNA KULTURA

91 **LEICA NA FRONCIE**
JOANNA JASTRZĘBSKA-WOŹNIAK

96 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

100 **FINOWIE NA WOJNIE**
KAROL MAZUR

DIABEŁ NIE MÓGŁ

102 **BAROKOWY ABSOLUTYZM ELŻBIETY Z GOSTOMSKICH SIENIAWSKIEJ**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

104 **SYMPATIA DO KOŚCI**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

106 **VICKERS 6-TON**
KACPER GROCHOCKI

HISTORIA OKŁADKI

108 **ROZKAZ: ZABIĆ POLSKĘ!**
MICHAŁ KORSUN

ZE ZBIORÓW MPW

107 **KURICA Z MATKĄ BOSKĄ**
RAFAŁ BRODACKI

OPOWIEŚCI IPN

111 **ZNISZCZENIE POMNIKA CHOPINA W WARSZAWIE**
ROBERT SZCZEŚNIAK

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Bartłomiej Szyperski, bartlomiej.szyperski@fratria.pl
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Fot.: Michał Korsun; Rekonstruktorzy: Michał Kępiński (Fundacja Edukacji Historycznej), Krzysztof Dworenko-Dworkin (GSH „Świdnica"), Tomasz Książek (GRH Ludności Cywilnej), Grajcan „Wilk" Strzelecki, Grzegorz Stój (KMH Warszawa, Projekt REKO) oraz Artur Brewczuk; Kostiumy: Agencja Artystyczna „Retro-Pasje"; Podziękowania dla Małgorzaty Retkowskiej przy realizacji sesji.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

FOT. K.SITKOWSKI/KPRP

Wokół 75. rocznicy rozpoczęcia Powstania Warszawskiego

Z okazji 75. rocznicy rozpoczęcia Powstania Warszawskiego na przełomie lipca i sierpnia w stolicy oraz w wielu innych miejscach Polski odbywały się liczne uroczystości upamiętniające uczestników boju z 1944 r. Tradycyjnie kulminacyjny punkt obchodów przypadł 1 sierpnia. W godzinę „W" miał miejsce apel poległych pod pomnikiem Gloria Victis na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach z udziałem najwyższych władz państwowych, w tym prezydenta RP Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego, a w całej stolicy, tak jak w wielu innych miastach, syreny upamiętniły moment początku powstania. W tym samym czasie na pl. Zamkowym uczestnicy akcji społecznej „Żywy znak dla Powstania Warszawskiego", zorganizowanej przez: SH Polonia Restituta, Fundację Służba Niepodległej oraz warszawskiego KoLibra, oddali hołd bohaterom, ustawiając się w sposób tworzący symbol Polski Walczącej. W godzinach późniejszych odbyły się także uroczystości na cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli oraz kopcu Powstania Warszawskiego. Wieczorem tłumy warszawiaków zebrały się na pl. Piłsudskiego, aby wspólnie śpiewać „(nie)zakazane piosenki". Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Polskiej Tradycji i Kultury odbyły się uroczystości na terenie prawobrzeżnej Warszawy. 5 sierpnia natomiast miały miejsce obchody pod pomnikiem Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas powstania, po których ulicami stolicy przeszedł marsz pamięci na cmentarz Powstańców Warszawy.

Debata z okazji 40-lecia powołania Ruchu Młodej Polski

30 lipca w Centrum Apostolstwa Liturgicznego Sióstr Uczennic Bożego Mistrza w Warszawie odbyła się debata z okazji 40. rocznicy powstania Ruchu Młodej Polski „Między Polską naszych marzeń a Polską, która jest". W dyskusji udział wzięli działacze RMP: Marek Jurek, Marian Piłka, Aleksander Hall oraz Kazimierz Michał Ujazdowski. Paneliści wspominali działalność Ruchu, mówili o jego obliczu ideowym, podkreślali znaczenie wielu jego aktywistów w okresie III RP, a także odnieśli się do bieżącej sytuacji politycznej w Polsce. Organizatorem wydarzenia był Instytut Ordo Caritatis.

Wokół 100. rocznicy traktatu wersalskiego

28 czerwca przypadła 100. rocznica podpisania traktatu wersalskiego, który w imieniu Polski parafowali Roman Dmowski oraz Ignacy Jan Paderewski. Z tej okazji obie izby parlamentu przyjęły okolicznościowe uchwały, a w wielu miejscach kraju odbyły się uroczystości upamiętniające to wydarzenie. W Białymstoku, z inicjatywy lokalnych środowisk patriotycznych, zorganizowano seminarium „Polska zwycięska", podczas którego o okolicznościach i skutkach konferencji wersalskiej mówili m.in. przedstawiciel IPN Waldemar Tyszuk i Dariusz Wasilewski z Fundacji Obowiązek Polski.

Jakub Zuckerman zwycięzcą konkursu na „Pamiątkach" Gintrowskiego

W dniach 12–13 lipca w Regionalnym Centrum Kultury im. Zbigniewa Herberta w Kołobrzegu odbyła się I edycja Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Przemysława Gintrowskiego „Pamiątki". W ramach odbywającej się pierwszego dnia części konkursowej wystartowało 16 artystów z całej Polski, którzy wykonywali pieśni autorstwa patrona imprezy. Finałem tego dnia był program słowno-muzyczny „Autoportret", który w pierwszej części przybrał formułę wywiadu między dziennikarką a bardem, opartego na autentycznych wypowiedziach Gintrowskiego. Z kolei w drugiej części z piosenkami mistrza wystąpili artyści: Jan Tomaszewski, Wojciech Brzeziński i zespół Tango Attack. 13 lipca widzowie m.in. zobaczyli spektakl „Postacie" w reż. Magdaleny Kizinkiewicz, w którym wystąpili studenci Warszawskiej Szkoły Filmowej, oraz wysłuchali piosenki „Tylko kołysanka" w wykonaniu córki patrona Julii Gintrowskiej. Zostały również ogłoszone wyniki konkursu głównego. Zwycięzcą został Jakub Zuckerman z Krakowa. Drugie miejsce zajęła Zuzanna Wiśniewska z Torunia, a trzecie – Bartosz Kaiser z Trójmiasta. Wyróżnieni zostali: Joanna Pasternak z Kołobrzegu, Łukasz Jędrys z Olsztyna i Grzegorz Grunwald z Dębskiej Kuźni. Laureaci otrzymali nagrody ufundowane m.in. przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Państwowy Instytut Wydawniczy, IPN, PKN Orlen i Agencję Muzyczną Polskiego Radia. Organizatorem „Pamiątek" było stowarzyszenie Katolicka Inicjatywa Kulturalna. Patronatem honorowym wydarzenie objęli: wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, senator RP prof. Jan Żaryn, prezes IPN dr Jarosław Szarek i wojewoda zachodniopomorski Tomasz Hinc.

Spektakl „Postacie"

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Obchody 76. rocznicy rzezi wołyńskiej

11 lipca odbyły się uroczystości z okazji Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP. W ich ramach prezydent RP Andrzej Duda złożył wieńce przed pomnikiem Rzezi Wołyńskiej i pomnikiem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty na warszawskim skwerze Wołyńskim. Delegacje najważniejszych władz państwowych oddały także hołd poległym podczas apelu pamięci na pl. Piłsudskiego. Podczas obchodów mocno wybrzmiało jednoznaczne stanowisko polskich władz, domagające się zgody Ukrainy na ekshumacje szczątków ofiar tych dramatycznych wydarzeń.

Wieczór poświęcony Wojciechowi Bogaczykowi

25 lipca w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia" w Warszawie odbył się wieczór wspomnieniowy poświęcony postaci Wojciecha Bogaczyka, historyka, działacza opozycji antykomunistycznej, przewodniczącego Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS, represjonowanego przez władze PRL. Zmarłego wspominali: Wojciech Ciszewski, Ryszard Czarnecki, Marek Jurek, Michał Drozdek i Piotr Semka, a spotkanie prowadził dr Bartłomiej Noszczak.

Obchody 155. rocznicy stracenia Romualda Traugutta

5 sierpnia w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej odbyły się obchody 155. rocznicy stracenia Romualda Traugutta oraz czterech innych członków Rządu Narodowego: Jana Jeziorańskiego, Romualda Żulińskiego, Rafała Krajewskiego i Józefa Toczyskiego. Podczas uroczystości złożono kwiaty w miejscu ich śmierci. Następnie zebrani mogli odwiedzić celę, w której siedział Traugutt oraz zobaczyć fotografie pamiątek po dyktatorze Powstania Styczniowego, przechowywanych w Muzeum im. Ks. Józefa Jarzębowskiego w Licheniu.

Obchody 75. rocznicy powołania Brygady Świętokrzyskiej

11 sierpnia w Warszawie odbyły się obchody 75. rocznicy powołania Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych. W ich ramach odprawiona została msza św. w katedrze polowej Wojska Polskiego, po której odbył się apel pamięci przy Grobie Nieznanego Żołnierza na pl. Piłsudskiego. Obchody zakończyło seminarium w Centrum Konferencyjnym Ministerstwa Obrony Narodowej. Organizatorami uroczystości były Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Związek Żołnierzy NSZ. Patronował im prezydent RP Andrzej Duda.

Hołd dla ofiar Rzezi Woli w miejscu nagłośnionym przez „wSieci Historii"

1 sierpnia prezydent RP Andrzej Duda oddał hołd ofiarom Rzezi Woli przy tablicy upamiętniającej 2 500 Polaków zamordowanych przez Niemców w trakcie tego ludobójstwa, którą po latach zapomnienia otoczyli opieką młodzi mieszkańcy stołecznej Woli. W numerze 11/2018 „wSieci Historii" o tym właśnie miejscu pamięci i inicjatywie młodych warszawiaków pisał w rubryce „Silva Rerum" red. Andrzej Skwarczyński.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR; PIOTR ŻYCIEŃSKI /IPN; FOT. JAKUB SZYMCZYK /KPRP; NSZ

eprasa.pl 88a0ab6d8b

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

IX edycja Festiwalu „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci”

W dniach 26–29 września w Gdyni odbędzie się IX edycja Festiwalu Filmowego „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci”. Planowane są cztery dni wypełnione pokazami filmów, reportażami radiowymi, a także dialogiem kilku pokoleń Polaków. W trakcie imprezy zostanie wręczone wiele ważnych laurów. W tym roku o nagrodę główną „Złotego Opornika” powalczy ponad 25 filmów, m.in. „Jazz na Kalatówkach” Roberta Kaczmarka, „Węgrzy w Warszawie” Tadeusza Pawlickiego, „Powrót” Jolanty Hajdasz, „Milczące pokolenie” Pawła Domańskiego, „Więzy krwi” Dariusza Walusiaka, „Z Gruzji do Krakowa” Piotra Warischa czy „Cudzoziemcy w Powstaniu Warszawskim” Małgorzaty Bramy. Ponadto w ramach Międzynarodowego Przeglądu Filmów Dokumentalnych i Fabularnych zaprezentowanych zostanie wiele wybitnych dzieł. Zobaczyć można będzie najnowszą polską superprodukcję „Legiony” Dariusza Gajewskiego, a także „80 huzarów” Sándora Sára, „Znicz olimpijski” Lecha Lorentowicza, „Wolną Rzeczpospolitą Łupkowską” oraz „Bojowników wolnego słowa” Arkadiusza Gołębiewskiego, „Warszawa Wrzesień 1939” Eugene’a Starky’ego oraz „Sprawiedliwość 2.0” – film wyprodukowany przez Platformę Europejskiej Pamięci i Sumienia. Festiwal NNW to również miejsce realnego wsparcia dla filmów będących jeszcze we wstępnej fazie produkcji. Już po raz czwarty odbędzie się Pitching Forum, czyli publiczna prezentacja projektów będących jeszcze w fazie przygotowań, których twórcy poszukują środków na dofinansowanie produkcji i szeroką dystrybucję. Wysłuchują ich eksperci oraz przedstawiciele instytucji publicznych, sponsorzy i dystrybutorzy. Warto podkreślić, że organizatorzy starają się wspierać autorów na różnych poziomach produkcji, łącznie z fundowaniem stypendiów w postaci nagród, co jest ważne dla twórców niezależnych. W tym roku przeznaczono na to ponad 30 tys. zł. Miernikiem siły realizowanych przez Festiwal NNW pitchingów jest niezwykła skuteczność. W zeszłym roku spośród 12 pitchingujących projektów aż 5 znalazło finansowanie. Tegoroczna edycja Festiwalu będzie nawiązywać do przypadających w br. okrągłych rocznic wybuchu II wojny światowej oraz pierwszej pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski. Organizatorzy przygotowali bogaty program paneli dyskusyjnych z udziałem polskich i zagranicznych gości. Zaproszeni zostali m.in.: Maria Wittner – bohaterka powstania węgierskiego; prof. István Kovács – historyk; Attila Szalai – politolog, pisarz; Kristina Vlachová – czeska dokumentalistka; Pavel Žáček – pierwszy dyrektor Instytutu Badań Reżimów Totalitarnych; dr Anca-Maria Cernea – założycielka rumuńskiego portalu konserwatywnego; oraz Petruška Šustrová – czeska dysydentka. W programie przewidziano wiele atrakcji dla szerokiej publiczności, m.in. występ Kamila Bednarka oraz koncert poświęcony twórczości Krzysztofa Klenczona, pokazy mody historycznej, pokazy kaskaderskie w wykonaniu gwiazd polskiego kaskaderstwa: Krzysztofa Fusa i Krzysztofa Molka, pokazy szermierki filmowej, spektakle teatralne dla dzieci, warsztaty z charakteryzatorką filmową Dorotą Seweryńską, spotkanie ze scenarzystą i reżyserem Maciejem Drygasem oraz kostiumograf Małgorzatą Gwiazdecką. Nie zabraknie również zajęć z operatorami Jackiem Januszykiem i Michałem Bożkiem. Po raz IX odbędzie się także projekt Młodzi dla Historii. Honorowy patronat nad wydarzeniem sprawuje prezydent RP Andrzej Duda. Więcej informacji oraz dokładny program Festiwalu można znaleźć na stronie www.festiwalnnw.pl.

Wyjaśnienie

W magazynie „wSieci Historii” nr 07–08/2019 w materiale Katarzyny Brąkowskiej „Cichociemni aktorzy” (cykl „Narodowe Archiwum Cyfrowe”) w trakcie prac redakcyjnych wypadło zdanie informujące, że tekst powstał na podstawie materiałów archiwalnych otrzymanych z Archiwum Muzeum Polskiego w Rapperswilu.
Za zaistniałą sytuację przepraszamy autorkę oraz wszystkie zainteresowane strony. *Redakcja „wSieci Historii”*

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

17 sierpnia (sobota) oraz 14 września (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

27 sierpnia (wtorek) o godz. 10.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii” w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki”, w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Śp. Tadeusz Łysakowski (1929–2019)

Urodził się 24 lipca 1929 r., syn Adeli (z domu Weigle) i Stefana (Leliwa) Łysakowskiego (syna profesora muzyki Jana, który był wychowawcą Sempolińskiego i Fogga) na warszawskiej Pradze. Mama była ewangeliczką, Ojciec katolikiem. Po nich Obojgu dziedziczył cechy charakteru: od „szwabskiej" umiejętności racjonalnej oceny sytuacji po Mamie, po szlachecko-kresowy, wybuchowy, rzadko dający się opanować, temperament po Ojcu.

Uczęszczał do Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie. Przed wojną i w jej czasie mieszkał z rodzicami w stolicy przy ul. Pierackiego (dziś Foksal).

Opowiadał, jak we wrześniu 1939 r. Jego Mama kupiła kilka kilogramów mąki, cukru i soli, twierdząc, że „...to wystarczy na tę wojnę, która szybko się skończy..."; okleiła też okna paskami z papieru, uważając, że „...to też powinno wystarczyć i szyby na pewno nie wypadną...". Nie wystarczyło – dom na Pradze został częściowo uszkodzony. Po kilku dniach oblężenia uciekli przed niemieckim ostrzałem na Powązki.

W październiku lub w listopadzie 1940 r. pojawiła się Pani Majewska – Żydówka, żona Polaka, przedsiębiorcy pogrzebowego z Pragi, szukając pomocy. Otrzymała ją, a Tata pamiętał to i starał się później odnaleźć ślady kobiety – nie udało się. Był też świadom zagrożenia, jakie niosło z sobą udzielanie jej schronienia przez rodziców.

W styczniu 1943 r. był świadkiem wzięcia przez Niemców Ojca na zakładnika. Historia o tyle ciekawa, że w chwili gdy wyciągano go z mieszkania, we frontowym pokoju ukryty był jeszcze jeden uciekinier. Skoncentrowani na swoim zadaniu Niemcy przeoczyli tego człowieka. Ojciec z więzienia na Dzielnej 24/26, czyli Pawiaka, został zwolniony 19 stycznia 1943 r.

Uczęszczał na tajne komplety, wtedy najprawdopodobniej został wciągnięty do Szarych Szeregów (ps. Kawka i otrzymał stopień kaprala). W konspiracji ćwiczyli w okolicach parku Ujazdowskiego terenoznawstwo kończące się rysowaniem map i nauką tajnego komunikowania się. W czasie Powstania roznosił pocztę i meldunki.

Tadeusz Łysakowski z rodzicami i którąś z kuzynek, 1932 r., Hel

Wraz z rodzicami i siostrą znalazł się w Pruszkowie „Dulag 121 (U)". Dzięki zaradności i kontaktom jego Ojca Stefana wydostali się na „wolność", udając się do Żyrardowa. Ze swoim Ojcem przekradał się do Warszawy jeszcze w listopadzie 1944 r. Potem (1945) wszyscy powrócili do zniszczonej stolicy i mieszkania okradzionego przez znanego wtedy z nazwiska niemieckiego oficera.

Nie wiadomo, kiedy ani jak włączył się w antykomunistyczną konspirację. Najprawdopodobniej było to po powrocie do Warszawy. W efekcie donosu grupa, w której działał, została rozbita. Trzymany i przesłuchiwany był na Koszykowej, Strzeleckiej, a pięć lat, jakie otrzymał wyrokiem WSR, odsiadywał we Wronkach. Śledztwo miało być potworne. Jednym z sadystów był „Szymon", Żyd ubek, strażnik (?) na Strzeleckiej. W celi siedział z Niemcem (esesmanem) o nazwisku Flierl. Ten zaś, obserwując to, co wyczyniali z więźniami przychodzący „do pracy" ubecy, komunikował, że „... gdybyśmy wiedzieli, jak się będziecie wzajemnie traktować, to zostawilibyśmy was w spokoju, wybilibyście się sami...". Miał rację – „władza ludowa" nie była lepsza od niemieckiego okupanta. Do Wronek wieźli ich bydlęcymi wagonami z zadrutowanymi oknami przebranych w niemieckie mundury. W grypsach z więzienia pisał o swoich marzeniach – chciał wyjechać z Polski za granicę i tam zająć się prowadzeniem zakładu fotograficznego. Po roku został wydobyty z więzienia jakimś nadludzkim wysiłkiem przez rodziców.

Po powrocie do domu skończył liceum i rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej, gdzie został asystentem.

W latach 50. wziął ślub z Ewą Pasierbińską. Z tego związku urodziło się dwóch synów.

Później zaś była praca, praca, praca. Do skończenia 90 lat zabrakło Mu czterech dni.

Piotr Łysakowski, syn

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Żołnierz, który wygrał wojnę ze śmiercią

Krok. Nagły błysk i huk. Ciężkie kalectwo, rujnujące dotychczasowe życie. Lub śmierć. To tragedia, która stała się udziałem setek tysięcy żołnierzy i cywilów. Wszędzie tam, gdzie na świecie trwały wojny. Wszędzie tam, gdzie po ich zakończeniu czyhała na nieostrożnych śmiercionośna pamiątka wojennych zmagań. Jest tak od początku XX stulecia, kiedy w wojnie rosyjsko-japońskiej (1904–1905) po raz pierwszy zastosowano na masową skalę lądowe miny przeciwpiechotne. Podobne zdarzenie w 1941 r. – tragiczne w skutkach przypadkowe wejście patrolu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie na szkockiej plaży na pole minowe, mające zatrzymać ewentualny niemiecki desant – okazało się początkiem końca krwawych żniw zagrzebanej w ziemi śmierci.

Wówczas to bowiem poruszony nieszczęściem towarzyszy broni por. Józef Kosacki (1909–1990, przedwojenny absolwent Politechniki Warszawskiej i inżynier elektryk, po zakończeniu II wojny światowej i powrocie do kraju pracownik Państwowego Instytutu Telekomunikacji i Przemysłowego Instytutu Telekomunikacyjnego) przystąpił z pomocą por. Andrzeja Garbosia do pracy nad skonstruowaniem praktycznego, a zarazem bezpiecznego dla saperów wykrywacza min. Pomysł polegał na wykorzystaniu fal radiowych do wykrywania znajdującego się w ziemi metalu. Wykrywacz min Kosackiego wygrał konkurencję z kilkoma innymi projektami anglosaskich konstruktorów i uzyskał entuzjastyczną akceptację brytyjskiego rządu. Sam wynalazca zrzekł się przy tym dobrowolnie patentu (zadowalając się jedynie dziękczynnym listem angielskiego króla Jerzego VI) i przekazał wykrywacz nieodpłatnie do produkcji i wyposażenia alianckich armii. Pierwsze praktyczne próby prototypu przeprowadzono w miejscowości Bari w Szkocji w marcu 1942 r. Jeszcze w tym samym roku wynalazek por. Kosackiego – jako „Polish Mine Detector" – po raz pierwszy został użyty w boju w Afryce Północnej podczas zmagań pod El-Alamein. Pozwolił on Brytyjczykom sprawnie sforsować niemieckie pola minowe, przyczyniając się walnie do ich ostatecznego zwycięstwa.

Wykrywacz min stosowany do końca II wojny światowej i wszędzie tam, gdzie w drugiej połowie XX w. wybuchały konflikty zbrojne, uratował zapewne tysiące istnień ludzkich. Wynalazku Kosackiego użyto na polu walki choćby podczas wielkiej wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r. Pamiętajmy o polskim żołnierzu, który na wojnie wygrał wojnę z samą śmiercią.

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Złoto z Miasta Aniołów

Powodem do dumy Polaków w okresie międzywojnia były nie tylko osiągnięcia w dziedzinie budowania państwa (jego ustroju, ładu społecznego i gospodarki), odkrycia i wynalazki polskich uczonych, sukcesy rodaków na niwie oświaty i kultury. Rzeczpospolitą rozsławiali również polscy sportowcy. Wśród nich piękna, ale i tragiczna historia życia szczególne miejsce przyznała Januszowi Kusocińskiemu, nazywanemu powszechnie przez rodaków „Kusym".

Przyszły mistrz międzywojennej polskiej i światowej lekkoatletyki przyszedł na świat w 1907 r. w Warszawie. Życie hartowało go od wczesnej młodości. Spośród piątki rodzeństwa Janusza jeden z braci zginął na froncie Wielkiej Wojny we Francji, drugi – podczas zmagań Rzeczypospolitej z sowiecką Rosją. Spośród trzech sióstr najmłodsza i najukochańsza zmarła przedwcześnie w 1929 r. „Kusy" rozpoczął karierę sportową w połowie lat 20. jako piłkarz, aby później poświęcić się całkowicie lekkiej atletyce i biegom. W latach 30. zdobywał wielokrotnie tytuły mistrza Polski oraz bił kolejne rekordy na średnich i długich dystansach. Opracował też swoją interwałową metodę treningu, którą próbowali naśladować inni lekkoatleci. Kusociński rozsławił młode polskie państwo przede wszystkim na letniej olimpiadzie w Los Angeles w 1932 r., gdzie zdobył złoty medal w biegu na 10 km (pokonując czołówkę światowych biegaczy, a zwłaszcza swych wielkich rywali – Finów Lauriego Virtanena i Volmari Iso-Hollo) oraz dwa lata później podczas mistrzostw Europy, na których zajął drugie miejsce w biegu na 5 km.

II wojna światowa dołożyła do kart pięknych sportowych wyczynów, zapisanych przez „Kusego", również heroiczny rozdział. W kampanii wrześniowej 1939 r. zgłosił się do wojska na ochotnika i został dwukrotnie ranny w obronie Warszawy. Od początku okupacji niemieckiej zaangażował się w działalność konspiracyjną. Najpierw kolportował prasę Polskiego Państwa Podziemnego, później podjął wysiłki, aby zorganizować specjalną komórkę Związku Walki Zbrojnej wśród sportowców. Założył także tajną Organizację Wojskową „Wilki". To właśnie jej dekonspiracja w 1940 r. przyczyniła się do aresztowania polskiego mistrza przez gestapo. Podczas pobytu w więzieniu był bestialsko torturowany w celu wymuszenia zeznań, których złożenia konsekwentnie odmawiał. Zginął rozstrzelany przez Niemców w 1940 r. w Palmirach Puszczy Kampinoskiej, w ramach Akcji AB, mającej na celu eksterminację polskiej inteligencji.

FOT. NAC

27/0519/F

eprasa.pl 88a0ab6d8b

LATO Z KSIĄŻKĄ

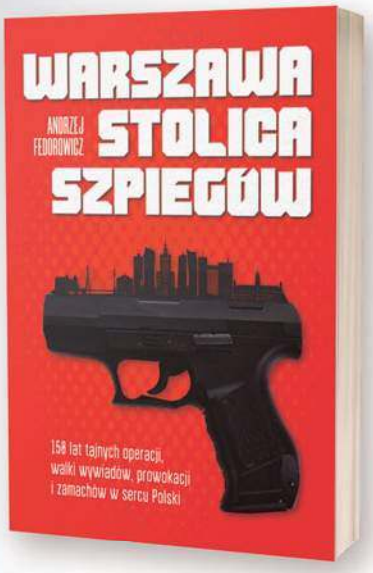

WARSZAWA, STOLICA SZPIEGÓW

Andrzej Fedorowicz

Autor bestsellera „Słynne ucieczki Polaków" powraca z nową książką!

- **150 lat tajnych operacji, walki wywiadów, prowokacji i zamachów w sercu Polski.**
- **Szpieg, który pokochał Polskę; łamacze Enigmy; tajemniczy Ryszard Kukliński i inni!**

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

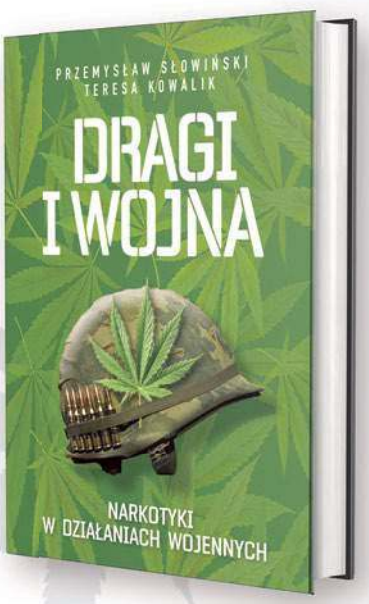

DRAGI I WOJNA

Narkotyki w działaniach wojennych

Przemysław Słowiński, Teresa Kowalik

Jak wzmocnić w żołnierzu wojownika? Najlepiej – narkotykami. Cudowną pigułką, która sprawi, że stanie się maszyną do zabijania.

- **Co wdychali niezwyciężeni żołnierze Aleksandra Wielkiego?**
- **Ile milionów tabletek metaamfetaminy wyprodukowały państwowe laboratoria III Rzeszy?**

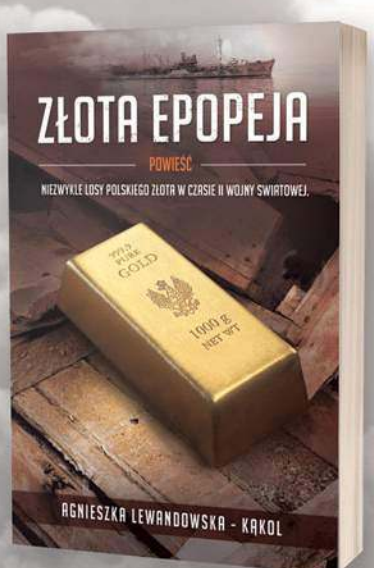

ZŁOTA EPOPEJA

Agnieszka Lewandowska-Kąkol

Pierwsza powieść o dramatycznych losach polskiej rezerwy złota w czasach II wojny światowej!

- **Oficerowie od zadań specjalnych, bankierzy i pierwsza polska medalistka olimpijska.**
- **Złoto warte 463, 6 mln złotych. Odwaga i poświecenie – bezcenne.**

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL; TEL. 22 836 54 45

wydawnictwo FRONDA

ZONA ZERO

eprasa.pl 88a0ab6d8b

A WIĘC WOJNA!

PUBLIKUJEMY FRAGMENTY NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI MAŁGORZATY I JANA ŻARYNÓW „ROK 1939. OD BEZTROSKI DO TRAGEDII" PRZYGOTOWANEJ PRZEZ WYDAWNICTWO BIAŁY KRUK. ZACHĘCAMY DO LEKTURY!

24–27 czerwca 1939

W Gdyni odbył się XV Zjazd Związku Muzeów w Polsce. Jego celem było opracowanie planu zabezpieczenia zabytków w obliczu zbliżającego się kataklizmu wojennego. Opis programu wydano w formie broszury. Zjazd wystosował pismo do Wydziału Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego „z prośbą o jak najrychlejsze spowodowanie rozesłania do wszystkich muzeów instrukcji w sprawie pogotowia i zabezpieczenia zbiorów na wypadek wojny" [za: Diana Błońska, „W obliczu kataklizmu. Zabezpieczenie zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie przed pierwszą i drugą wojną światową", „Dzieje Najnowsze" Rocznik XLIX – 2017, 1.]. Zgodnie z oczekiwaniami środowiska Wydział Sztuki wydał następujące wytyczne: „Zabytki ruchome: archiwa, biblioteki, muzea, zbiory publiczne i prywatne, skarbce kościelne oraz cenniejsze zabytki należące do korporacji publiczno-prawnych i osób prywatnych [zaleca się chronić na miejscu]. Natomiast ewakuacją mają być objęte wyłącznie wyjątkowej wartości dzieła sztuki przede wszystkim polskiej, rękopisy, stare druki oraz archiwalia dotyczące historii państwowości polskiej".

Środowisko muzealników, konserwatorów, bibliotekarzy już od początku 1938 r. alarmowało opinię publiczną w sprawie konieczności zabezpieczenia dziedzictwa narodowego. Podejmowało także działania we własnym zakresie. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, już w kwietniu polecił pracowni stolarskiej wykonanie specjalnych skrzyń do przechowywania i transportu dzieł sztuki. W drewniane kufry obite blachą cynkową pakowano zarówno eksponaty miejscowe, jak i artefakty z innych placówek. 25 sierpnia zaczęto pakowanie i znoszenie zabezpieczonych dzieł do podziemi. Wśród nich były także pochodzące z prywatnej kolekcji Raczyńskich z Rogalina, które Lorentz dołączył do zasobów muzealnych na prośbę właściciela. Podobnie, szukając dla swych zbiorów schronienia, postępowali posiadacze innych prywatnych kolekcji. Czartoryscy próbowali ukryć najcenniejsze dzieła swej kolekcji w pałacu w Sieniawie. Jednak ani „Damy z łasiczką" Leonarda da Vinci, ani „Krajobrazu z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta, ani „Portretu młodzieńca" Rafaela nie zdołali uchronić przed rabunkiem. Tarnowscy część zbiorów wywieźli do Muzeum Lubomirskich we Lwowie. Potoccy pozostawili swoje w łańcuckim zamku.

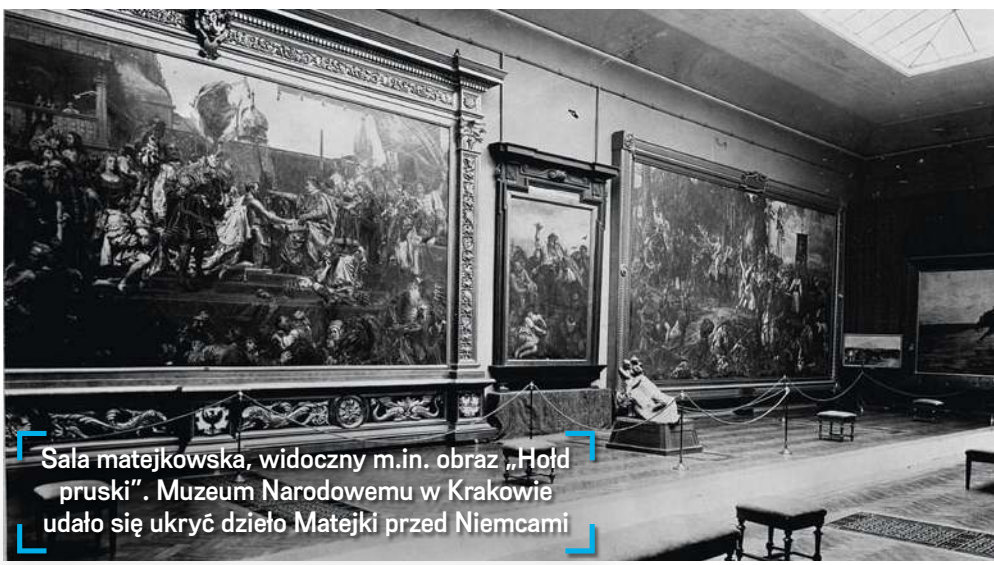

Sala matejkowska, widoczny m.in. obraz „Hołd pruski". Muzeum Narodowemu w Krakowie udało się ukryć dzieło Matejki przed Niemcami

Przed stołecznym Towarzystwem Zachęty Sztuk Pięknych stanęło niełatwe zadanie ukrycia obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem", który ze względu na tematykę – zwycięstwa Polski nad Krzyżakami – był szczególnie zagrożony zniszczeniem. Płótno zwinięto i w specjalnej skrzyni przewieziono do Muzeum Lubelskiego pod opiekę prof. Władysława Woydy. Na nic nie zdały się niemieckie pogróżki ani obietnice. Matejko pozostał w ukryciu na wsi lubelskiej do 1944 r.

Inne dzieło mistrza, „Hołd pruski" przechowywany w Muzeum Narodowym w Krakowie, także miało ciekawe losy. Wywiezione w początkach września do Zamościa było o włos od konfiskaty, ponieważ Niemcy deptali już po piętach ukrywającym. 17 września podjęto ryzykowną, ale jakże skuteczną decyzję powrotu z obrazem do Krakowa. Tam, w podziemiach Muzeum Narodowego, przetrwał on do końca wojny.

3 września Adolf Szyszko-Bohusz, dyrektor Państwowych Zbiorów na Wawelu, postanowił o ewakuacji skarbów – przede wszystkim arrasów. Akcja przeprowadzona pod kierunkiem długoletniego kustosza Wawelu prof. Stanisława Świerz-Zalewskiego była spektakularna. Z braku innego transportu 250 tkanin zostało spławionych Wisłą na barkach do Kazimierza Dolnego. Stamtąd przez Rumunię, Francję, Wielką Brytanię 12 lipca 1940 r. dotarły do Kanady.

FOT. NAC (2X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Przemówienie premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego, grudzień 1938 r. 2 września 1939 r. przemowę szefa rządu zakłócały odgłosy wojny

Kraków posiadał wiele bezcennych zabytków, o których losy należało się obawiać. Eksponaty z Muzeum Narodowego w połowie sierpnia zostały ukryte w schronie przeciwlotniczym, w który został wyposażony, oddany do użytku rok wcześniej, nowy gmach muzealny. Ołtarz Wita Stwosza w Bazylice Mariackiej był przedmiotem szczególnej troski polskich historyków i muzealników. Autor pochodzący z Norymbergi według kryteriów rasistowskich był reprezentantem sztuki niemieckiej i jego dzieło powinno „wrócić" do Rzeszy. W sierpniu więc podjęto decyzję o zdemontowaniu i wywiezieniu ołtarza. Akcją kierował historyk sztuki dr Karol Estreicher. Wspominał po latach: „Rozmontowano i wyjęto z ołtarza mariackiego najważniejsze rzeźby i płaskorzeźby. Przetransportowano je Wisłą do Sandomierza, w drewnianych pakach. Były bardzo starannie owinięte i zabezpieczone. Złożono je w tamtejszym seminarium duchownym i w katedrze. Natomiast pusta szafa ołtarza została przykryta dywanami i stała tak do marca 1940 roku, do czasu, kiedy niemieckie władze okupacyjne postanowiły wywieźć ją do Norymbergi" [www.polskieradio.pl/,Oltarz-Wita-Stwosza-takiej-szafy-niema-nikt-na-swiecie]. Niestety w wyniku donosu Niemcy odnaleźli także figury. Po krótkim pobycie w skarbcu Rzeszy w Berlinie zostały one przewiezione do Norymbergi.

Podobny los mógł spotkać jeden z 45 zachowanych egzemplarzy „Biblii" wydrukowanych przez Jana Gutenberga (Niemca), przechowywany w Bibliotece Seminarium Duchownego w Pelplinie. Na polecenie władz diecezji chełmińskiej latem 1939 lokalny rymarz Antoni Gutowski sporządził specjalnie zabezpieczony wyścielany poduszkami skórzany kuferek. W nim wywieziono drogocenną księgę do Warszawy i zdeponowano w najnowocześniejszym wówczas schronie Banku Gospodarstwa Krajowego. Miejsce znalazły tam także bezcenne rękopisy i zabytki piśmiennictwa z Biblioteki Narodowej, np. Psałterz Floriański, Rocznik Świętokrzyski, oryginalne rękopisy Chopina. Wkrótce jednak okazało się, że stolica jest przedmiotem zmasowanego ataku Niemców i żadne pomieszczenie nie gwarantuje bezpieczeństwa. 18 września został ewakuowany skarbiec bankowy, a wraz z nim bezcenne zabytki. Ich podróż zakończyła się w Kanadzie.

Według dr Anny Jagodzińskiej z IPN Niemcy zrabowali w Polsce ok. 516 tys. dzieł sztuki, o których istnieniu świadczyły inwentarze. Po zakończeniu wojny część zrabowanych przedmiotów zdołano rewindykować. Duża była w tym zasługa Karola Estreichera, który po wyjeździe z Polski został mianowany na szefa Biura Rewindykacji i Strat Materialnych przy Rządzie Polskim w Londynie. Na podstawie danych pozyskiwanych od przedwojennych muzealników opracował „Katalog strat kultury polskiej pod okupacją niemiecką", dzieło, które po II wojnie światowej pozwoliło udokumentować polskie roszczenia do utraconych artefaktów. Rabunek na ziemiach polskich pod okupacją sowiecką zaczął się rok później [zob. więcej, A. Jagodzińska, „Grabież dóbr kultury polskiej 1939–1945", „wSieci Historii", nr 5 (72), maj 2019].

[...]

2 września 1939

W drugim dniu wojny w gmachu parlamentu przy ul. Wiejskiej odbyły się ostatnie posiedzenia Sejmu i Senatu RP. Mimo alarmów ruch w mieście był w miarę normalny. Jednak podczas posiedzenia Sejmu RP i przemówienia szefa rządu towarzyszyły posłom detonacje i strzały artyleryjskie. Ostatnie, 20. posiedzenie V kadencji Senatu RP rozpoczęło się po zamknięciu sejmu o godzinie 15.55 i trwało jedynie 25 minut. Głos zabrał marszałek Bogusław Miedziński: „Wysoka Izbo! Na oświadczenie Szefa Rządu [Felicjana Sławoja-Składkowskiego – M.J.Ż.] odpowiedzieć chcę w imieniu Senatu Rzeczypospolitej, zespolonego, jak cały naród, w jednej myśli w jednym uczuciu. Nie ma ceny na ziemię polską i honor Polaków (Oklaski). Nie ma siły, która by te dwa skarby najwyższe potrafiła nam wydrzeć (Oklaski). Opętana pycha i przebiegła obłuda złego sąsiada znajdzie w tej ziemi opór bezwzględny i niezłomny (Oklaski)". Porządek obrad w obydwu izbach był bardzo skromny. Najpierw posłowie, a następnie senatorowie przyjęli tego dnia nowelizację ustawy o zmianie ordynacji wyborczej do parlamentu umożliwiającą parlamentarzystom w tej nadzwyczajnej sytuacji podjęcie służby wojskowej bez utraty mandatu. Kolejne posiedzenie Senatu RP odbyło się dopiero 4 lipca 1989 r., po wyborach z 4 czerwca; z kolei pierwsze posiedzenie sejmu RP, po w pełni wolnych wyborach z 27 października 1991 r., odbyło się 25 listopada.

Spośród 1700 parlamentarzystów II RP (1919–1939), w tym 361 senatorów (począwszy od pierwszej kadencji senatu z lat 1922–1928), w latach II wojny światowej zginęło, zostało zamordowanych lub zmarło w obozach, z rąk okupantów niemieckiego i sowieckiego, blisko 300 parlamentarzystów, w tym aż 155 senatorów. Posłowie i senatorowie RP, którzy zginęli w czasie wojny, są uwiecznieni na tablicach imiennych w gmachu polskiego parlamentu. Wśród nich odnajdujemy m.in. nazwiska marszałka Sejmu RP z lat 1922–1928 Macieja Rataja czy też parlamentarzystów: Stanisława Dubois z PPS i prof. Romana Rybarskiego z SN, zamordowanych w KL Auschwitz. Z rąk niemieckich zginęło ok. 200 parlamentarzystów, z rąk sowieckich 100.

Więcej informacji o książce: https://bialykruk.pl/ksiegarnia/ksiazki/rok-1939-od-beztroski-do-tragedii

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Plaża Cienista w Zaleszczykach

ONI NIE WIEDZIELI

PIĘKNE LATO ROKU 1939 NIE ZAPOWIADAŁO KATASTROFY. O TYM, JAK SPĘDZALI JE LUDZIE W POLSCE, PISZE ANNA LISIECKA W KSIĄŻCE „WAKACJE 1939": „W SOPOTACH TEGO LATA NIE BYŁO TŁUMÓW, ZALEDWIE JAKIEŚ DWA TYSIĄCE GOŚCI. ZA TO WISIAŁY FLAGI ZE SWASTYKĄ, A BOJÓWKI SKUTECZNIE ODSTRASZAŁY OD WYSIADANIA Z PĘDZĄCEJ NA HEL LUKSTORPEDY"

JOANNA PUCHALSKA

Morze, nasze morze

Od 1922 r. można było dotrzeć pociągiem aż do Helu. Po Zatokach Gdańskiej i Puckiej pływano wpław, kajakami, rowerami wodnymi, motorówkami i na nartach wodnych. Przy plażach czekały nowoczesne letniska, lecz Kazimierz Wierzyński po latach wspominał z nostalgią tę tradycyjną holenderską zabudowę: „Bardzo lubiłem te domy z szelkami belek na zewnątrz". Poeta bywał też w Jastrzębiej Górze, gdzie nocą „z daleka przelatywała powietrzem świetlista miotła latarni morskiej w Rozewiu". Jednak w 1939 r. ze świeżo poślubioną żoną wybrał się do Juraty, gdzie przyjeżdżały gwiazdy filmu i rewii: Bodo, siostry Halama, Maria Bogda, Tola Mankiewiczówna, Tacjanna Wysocka. Tego roku zawitał Jan Kiepura z Martą Eggerth i 25 lipca wystąpił na placu Grunwaldzkim w Gdyni. Na koniec zaśpiewał „Rotę", publiczność podchwyciła.

Jak donosiła prasa, woda w Bałtyku miała 27 stopni, a temperatura na wydmach dochodziła do 53 stopni.

Zakopane, Zakopane

W wakacje 1939 r. byli tu niemal wszyscy. Makuszyński, Witkacy, Rafał Malczewski, Fryderyk Jarossy z Zofią Terné, Stefania Grodzieńska z Jerzym Jurandotem. Jarossy i Jurandot pracowali nad spektaklem „Żyć nie umierać", planowanym na 2 września, a Marian Hemar – nad piosenkami do rewii politycznej „Pakty i fakty", której inauguracja miała się odbyć też 2 września. W podhalańskim entourage'u kontynuowali swój romans Tadeusz Boy-Żeleński i „gorszycielka" Irena Krzywicka.

W sierpniu przyjechał tu z rodzicami przyszły historyk sztuki i znawca modernizmu, ośmioletni wówczas Andrzej Olszewski. Zapamiętał, że w porze fajfów z zakopiańskich lokali dobiegała melodia tanga-fokstrota „Serenada włóczęgi". Wieczorem na Krupówkach było jaśniej niż na warszawskim Nowym Świecie.

Do Truskawca na łyk „naftusi"...

...lub na inne wody zdrojowe czy na niezwykle skuteczne borowiny. Tu wybrała się Zofia Nałkowska leczyć drogi żółciowe, popijać „naftusię" i poddawać się masażom. Odwiedził ją jej protegowany oraz wielbiciel Bruno Schulz i udali się razem do Drohobycza. Pokazał jej „ulicę Krokodyli", czyli ulicę Stryjską.

W czerwcu do Truskawca przyjechał Wincenty Witos, aby podreperować nadwątlone siły, a na przełomie lipca i sierpnia zjawiła się uwielbiana przez wszystkich Mieczysława Ćwiklińska. Na dancingach grano przebój Hanki Ordonówny „Każda z pań moderne".

Dwa uzdrowiska Marii Dąbrowskiej

Przyjeżdżająca od 12 lat do beskidzkiego Jaworza pisarka w czerwcu 1939 r. zjawiła się ze swoim towarzyszem życia Stanisławem Stempowskim. W sierpniu pojechała na Kujawy do Ciechocinka na

Na łyk „naftusi" – do Truskawca

TRUSKAWIEC. Droga do Naftusi. Grzybki — przechowalnie szklanek.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

dalszą kurację, już bez Stempowskiego. W tym samym czasie przyjechał tu Jan Lorentowicz, wcześniej z grupą polonistów wileńskich podróżujący po Kresach. 26 sierpnia Lorentowicz napisał do córki Ireny, malarki i scenografki, przebywającej w Paryżu, prosząc, by jednak tam została, bo bezpieczniej wydaje się nad Sekwaną.

Maria Dąbrowska i Stanisław Stempowski w uzdrowisku

Tu szum Prutu, Czeremoszu...

Do Kosowa Huculskiego, leżącego jeszcze dalej na południe niż Zaleszczyki, tłumnie ściągali artyści i politycy, wabieni sławą sanatorium doktora Apolinarego Tarnawskiego. Tego lata wybrała się też stryjeczna siostrzenica Marii Dąbrowskiej, śliczna Elżbieta Barszczewska. Właśnie w oczekiwaniu na piękną pogodę trwała przerwa w zdjęciach do filmu „Nad Niemnem", który miał wejść na ekrany we wrześniu.

W Bystrzecu mieszkał Stanisław Vincenz, pisarz, filozof i piewca Huculszczyzny. Latem zawsze miał gości. Z Vincenzem przyjaźnił się Józef Wittlin, który w lipcu wyjechał do Francji, a wtedy jego żona Halina z siedmioletnią córeczką Elżunią wybrała się do Jaremcza nad Prutem, dokąd wkrótce na motorze dotarł słynący z ciętego pióra publicysta Karol Zbyszewski. Właśnie ukazał się nakładem wydawnictwa Rój jego „Niemcewicz od przodu i tyłu" i wywołał skandal.

W Krynicy nie tylko Kiepura

Na przełomie lipca i sierpnia bawił tu hrabia Jan Szembek, najbliższy współpracownik Józefa Becka. Rozmawiał wiele z księciem Olgierdem Czartoryskim, który uważał, że Hitler jednak nie zdecyduje się na wojnę.

W lipcu 1939 r. pojawił się w Krynicy generał Roman Górecki, który podobno zainspirował Tadeusza Dołęgę-Mostowicza do stworzenia postaci Nikodema Dyzmy. Miał zamiar wystąpić z ostrymi pismami do księcia Coburga i ambasadora von Moltke. Hrabia Szembek grzecznie go poprosił, by najpierw omówił tę sprawę bezpośrednio z ministrem Beckiem.

A może wybrać się do Zaleszczyk?

Przyjeżdżała tu towarzyska śmietanka. W wakacje 1939 r., po wypoczynku w Zakopanem, zjawili się Fryderyk Jarossy z Zofią Terné i Jerzy Jurandot ze Stefanią Grodzieńską. Zamieszkali w pensjonacie nad Dniestrem. Z Zaleszczyk mogli robić wypady do Okopów Świętej Trójcy, słynnej warowni I Rzeczypospolitej, i do Jazłowca, gdzie 9 lipca kardynał August Hlond koronował figurę Matki Boskiej Jazłowieckiej. Leżące w czarnomorskiej strefie klimatycznej Zaleszczyki w prasowych ogłoszeniach zapraszały chętnych na wrześniowo-październikowe winobranie.

Urlop głowy państwa

W czerwcu Ignacy Mościcki był w swojej rezydencji w Spale i podczas procesji Bożego Ciała prowadził celebransa pod rękę. Potem pojechał do Wisły, do prezydenckiego modernistycznego zameczku, zaprojektowanego przez Adolfa Szyszkę-Bohusza. Musiał wiedzieć więcej niż zwykli śmiertelnicy, przecież mimo kanikuły ciągle odbywał narady ze swoim sztabem. Jednak pod koniec sierpnia wrócił do Spały i tu go zastał 1 września.

Kresy i dwory

Tego lata Wierzyńscy dużo podróżowali: Muszyna, Kazimierz, Jurata, Nowogródczyzna. W krainie Mickiewicza odwiedzili Śnieżyce, majątek, skąd pochodził Stanisław Baliński, dyplomata i poeta. Potem byli w Czombrowie, dworze będącym pierwowzorem Soplicowa. Poeta napisze później wiersz o Pensylwanii: „Miła moja, tu rosną krwawniki / jak w Czombrowie ostatnich wakacji". Odwiedzili należące do Janiny i Adama Żółtowskich Bolcienniki, wiano właścicielki, de domo Puttkamerówny, prawnuczki słynnej Maryli z Wereszczaków. I złożyli kwiaty na grobie Maryli w Bieniakoniach.

A letnia pora nie trwa, jak obiecywała

Od 24 sierpnia zaczęły przychodzić powiadomienia z powołaniami. Tego dnia wrócili z Jastarni do Łodzi Zygmunt i Zofia Hertzowie. Zygmunt miał tylko tyle czasu, aby się spakować. Żołnierz rekwirujący piękny samochód państwa Hertzów obiecał, że będzie się nim opiekował.

W czwartek 31 sierpnia mobilizacja stała się powszechna. Rekwirowano samochody, motocykle i konie. Książę Olgierd Czartoryski, który w Krynicy głosił, że wojny nie będzie, tego dnia wyjechał do swojego Baszkowa w Poznańskie, by już nazajutrz, jak wielu Polaków, uciekać na wschód.

Grydzewski, Słonimski, Tuwimowie i Baliński w drodze do granicy schronili się u Kuncewiczów w Kazimierzu. Gdy ruszali dalej, Tuwim na pożegnanie ukłonił się teatralnie i powiedział niby żartem: „Oto Julian Tuwim, poeta polski, idzie na wygnanie". Kuncewiczowie także zdecydowali się na wyjazd, a droga wypadła przez piękny Kosów Huculski. Również mistrz Tadeusz Pruszkowski, który przez wiele lat ściągał tu studentów na malarskie plenery, zostawił swój dom w Kazimierzu i przeprowadził się do Warszawy, gdzie w 1942 r. zginął zastrzelony przez Niemców.

Państwo Wierzyńscy 25 sierpnia wrócili z wojaży do stolicy. Opuścili ją 6 września. Podobnie jak Marian Hemar, Stanisław Baliński i wielu innych już nie wrócili do Polski.

„A lato było piękne tego roku" – powie inny poeta. Wyjątkowo słoneczne i urodzajne. Pod koniec tego pięknego lata i ludziom z pierwszych stron gazet, i tym mniej znanym, i zwykłym śmiertelnikom świat zwyczajnie się zawalił, burząc plany, nadzieje, marzenia, perspektywy. My wiemy, czym się skończyły wakacje 1939 r. Oni nie wiedzieli – jak pisze we wstępie autorka tej niezwykłej książki.

Anna Lisiecka, „Wakacje 1939", Wydawnictwo Muza SA, Warszawa 2019

FOT. NAC; BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Józef Unrug, 16 lat

O JÓZEFIE, DZIADKU KRZYSZTOFA

KRZYSZTOF UNRUG, WNUK PRZEDWOJENNEGO POLSKIEGO ADMIRAŁA FLOTY, PEŁNI FUNKCJĘ BURMISTRZA WE FRANCUSKIM MIASTECZKU MONTRÉSOR

JERZY DĄBROWSKI

Od lat w Montrésor, francuskim miasteczku położonym w sąsiedztwie zamków nad Loarą, osiedlali się Polacy. Zawsze po niedzielnej mszy świętej nasi rodacy długo dyskutują, stojąc pod kościołem. Francuzi rozchodzą się od razu do swoich domów. – Od dziecka pamiętam tę specyficzną atmosferę – mówi Krzysztof Unrug. – Polacy nie przybywali tu do pracy, o którą zawsze było w naszym miasteczku trudno. Głównie byli to emigranci polityczni i wojskowi tacy jak mój dziadek, Józef, który przyjechał tu z żoną Zofią pod koniec swojego życia.

Krzysztof pamięta dziadka jako już starszego, dystyngowanego pana. Zawsze był starannie ubrany, o nienagannych manierach, surowy i małomówny. Zupełnie inna była babcia. Z nią można było załatwić wszystko. Często zbierali razem truskawki i chodzili na spacery.

Wszyscy w domu rozmawiali po polsku i nikt nie myślał też o przyjęciu francuskiego obywatelstwa. Zawsze czuli się Polakami. Posiadali paszporty uchodźców. Mogli jeździć wszędzie – poza Polską...

Dziadek generał

Kiedy dziadkowie przenieśli się do Lailly-en-Val, rodzinne spotkania ograniczyły się do niedzielnych wizyt w ich małym, skromnym pokoju. Krzysztof pamięta, że na ścianach wisiały obrazy żaglowców i okrętów wojennych. Morze to było całe jego życie. Kiedy Krzysztof opowiadał dziadkowi, że właśnie rozpoczął kurs żeglarski, dostrzegł na jego twarzy rzadko widziany uśmiech.

Józef Unrug pisał pamiętnik. Niestety niewiele z jego zapisków zachowało się do dzisiaj. Pod koniec życia babcia traciła pamięć. Nie wiadomo, co zrobiła z jego zapiskami. Zaginął nawet przekazywany w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie pierścionek.

W lecie dziadek opalał się na balkonie. Jego czerwone od łuszczycy ciało pokrywały liczne tatuaże. Na tę dziedziczną chorobę cierpiał od bardzo dawna. Sprawiała mu ona wiele bólu. Nasilała się w czasie stresów, a miał ich w życiu bardzo wiele. Pierwszy raz znalazł się w szpitalu w 1914 r., kiedy pełnił służbę wojskową w Kaiserliche Marine.

Ówczesna medycyna niewiele mogła pomóc młodemu oficerowi na jego dolegliwości. Jednak nawet dokuczliwa choroba nie była w stanie przeszkodzić młodzieńczej pasji Józefa Unruga. Dowództwo U-Bootwaffe wysoko oceniało jego fachowe przygotowanie. W czasie I wojny światowej Niemcy powierzyli mu dowodzenie dużego podwodnego okrętu minowo-torpedowego UC-28. Jako jeden z nielicznych oficerów 28 września 1918 r. został też odznaczony Krzyżem Żelaznym I klasy.

Niemcy liczyli, że kapitan Unrug będzie instruktorem przyszłych kadr ich marynarki wojennej. Jednak kiedy Polska odzyskała niepodległość, 17 marca 1919 r. Józef złożył dymisję.

Po latach okres służby w Cesarskiej Marynarce Wojennej Unrug wspominał niechętnie. Wykształcenie i doświad-

eprasa.pl 88a0ab6d8b

czenie, które zdobył, zaprocentowało w służbie dla Polski. Od maja 1919 r. był w grupie nielicznych „niemieckich" oficerów, którzy wstąpili do polskiej Marynarki Wojennej.

Jednym z pierwszych jego zadań było kupno od Niemców statku dla służby hydrograficznej. „Pomorzanin", bo tak nazwano wysłużony parowiec, po wciągnięciu na jego maszt polskiej bandery stał się również własnością kapitana Unruga. Kupił on jednostkę na swoje nazwisko, bo władze Gdańska nie uznawały rządu polskiego. „Pomorzanin" przez wiele lat dobrze służył Polskiej Marynarce Wojennej. Przyczynił się do wytyczenia planów pod przyszłą bazę morską w Gdyni.

Podczas urlopu w rodzinnym Sielcu w lipcu 1920 r. Józef Unrug poznał swoją daleką kuzynkę Zofię Unrug i zakochał się w niej z wzajemnością. Nicole, żona Krzysztofa, dodaje, że babcia wychodząc za dziadka, nie musiała nawet zmieniać nazwiska. Dziadkowie pobrali się w Poznaniu w kwietniu 1921 r. Ich małżeństwo przetrwało 52 lata. Bardzo się kochali i ufali sobie. Józef nie skorzystał z przysługującego mu dłuższego urlopu wypoczynkowego, w podróż poślubną pojechali do Francji parę lat później.

Komandor porucznik Unrug po ślubie pracował jako szef Dowództwa Wybrzeża. Wychowany w niemieckim drylu żył bardzo skromnie, poświęcając się swojej pracy. Nie przyjaźnił się z większością oficerów, którzy pochodzili z Rosji i przyzwyczajeni byli do zupełnie innego, wystawnego życia.

W 1930 r. przyszedł na świat jedyny i długo oczekiwany syn Zofii i Józefa Unrugów. Urodził się w Gdańsku-Wrzeszczu, należącym wówczas do Niemców. – Dziadek przezornie zmienił miejsce urodzenia mojego ojca na Gdynię. Nadał mu imię Horacy, po sławnym admirale angielskim. Kiedy byłem mały, bardzo trudno było mi wymówić imię mojego ojca – opowiada Krzysztof. – Dziadek spędzał każdą wolną chwilę z Horacym. Nie miał ich jednak wiele. Babci w wychowaniu ojca towarzyszyły niania i ochroniarka.

Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego Niemcy i Rosja sowiecka stanowiły ogromne zagrożenie dla niepodległości Polski. Unrug zdawał sobie sprawę, że Marynarka Wojenna była ciągle za słaba, aby przeciwstawić się inwazji nawet jednego z sąsiadów. Oceniał, że w razie wojny powinien jak najszybciej ewakuować nasze okręty do któregoś z neutralnych portów. Na dodatek tuż przed wybuchem wojny pomocy Polsce odmówiły francuska Marine Nationale i brytyjska Royal Navy.

Oficerowie polscy w niewoli niemieckiej. Trzeci od prawej adm. Józef Unrug, Oflag Colditz. 1941 r.

Przez kilka miesięcy poprzedzających niemiecką agresję admirał przebywał cały czas w bazie Marynarki Wojennej, kontaktując się z żoną telefonicznie. 25 lipca 1939 r. prosił, aby wyjechała z synem do Sielca.

Dramatyczny wrzesień

W pierwszych dniach niemieckiej ofensywy admirał Unrug nie mógł dowodzić flotą ze względu na głęboki kryzys psychiczny i związany z tym atak łuszczycy.

Józef i Zofia Unrugowie w drodze do Maroka

Był to dla niego najcięższy okres w życiu. W ciągu kilku dni stracił wszystko, czemu poświęcił 20 lat swojego życia.

Tak jak zawsze postępował uczciwie, przestrzegając konwencji genewskiej. Nie pozwalał na torpedowanie nieuzbrojonych i niekonwojowanych statków niemieckich.

Admirał Unrug dzięki swojej decyzji ewakuacji większości naszej floty do Wielkiej Brytanii uratował życie prawie 600 oficerom i marynarzom. W czasie wojny mogli oni później walczyć z Niemcami wspólnie z siłami Royal Navy.

Po kapitulacji w swoim ostatnim rozkazie do żołnierzy dziękował im za okazane męstwo. Pisał: „Nadejdzie taka chwila, gdy po ukończonej wojnie defilować będziecie nie tylko w Warszawie, ale i w Berlinie".

2 października 1939 r. admirał Unrug znalazł się w niewoli niemieckiej. W lutym 1940 r. do jego celi przybyła delegacja hitlerowskich oficerów. Na jej czele stał jego niemiecki kuzyn, generał major Walther von Unruh, pierwszy niemiecki komendant Warszawy. Kuzyn miał za zadanie nakłonić polskiego admirała do przejścia na stronę okupanta.

Józef Unrug kategorycznie odrzucił tę propozycję, oświadczając mu w języku francuskim, że po bestialskim mordzie na Polakach, jakiego dopuścili się »

FOT. ONS (3X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

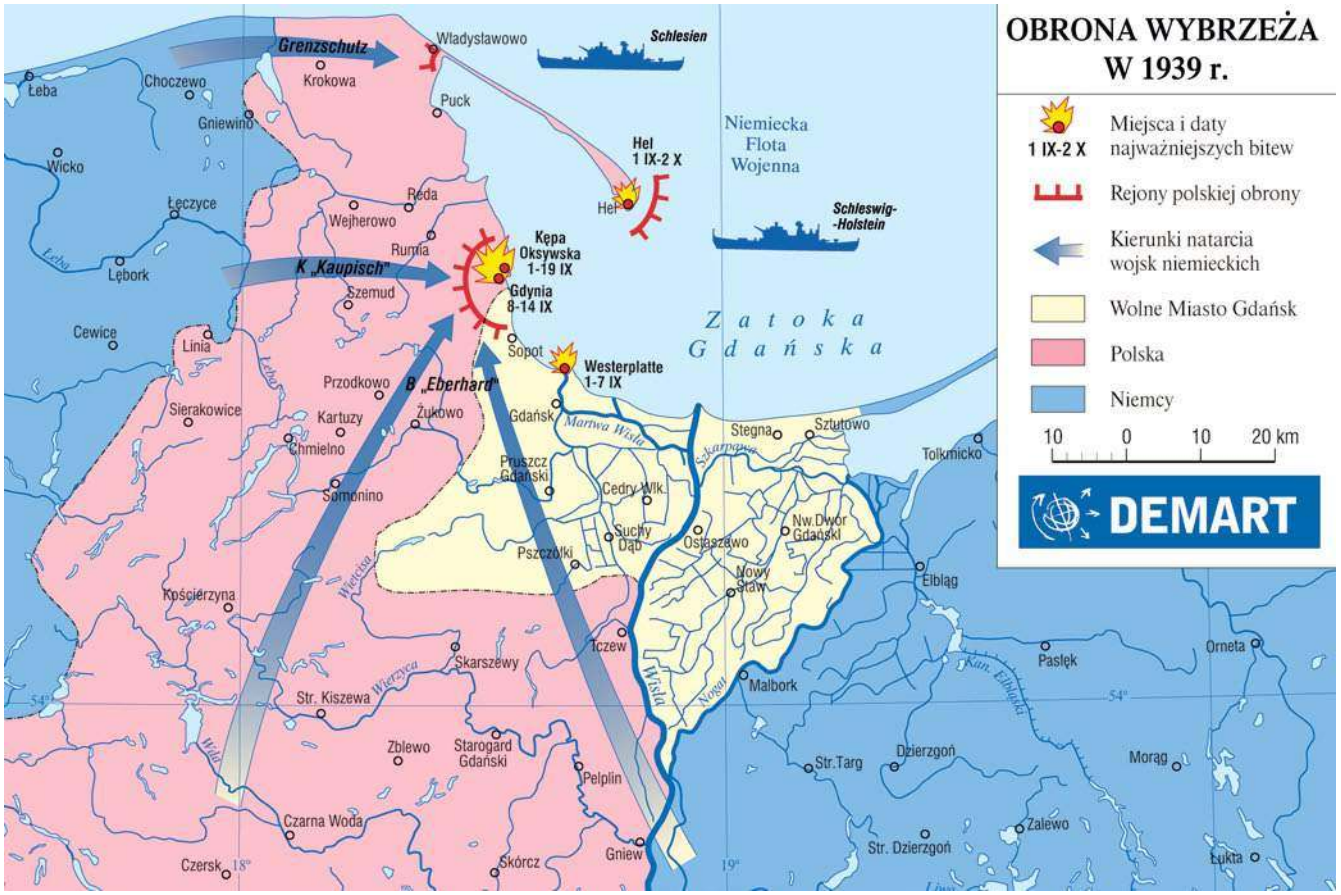

» Niemcy w Bydgoszczy, po rzekomej „krwawej niedzieli" postanowił nie używać języka niemieckiego do końca życia.

Hitlerowska delegacja jak niepyszna opuściła celę admirała. – Tego dnia mój dziadek zerwał wszelkie kontakty z niemiecką gałęzią rodziny Unruhów. Dopiero ja odnowiłem je ze swoimi dalekimi kuzynami na rodzinnym zjeździe, dziesięć lat temu – mówi Krzysztof.

Unrug siedział w oflagu do końca wojny. Do czerwca 1940 r. Józef Unrug był starszym obozu i dowódcą organizacji konspiracyjnej w Woldenbergu. Wraz z wyższą kadrą oficerską dbał o utrzymanie morale i wiary w zwycięstwo wśród uwięzionych żołnierzy. Zabronił też przebywającym w obozie polskim oficerom jakichkolwiek kontaktów z Niemcami oraz podawania im ręki. Kilkakrotnie odmówił podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Za taką postawę Niemcy siedmiokrotnie zmieniali miejsca jego przetrzymywania w różnych obozach. Często o zaostrzonym rygorze.

Nareszcie 29 kwietnia 1945 r. ostatni obóz Murnau, w którym Niemcy przetrzymywali admirała, wyzwoliła armia amerykańska.

JAKO JEDEN Z NIELICZNYCH OFICERÓW 28 WRZEŚNIA 1918 r. ZOSTAŁ TEŻ ODZNACZONY KRZYŻEM ŻELAZNYM I KLASY. NIEMCY LICZYLI, ŻE KAPITAN UNRUG BĘDZIE INSTRUKTOREM PRZYSZŁYCH KADR ICH MARYNARKI WOJENNEJ

Powojenna służba

Po krótkim pobycie we Francji 18 maja 1945 r. Józef Unrug znalazł się w Londynie, gdzie od razu został powołany na stanowisko I zastępcy szefa kierownictwa Polskiej Marynarki Wojennej.

Po zakończeniu wojny polskie okręty eskortowały brytyjskie statki, przewoziły alianckie oddziały i ich zaopatrzenie, chroniły rybackie kutry, niszczyły miny.

W październiku 1945 r. admirał mógł się spotkać w Niemczech z żoną i synem.

– Z powodu wojny mój ojciec nie znał dziadka – mówi Krzysztof Unrug. – Dopiero ich kilkunastoletni pobyt w Maroku, gdzie Józef dostał pracę w firmie Fregata SA założonej przez swoich przedwojennych znajomych z Gdyni, zbliżył ich bardzo z sobą.

– To dzięki dziadkom miałem tak wspaniałego ojca – mówi Krzysztof Unrug. Ojciec tak jak dziadek pozostał prawy i nieugięty. Był doskonałym konstruktorem. – W Maroku poznał moją mamę Annę Marię Potocką i się z nią ożenił. W Afryce dziadek czuł się wspaniale. Słońce zbawiennie działało na

eprasa.pl 88a0ab6d8b

jego skórne problemy, ale niestety babcia znosiła coraz gorzej tamtejsze upały. Od lat chorowała na gruźlicę.

W 1958 r. Unrugowie przenieśli się do Francji. Ostatnie lata życia na emigracji były dla nich bardzo trudne. Admirał wstępując do Polskiej Marynarki Wojennej, zrzekł się emerytury niemieckiej. Nie przyjął też emerytury angielskiej. Nie chciał iść na współpracę z rządem PRL.

Szczęśliwie Unrugowie spędzili jesień swojego życia w Domu Polskim dla emerytów pod Orleanem. Skromną emeryturę wypłacał im departament Seine. Dziadek nie rozczulał się nad sobą. Do końca pozostał twardym marynarzem.

Kiedy dowiedział się, że ma raka, nie powiedział o tym nikomu. Dojeżdżał do szpitala 40 km na motorowerze, aby poddać się naświetleniom. Rodzina dowiedziała się o jego chorobie z rachunków wystawionych przez szpital. Ostatnie chwile życia spędził przykuty do łóżka. Zmarł 28 lutego 1973 r.

Komuniści od początku chcieli sprowadzić ciało admirała do Polski jedynie w celu propagandowym. Jednak Józef Unrug wyraźnie zaznaczył w swoim testamencie, że będzie to możliwe po uhonorowaniu wszystkich oficerów Polskiej Marynarki Wojennej zamordowanych przez komunistów. Władza ludowa nie była zdolna do takich kompromisów.

Krzysztof Unrug z aktem awansowania pośmiertnie Józefa Unruga do stopnia admirała floty

Znów na Oksywiu

Dopiero po 45 latach od śmierci, w dniach 1-2 października 2018 r., wypełniła się wola admirała Józefa Unruga. Jego wnuk jest bardzo szczęśliwy, że prochy dziadka spoczęły wreszcie na cmentarzu w Oksywiu.

Na pożegnanie powiedział mi: – Będzie nam go brakowało w Montrésor, ale nie liczą się nasze odczucia. Najważniejsze, że wreszcie wypełniła się jego wola. Wszyscy wiemy, że on musiał wrócić do Ojczyzny. Całe życie myślał o Polsce. Nie wolno było nam go tutaj zostawić. Pamiętam, że wybraliśmy na tę okazję bardzo skromną trumnę. On by sobie tego życzył. Dziadek nigdy nie był snobem. Nigdy nie robił nic na pokaz. Uroczystość na cmentarzu w Montrésor była bardzo podniosła. Z tej okazji przybył nawet francuski minister obrony. Specjalnie sprowadzona z Polski orkiestra Marynarki Wojennej zagrała ulubioną pieśń religijną moich dziadków: „Czarną Madonnę". Pogrzeb w Polsce przeszedł moje oczekiwania. Polscy marynarze zrobili na nas ogromne wrażenie. Czuję do nich wielki respekt. Tej uroczystości nie zapomnę do końca życia. Jestem bardzo szczęśliwy z decyzji prezydenta Polski Andrzeja Dudy o pośmiertnym awansowaniu mojego dziadka na stopień admirała floty.

Trumna z ciałem admirała, chwilę przed wymarszem konduktu spod kościoła garnizonowego Marynarki Wojennej, 2 października 2018 r.

FOT. ONS

eprasa.pl 88a0ab6d8b

1.

KAMIL JANCZAREK

ZALEDWIE METRY OD TRASY KRAJOWEJ ŁĄCZĄCEJ CENTRALNĄ POLSKĘ Z MAZURAMI ZNAJDUJE SIĘ ZAPOMNIANE MIEJSCE KAŹNI TYSIĘCY POLAKÓW I ŻYDÓW: FORT III POMIECHÓWEK, W KTÓRYM W LATACH 1939–1945 NIEMCY MORDOWALI Z NIEWYOBRAŻALNYM DZIŚ OKRUCIEŃSTWEM I NA MASOWĄ SKALĘ. POMIECHOWSKA KATOWNIA TO JEDEN WIELKI CMENTARZ

Fort III pod względem budowy nie odróżnia się od innych tego typu obiektów Twierdzy Modlin. Zbudowany został w 1883 r. równolegle z Fortem I w Zakroczymiu i Fortem II w Kosewie. Jednak to, co wydarzyło się tam podczas II wojny światowej, sprawia, że nie możemy myśleć o tym miejscu jedynie w kategorii zabytku, jednego z wielu elementów modlińskiej twierdzy. Pierwszy tragiczny rozdział został napisany już we wrześniu 1939 r. Pomiechowski Fort III wraz z I i II stanowiły element obrony Twierdzy Modlin z kierunku północnego. Bronione były przez 36. Pułk Piechoty Legii Akademickiej, wchodzący w skład 28. Dywizji. Mimo liczebnie słabej obrony Niemcom nie udało się zdobyć nawet zewnętrznych okopów. Podobnie sytuacja miała się w innych fortach. Rozwścieczeni najeźdźcy, mszcząc się, dokonali masowych mordów na setkach obrońców Fortu I w Zakroczymiu. W samym Pomiechówku spalili wiele zabudowań. W jednym z budynków zamknęli w piwnicy pięciu Polaków i wrzucili do

2.

3.

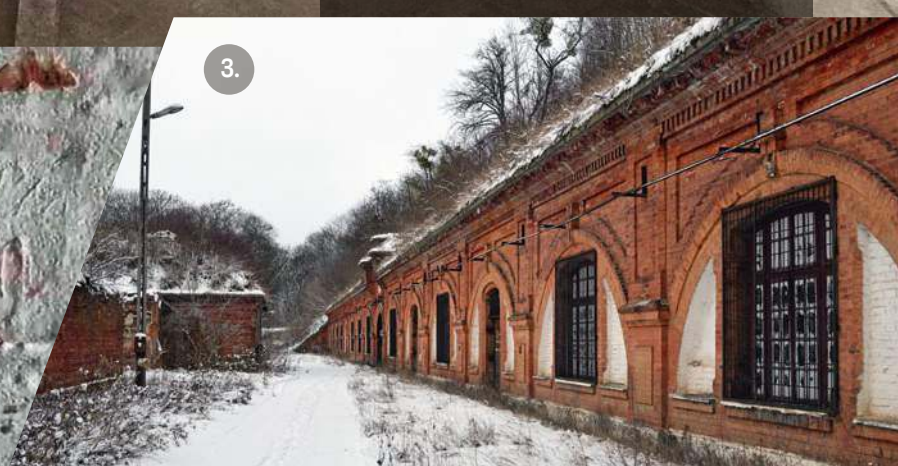

ŻEBY NIE ZOSTAŁY PO NICH TYLKO NAPISY NA ŚCIANACH...

1. Korytarz dzielący Fort na dwa; 2. Napisy na ścianach. Jan Chilicki ps. Olek, komendant AK Zakroczym; 3. Budynek koszar – główne miejsce przetrzymywania więźniów w Forcie

eprasa.pl 88a0ab6d8b

środka granaty. Dowódcy Wehrmachtu, próbując wymusić poddanie się na obrońcach Fortu III, kazali siłą pędzić okolicznych mieszkańców jako żywe tarcze przed nacierającymi oddziałami niemieckimi. Pomiechówek skapitulował dopiero 29 września wraz z całą Twierdzą Modlin.

Po klęsce wojny obronnej w 1939 r. terytorium Polski zostało podzielone między najeźdźcami – III Rzeszą i ZSRS. Dodatkowo w październiku Niemcy dokonali kolejnego podziału. Część terenów II Rzeczypospolitej znalazła się w nowo utworzonym Generalnym Gubernatorstwie. Pozostałe ziemie zostały wcielone do III Rzeszy. Północne Mazowsze i Pomiechówek znalazły się w granicach tzw. Rejencji Ciechanowskiej, która została przyłączona do Rzeszy. Tereny te miały zostać „oczyszczone" z wrogo nastawionej ludności polskiej i żydowskiej. Masowe wywózki na teren Generalnej Guberni rozpoczęły się już w 1939 r. W Forcie III na kilka miesięcy okupant urządził obóz przesiedleńczy.

Pierwsze dni katowni

Doktor Marek T. Frankowski w swoich licznych publikacjach na temat pomiechowskich kazamatów twierdzi, że po zakończeniu kampanii wrześniowej do marca 1941 r. Fort III stał pusty. Zeznania świadków złożone przed Okręgową Komisją Badań Zbrodni Hitlerowskiej w Warszawie potwierdzają, że pierwsi więźniowie trafili do obozu w Pomiechówku w marcu 1941 r. W tamtym okresie do Fortu trafiali rolnicy z okolic Płońska, Sochocina i Nasielska oraz duchowieństwo z kościoła mariawickiego z Felicjanowa. Do końca czerwca 1941 r. zatrzymani Polacy częściowo zostali wypuszczeni na wolność, a w części skierowani na roboty przymusowe. Od marca 1941 r. w Pomiechówku tworzono również getto dla Żydów, których zwożono z Nowego Dworu Mazowieckiego, Płońska, Mławy, Ciechanowa, Bodzanowa, Sierpca, Bieżunia, Zakroczymia i Raciąża.

Od pierwszych dni na więźniów Fortu III czekały głód, brud i robactwo. Metod znęcania się i mordowania Żydów przez wachmanów było wiele. Bicie, gwałty i zabójstwa były na porządku dziennym. Jedną z bardziej wyrafinowanych tortur było podawanie więźniom solonej kiełbasy, którą popijali nieprzegotowaną wodą, co przyczyniało się do wielu zgonów. Pisząc o bestialstwie, jakie miało miejsce w Pomiechówku, nie można pominąć strażników wywodzących się z lokalnych volksdeutschów oraz żydowskiego policjanta – Majlocha Hoppenbluma. Cechowała ich niezwykła brutalność. Nadzór nad działalnością więzienia sprawowało gestapo, komisarz Schaper z Nowego Dworu Mazowieckiego i SS-Sturmbannführer Schultz z Ciechanowa.

Trudno dziś oszacować, ilu Żydów przebywało i zginęło w obozie w Pomiechówku. Zwłoki zabitych znoszono w jedno miejsce, gdzie następnie grupa wybranych więźniów raz w tygodniu paliła ciała. Potwierdzają to okoliczni mieszkańcy, którzy w tamtym okresie obserwowali raz w tygodniu cuchnący dym z terenu Fortu III. Do Pomiechówka więźniów żydowskiego pochodzenia zwożono do października 1942 r. Ostatnia udokumentowana egzekucja miała miejsce 20 marca 1943 r. Prawdopodobnie nigdy nie poznamy dokładnej liczby zamordowanych tam Żydów. Zdaniem Benona Dymka i Józefa Kazimierskiego w Forcie III Niemcy zamordowali 6–10 tys. wyznawców judaizmu. Należy zwrócić uwagę, że dane te nie zawsze opierają się na pełnych materiałach. Zdaniem wielu historyków są zawyżone. Ocalali trafili do getta w Ludwisinie, dziś jest to dzielnica Legionowa. Dzięki ich relacjom, które zostały spisane w 13. tomie Archiwum Ringelbluma, możemy poznać historię gehenny tysięcy więźniów pomiechowskiej katowni.

PRZEZ FORT III MOGŁO PRZEJŚĆ OK. 50 TYS. WIĘŹNIÓW, Z CZEGO ZAMORDOWANYCH ZOSTAŁO 10–12 TYS.

Więzienie karno-śledcze

Fort III nigdy nie zyskał statusu obozu koncentracyjnego. Poznając jednak historię tego miejsca, nie sposób odnieść wrażenia, że KL to tylko nazewnictwo. Więzienie karno-śledcze w Pomiechówku, utworzone w 1943 r., zajmowało obszar pięciu hektarów. Składało się z właściwego Fortu i kilku mniejszych bunkrów. Aby zobrazować, jak straszne to było miejsce, trzeba przytoczyć słowa znajdujące się na tablicy przed Fortem III, a wypowiedziane przez więźnia Władysława Grylaka: „Obóz w Pomiechówku mogę krótko określić jako jedną z największych katowni i najbardziej ohydne miejsce zbrodni, jakie istniało podczas okupacji na terenie III Rzeszy i terenach zagarniętych przez wojska niemieckie. Stwierdzam to z całą odpowiedzialnością. Podczas okupacji przeszedłem aż przez pięć obozów hitlerowskich – Pomiechówek, Oświęcim, Mauthausen, obóz w Jugosławii i Neumark. Katownia w Pomiechówku pod każdym względem była najgorsza. W najbardziej zwyrodniały sposób faszyści niemieccy znęcali się nad więźniami. Więźniów mordowano masowo, bez jakichkolwiek podstaw, w sposób szczególnie wyrafinowany i zwyrodniały. W Pomiechówku było również najgorsze wyżywienie i najgorsze warunki sanitarne".

Nie było tam prycz i więźniowie spali na betonowej podłodze. W celach nie było okien. W zamkniętych kazamatach panowały niewyobrażalny zaduch i smród z wiader na fekalia. Na 80 mkw. przebywało jednorazowo ok. 100 osób. Jak wspominają ocalali, więźniowie mieli sine ciała i gnijące rany od pałek wachmanów. Wielu z nich umierało w celach z wycieńczenia i obrażeń doznanych podczas przesłuchań. Były więzień Jan Bojarski wspomina: „Warunki higieniczne były potworne. Po nocy kilka trupów zawsze wynoszono z cel". Edward Kozłowski, który do Pomiechówka trafił po aresztowaniu 14 kwietnia 1943 r., opowiadał: „Było nas około 100 osób. Pędzono do celi, gdzie po kostki była woda i w takich warunkach siedzieliśmy trzy dni. Spaliśmy w tej wodzie".

Na terenie obozu w Forcie III znajdowały się dwie tzw. bramy śmierci. To tam prowadzono więźniów na egzekucję. Nad celami znajdował się kilkumetrowy nasyp z ziemi, przez więźniów zwany „górką". W czerwcu 1943 r. na szczycie nasypu Niemcy postawili 19-metrową szubienicę. Według zeznań ocalałych wieszano na niej jednorazowo ok. 20 więźniów. Władysław Grylak wspominał: „W obozie »

FOT. FUNDACJA FORT III POMIECHÓWEK

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» w Pomiechówku przebywałem w okresie od 6 maja 1943 r. do dnia 17 listopada 1943 r. W Forcie III jednorazowo przebywało około 700–800 więźniów. Rotacja więźniów w obozie była bardzo duża. W okresie, gdy ja przebywałem w obozie, hitlerowcy mordowali przeciętnie 30–40 więźniów każdego dnia. Wyjątkowym dla mnie dniem podczas pobytu w obozie był dzień 12 lub 13 listopada 1943 r. Wtedy to właśnie hitlerowcy powiesili na terenie obozu 30 więźniów. Wśród powieszonych był mój rodzony brat, Tadeusz Grylak, który liczył 17 lat".

Wymordować elitę

Przez Fort III w Pomiechówku przewinął się przekrój całego społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Więzieni tam byli rolnicy, Żydzi i elita intelektualna północnego Mazowsza. Już od pierwszych dni II wojny światowej jako metodę walki z polską inteligencją Niemcy przyjęli programową fizyczną jej likwidację nazwaną „Intelligenzaktion".

To szczególnie księża, lekarze czy nauczyciele włączali się w walkę z okupantem. Świadczą o tym funkcje pełnione przez nich w Armii Krajowej. Na przykład komendantami mławskiego obwodu AK byli nauczyciele Edward Kowalewski ps. Sosna i Paweł Rachocki ps. Jurand. Przez kazamaty Pomiechówka przewinęło się wielu działaczy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i Batalionów Chłopskich, jak również komunistycznej partyzantki GL/AL i PPR. Dla wielu z nich była to stacja końcowa, miejsce, gdzie zostali zabici. Dla innych, tak jak Jana Chilickiego ps. Olek, komendanta AK Zakroczym, obóz w Pomiechówku był przystankiem przed KL Stutthof.

Sposobów, w jakie oprawcy mordowali swoje ofiary w więzieniu karno-śledczym w Pomiechówku, było wiele. Pomysłowości bestiom z Fortu III nie można odmówić. Wieszanie na szubienicy czy rozstrzelanie wydają się dość humanitarne. Więźniowie umierali z głodu, zatłuczeni pałkami, rozszarpywani przez psy, wieszani na hakach. Maria Domankiewicz wspomina: „Skazańców wprowadzono na błotniste podwórze i rozkazano im położyć się w dwóch warstwach na ziemi. Po pewnym czasie zmieniali pozycję w ten sposób, że ci, którzy się znajdowali na wierzchu, szli na spód. Potem zabłoconym ofiarom kazano biec wokół podwórza i poszczuto na nich psy policyjne, które szarpały ubrania i ciała". Ostatnia i zarazem największa masowa egzekucja Polaków miała miejsce 30 lipca 1944 r. Śmierć wówczas poniosło 281 osób. Po wykonaniu egzekucji Niemcy zniszczyli obozową dokumentację i opuścili Pomiechówek.

Wrócili już dwa dni później. Na przełomie sierpnia i września więziono tam mężczyzn, którzy mogli wesprzeć powstanie warszawskie. Przetrzymywani byli do końca 1944 r. Niemcy wykorzystywali ich do prac przy kopaniu umocnień oraz przy zacieraniu śladów zbrodni. Dowodem są napisy na ścianach pozostawione przez mieszkańców Wołomina i Marek, którzy przebywali w Forcie III w tym okresie. Obóz na przełomie 1944 i 1945 r. został zlikwidowany, więźniów przeniesiono na zachód.

Ocalić od zapomnienia

Jak już wielokrotnie wspominałem, liczba zamordowanych w niemieckim obozie w Pomiechówku nie jest znana. Badający historię tego miejsca szacują, że przez Fort III mogło przejść ok. 50 tys. więźniów, z czego zamordowanych zostało, 10–12 tys. Są i tacy, którzy mówią o 50 tys. zabitych. Erich Koch, zbrodniarz wojenny i ostatni nadprezydent Prus Wschodnich, podczas swego procesu podał liczbę 100 tys. Jak jednak dalej wyjaśnił, dotyczy ona ofiar w całej Rejencji Ciechanowskiej.

Zadania nadania imion i nazwisk liczbom podjęła się Fundacja Fort III Pomiechówek. Jak można przeczytać na stronie internetowej www.forttrzecipomiechowek.org, jej główny cel to „by nie zostały po nich tylko napisy na ścianach". Baza nazwisk więźniów po roku prac liczy 1,2 tys. osób. Jesienią 2018 r. na terenie Fortu III w Pomiechówku Instytut Pamięci Narodowej ponownie rozpoczął prace ekshumacyjne. Pierwsze, częściowe miały miejsce tuż po wojnie. 15 grudnia 2018 r. odbył się pochówek pierwszych odnalezionych szczątków ofiar. To jednak dopiero początek prac, które mają potrwać nawet kilka lat. Jak zapewnił dr Piotr Oleńczak, pełnomocnik Wojewody Mazowieckiego ds. kombatantów i osób represjonowanych oraz członek władz Fundacji Fortu III Pomiechówek, po zakończeniu prac IPN powstanie w tym szczególnym miejscu cmentarz wojenny pod opieką państwa.

Pochówek pierwszych odnalezionych ofiar, 15 grudnia 2018 r.

FOT. FUNDACJA FORT III POMIECHÓWEK

50/0619/F

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Dobra szkoła

WYDAWNICTWO DEMART od 1992

LIDER ATLASÓW SZKOLNYCH

tylko 34,90

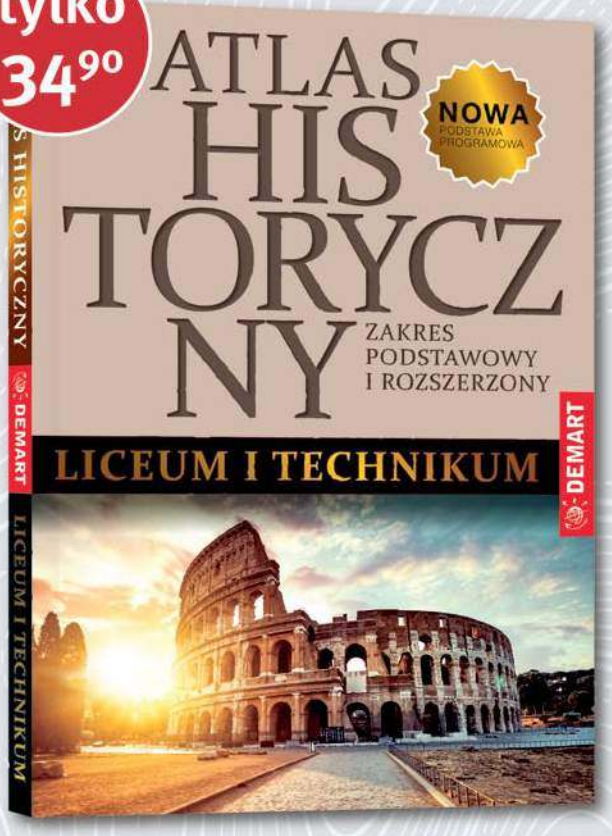

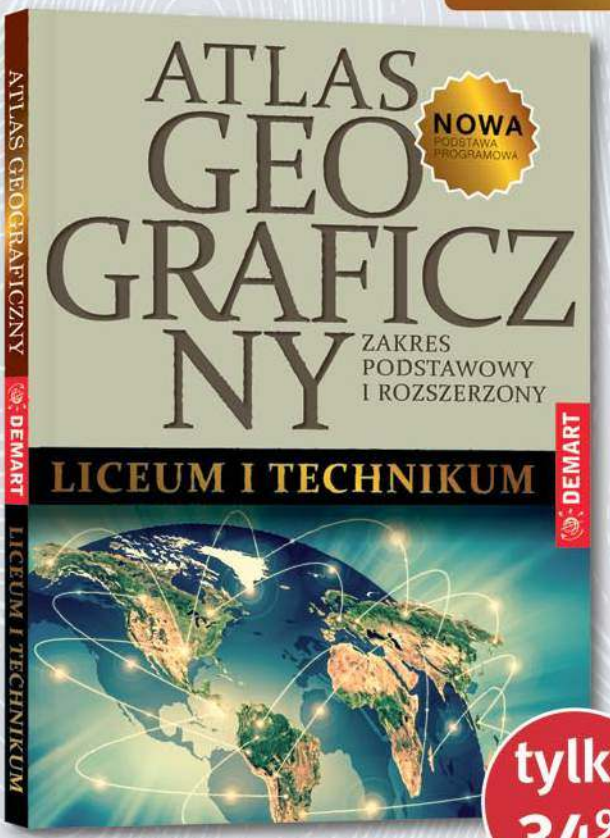

tylko 34,90

komplet 34,90

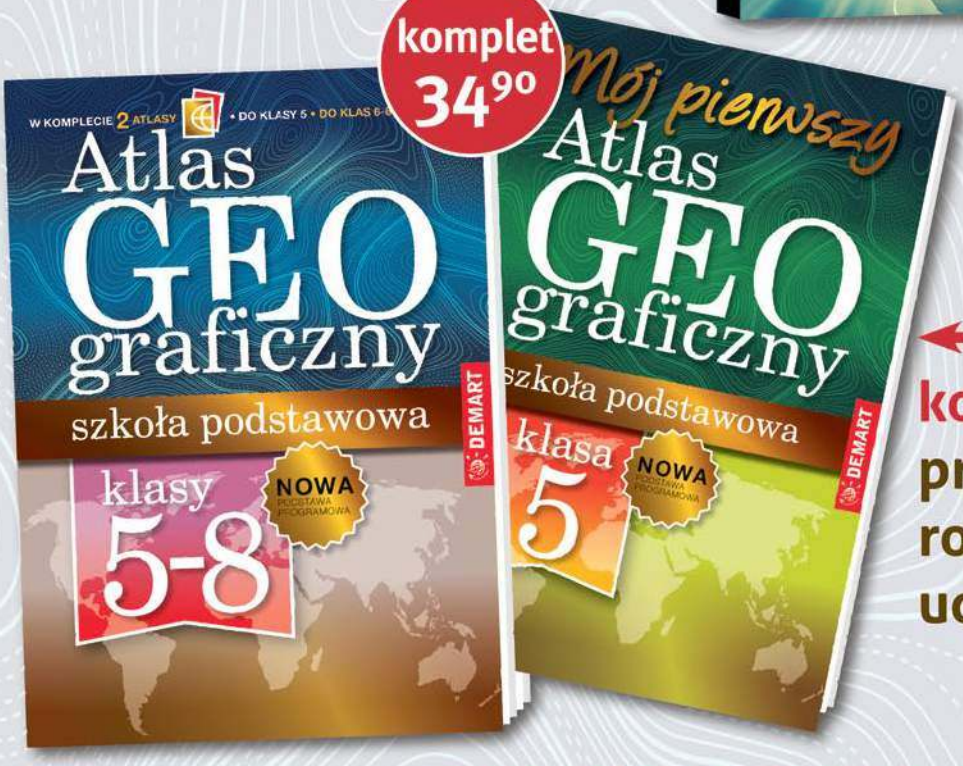

Ten atlas to komplet 2 książek – przyjazne i wygodne rozwiązanie dla uczniów*

* ich plecaki będą lżejsze, a treści w publikacjach są dostosowane do ich etapu rozwoju

DEMART

www.demart.com.pl

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Z OBOZU WYSZEDŁ POCHÓD CIENI

„ALLE RAUS!" – USŁYSZELI W POŁUDNIE 11 SIERPNIA 1944 r. WYSZLI Z PIWNICY DOMU PRZY FILTROWEJ 27 NA WARSZAWSKIEJ OCHOCIE, NICZEGO Z SOBĄ NIE ZABIERAJĄC

BARBARA STEFAŃSKA

Ilustracja „Kobiety w obozie koncentracyjnym Ravensbrück", autor: Helmut Franz

Żołnierze w czarnych mundurach wypędzali ludzi, ustawiali w szeregi i gnali ich wzdłuż ulic Wawelskiej i Grójeckiej. Noc spędzili na Zieleniaku, w okolicach dzisiejszych Hal Banacha. Irena Kalpas miała wówczas 29 lat. Jej mąż zginął w Katyniu.

Okropne rzeczy działy się tej nocy. Ojciec siedział na nich, żeby je ukryć przed Niemcami i Ukraińcami. Julia Kühnowa, ciocia Ireny, była niemal nieprzytomna. Była to wdowa po ministrze komunikacji Alfonsie Kühnie. Następnego dnia doszli do Pruszkowa. Tam spędzili kolejną noc w wielkim hangarze. Niektórzy wydostali się, przekupując esesmanów złotem i dolarami. O świcie Irena uświadomiła sobie, że dziś są urodziny ojca i jej. – Przecież dziś 13 sierpnia – powiedziała, przytulając się do niego. Jak się potem okazało, to było ich pożegnanie.

„Alle raus!". Rzeka ludzi stanęła przy torach kolejowych. Jednych kierowali na lewo, innych na prawo. Instynkt podpowiadał im, żeby za wszelką cenę trzymać się razem. Poszli na lewo i pojechali w kierunku Niemiec. Pociąg w drugą stronę zabrał ludzi na roboty do Generalnej Guberni.

Kiedy byli w drodze, ciocia wyciągnęła spod ubrania złoto. Wujostwo trzymało je w salonie pod zegarem. – Tadziu, masz, weź to, zrób coś – powiedziała do

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ojca. – Jula, trzeba było dać przedtem. Teraz już jechali w zamkniętym wagonie towarowym.

W okolicach Berlina wszyscy mężczyźni opuścili pociąg, wśród nich Tadeusz Dobiński. Nie wiadomo, kiedy zmarł. Jeszcze z obozu w Oranienburgu przysłał kartkę do rodziny na adres znajomych spod Warszawy.

Kobiety trafiły do Ravensbrück. Już na początku musiały wszystkie swoje rzeczy i ubrania zostawić na długim stole. Przy całej grozie sytuacji Irenie żal było ślicznej puderniczki z herbem Paryża. Auzjerka (nadzorczyni obozowa z SS) w szarym mundurze z krawacikiem i furażerką na głowie chwyciła ją jak cenną zdobycz i pokazywała innym. Po wojnie Irena nie znalazła w Paryżu takiej samej puderniczki.

Otrzymała nr 56 605 i czerwony trójkąt z literą P – czyli więzień polityczny. Było kilka kategorii więźniarek, w tym złodziejki i prostytutki. Te ostatnie miały czarne trójkąty. Zaczęły się 12-godzinne apele, w czasie których esesmanki bez przerwy je przeliczały. I ciągle krzyczały, nigdy nie mówiły. Człowiek marzył o chwili ciszy. Nieustanny ryk był metodą trzymania ludzi w upodleniu.

Ciocia nie wytrzymywała tych apeli. Stare więźniarki postanowiły jej pomóc i załatwiły przeniesienie na blok tzw. strickerinek – kobiet schorowanych i w podeszłym wieku. Okazało się, że były one przeznaczone na śmierć w komorach gazowych. Tak też zginęła Julia Kühnowa, dama, która nawet w czasie wojny starała się dbać o dom z wielką pieczołowitością. Pociecha w tym, że była w takim stanie psychicznym, iż nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Irena z matką zostały umieszczone na bloku 27 w nowym lagrze. Barak składał się z 3–4 rzędów łóżek, które zgrzytały, kiedy się na nich siadało. Zanim w październiku dostały przydział do pracy, stały całymi dniami na apelach w łachach, które nie chroniły od chłodu.

Trafiły do Industriehof, czyli baraku, który stanowił rodzaj pracowni krawieckiej. Esesman wybrał tam tylko Irenę. Wtedy Emilia Dobińska zaskoczyła córkę. Wyszła przed szereg i stanęła obok niej. – Zu alt – skrzywił się esesman. – Nie, wcale nie jestem za stara – tłumaczyła energicznie po niemiecku, pokazując, że nie ma siwych włosów. – I szyję dużo lepiej niż córka! – No dobrze – machnął ręką.

W Industriehof przyszywały guziki do mundurów. Irena nie wyrabiała normy, więc obrywała po głowie. Mama szyła szybciej i podawała jej pod stołem gotowe mundury. Auzjerka, która to dostrzegła, zapytała: – Mutter? Töchter? I przeniosła Irenę do kontroli ubrań, z czym już dawała sobie radę. Pracowała przez tydzień w czasie dnia, przez tydzień w nocy, ciągle stojąc. Codziennie o 4 rano wymiotowała, zapewne z przemęczenia. Ale i jedzenie było coraz mizerniejsze. Zupę gotowano na obierkach. Więźniarki zorientowały się, że jakieś substancje są dosypywane do posiłków, gdyż żadna z nich nie miała menstruacji.

ZACZĘŁY SIĘ 12-GODZINNE APELE, W CZASIE KTÓRYCH ESESMANKI BEZ PRZERWY PRZELICZAŁY KOBIETY. I CIĄGLE KRZYCZAŁY, NIGDY NIE MÓWIŁY. CZŁOWIEK MARZYŁ O CHWILI CISZY. NIEUSTANNY RYK BYŁ METODĄ TRZYMANIA LUDZI W UPODLENIU

W obozie była grupa kobiet, tzw. króliczków, na których robiono eksperymenty medyczne. Wybierano młode i silne. Kiedy Irena przyjechała do Ravensbrück, już zaniechano tych praktyk. Tym, które przeżyły, pozostały blizny na nogach jako dowody zbrodni. Pewnego dnia rozeszła się wiadomość: „Wywożą króliczki. Ratujmy je". Zamieniając numery obozowe, niektóre śmiertelnie chore kobiety zastąpiły „króliczki", tym samym ratując im życie. Było to możliwe, gdyż numery obozowe w Ravensbrück przyszywano do pasiaków, a nie tatuowano.

Irena nie czuła nienawiści ani chęci odwetu, tylko przerażenie. Nowa rzeczywistość nie mieściła się jej w głowie i myślała, że zwariowała. Co to za ludzie? Czy oni ich jakoś szkolą? Sił dodawały jej obecność matki i modlitwa.

Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu 8 marca. Irena i jej matka opuściły wtedy Ravensbrück, żeby iść na tzw. roboty wolnościowe. W czasie kilkutygodniowej drogi część kobiet zmarła, m.in. na biegunkę. Esesmani gnali pochód cieni przez Westfalię, nie wiadomo dokąd ani po co. Wokoło wszystko rozkwitało na wiosnę. Tymczasem zbliżała się ostateczna klęska Niemiec w wojnie.

– Alle raus! – esesman z karabinem wyganiał je z baraku, gdzie spędzały noc. Nad nimi latały amerykańskie pociski. – Wyjść czy nie wyjść? Rozsądek podpowiadał Irenie, żeby się nie ruszać. Prosiła o pomoc Ducha Świętego. Zostały, unikając w ten sposób śmierci. Część kobiet nie doczekała wolności. Kiedy nadszedł świt, strażników już nie było. Kobiety usłyszały wycie motoru. W łaziku – samochodzie bez drzwi i dachu – stał Amerykanin. A Murzyn za kierownicą żuł gumę. Przerazili się na widok kościotrupów, które obległy ich samochód. Za dwa dni porozwozili je do amerykańskich koszar. Irena z matką stamtąd trafiły do miejscowości Peppinhausen, gdzie zastał je koniec wojny w Europie.

Irena pamięta, jak Amerykanie wywiesili na drzewie dużą mapę z nowymi granicami Polski. W ten sposób przekonywali, żeby nie wracać do kraju. Wielu wybrało emigrację. Do Peppinhausen przyszła kartka od szwagra Rolanda, który znalazł je przez PCK: „Irena, nie wracaj, Ryszard na pewno nie żyje". Do tego momentu jeszcze tliła się iskierka nadziei, że Katyń jest niemiecką propagandą. Decydująca była jednak wiadomość od wujka Brunona Sommera, jednego z twórców Polskiego Radia: „Irena, jest dla ciebie praca, wracajcie".

Tę kartkę Irena Kalpas przechowywała do końca życia, razem z pożółkłym notatnikiem z napisem „Ravensbrück". Nigdy już nie odwiedziła terenu obozu. Ale z chęcią czytała wspomnienia innych więźniarek, np. Wandy Półtawskiej, z których dowiadywała się nowych faktów dotyczących obozu.

Tekst powstał na podstawie ustnych wspomnień Ireny Kalpas (1915–2012), wdowy po zamordowanym w Katyniu kapitanie Ryszardzie Kalpasie

FOT. EAST NEWS/AKG-IMAGES

eprasa.pl 88a0ab6d8b

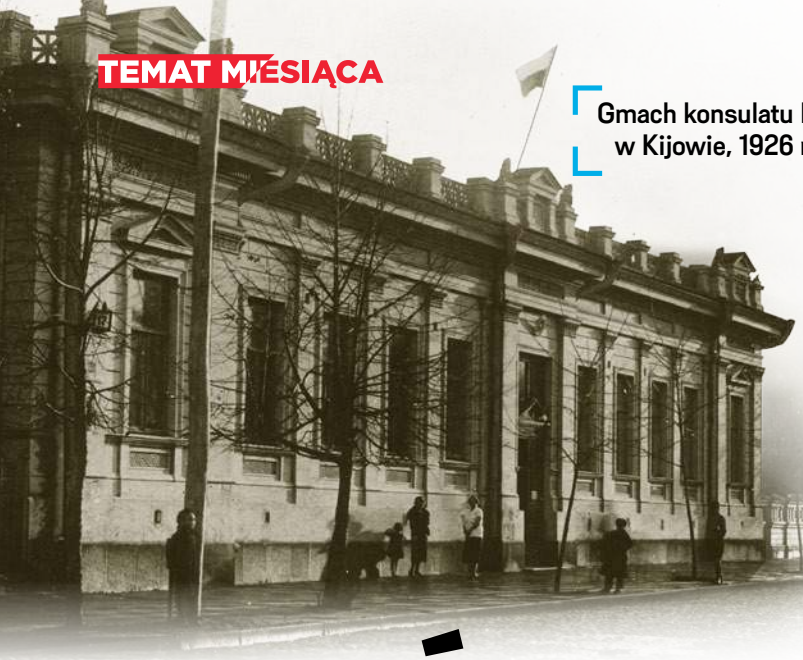

Gmach konsulatu RP w Kijowie, 1926 r.

DYPLOMATA ZWYKLE DOŻYWA SPOKOJNEJ STAROŚCI, CIESZĄC SIĘ DOCENIENIEM SWYCH ZASŁUG. POLSCY PRZEDSTAWICIELE II RP W KIJOWIE NIE MIELI TYLE SZCZĘŚCIA, BO WPADALI W NIEMIECKIE LUB ROSYJSKIE RĘCE, CO KOŃCZYŁO SIĘ DLA NICH TRAGICZNIE

ZAWÓD DYPLOMATY

ANNA LITWIN

Rok 1918 był to dziwny rok. W jego początkach pozycja Ukraińskiej Republiki Ludowej na arenie międzynarodowej była znacznie silniejsza niż pozycja Polski. Podczas rozmów pokojowych w Brześciu – do których reprezentacji Polski w ogóle nie dopuszczono – Niemcy i Austro-Węgry zgodziły się na przyłączenie do Ukrainy Chełmszczyzny, Podlasia i Galicji Wschodniej ze Lwowem i Przemyślem. W zamian Ukraińska Republika Ludowa zobowiązała się „z wdzięczności" dostarczyć milion ton zboża państwom centralnym (Włochy, Niemcy, Austro-Węgry). Traktat brzeski był biznesowym układem. Dwa miesiące później Pawło Skoropadski proklamował powstanie Państwa Ukraińskiego zwanego Hetmanatem. Strona polska z powodu pominięcia przy negocjacjach nie uznała traktatu pokojowego z Brześcia za wiążący i postanowiła podjąć próbę rozmów dwustronnych z Hetmanatem dla ustalenia przebiegu granicy. W tym celu Rada Regencyjna powołała Poselstwo Polskie w Kijowie.

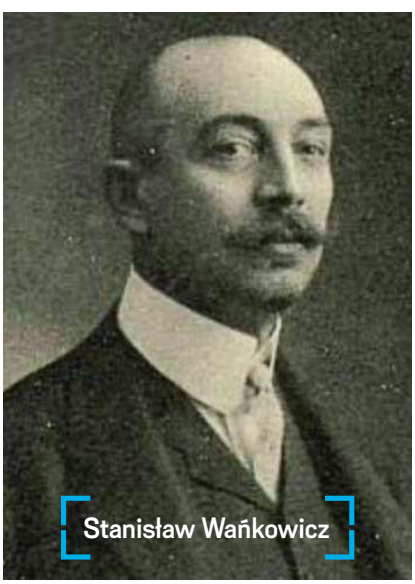

Stanisław Wańkowicz

Zastrzelony ambasador

Pierwszym polskim dyplomatą II RP w pierwszej niepodległej Ukrainie był ambasador Stanisław Wańkowicz (1885–1943). Przybył do Kijowa w październiku 1918 r. jako reprezentant Rady Regencyjnej, a miesiąc później, po ogłoszeniu przez Polskę niepodległości, pełnił swoją misję jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny państwa polskiego. Nie podjął jednak negocjacji granicznych ze Skoropadskim, bo już w grudniu władzę w Kijowie przejął Dyrektoriat Symona Petlury i Wołodymyra Wynnyczenki, proklamując ponownie Ukraińską Republikę Ludową. Jednocześnie Armia Czerwona wtargnęła na terytorium Ukrainy, w styczniu zaś rozgorzały polsko-ukraińskie walki o Lwów. Na skutek szybkiego zbliżania się armii bolszewickiej do Kijowa personel dyplomatyczny ewakuował ambasadę przez port w Odessie, ambasador Wańkowicz zdołał zaś w lutym dotrzeć do Lwowa. Jego obecność tam była niezbędna do prowadzenia rozmów z misją aliancką, czyli Wielkiej Brytanii i Francji, już bez Rosji, bo państwo polskie nie miało wówczas kontaktu ze Lwowem. W negocjacjach pokojowych stronie polskiej chodziło nie tylko o bohaterski Lwów, ale ziemie wokół Borysławia, bogate w złoża ropy naftowej niezbędnej do prowadzenia operacji wojskowych.

Gdy Lwów znalazł się pod polską administracją, ambasador Wańkowicz ostatecznie złożył urząd. Nigdy już nie wrócił na Ukrainę. Utraciwszy ogromny majątek ziemski nad Prypecią (w Rudakowie – ok. 17 tys. ha), zamieszkał w niewielkim majątku żony (Gorzyczki) w Wielkopolsce i zajął się pracą społeczną w odrodzonej Najjaśniejszej. Działał w Radzie Naczelnej Organizacji Ziemiańskich oraz w Radzie Opiekuńczej Kresów. Politycznie związał się z Walerym Sławkiem i Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem. Był senatorem dwóch kadencji parlamentu w latach 1928–1935.

FOT. NAC (2X); DLIB.RSL.RU

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Ambasador Stanisław Wańkowicz zginął wraz z żoną zamordowany na weselu własnej córki. W czerwcu 1943 r. Wańkowiczowie przyjechali do Zbydniowa, do majątku rodziny Horodyńskich, gdzie w kaplicy dworskiej odbył się ślub ich córki Teresy z Iwonem Mierzejewskim. Gdy państwo młodzi po uroczystej kolacji odjechali do Sandomierza, przy stole zostało jeszcze kilkanaście osób. W nocy do dworu wkroczyli żołnierze SS i, wrzeszcząc, otworzyli ogień do gości weselnych. Tych, którzy byli przy stole, zabili najpierw, tych, którzy byli już w swoich pokojach, w tym dwoje dzieci, zabijali leżących w łóżkach. Motyw tego mordu był czysto rabunkowy. Niemieccy żołnierze działali na zlecenie niemieckiego zarządcy sąsiedniego majątku, który chciał przejąć również dobra Horodyńskich. Zamordowano 13 kobiet, dwoje dzieci i czterech mężczyzn, w tym ambasadora Stanisława Wańkowicza. Wszystkie ofiary pochowano w zbiorowej mogile na terenie parku zbydniowskiego dworu. Spoczywają tam do dziś.

Niespokojne powojnie

Pomiędzy dziwnym rokiem 1918 a rokiem 1920 Kijów bezustannie przechodził z rąk do rąk. Poza Hetmanatem i Ukraińską Republiką Ludową Petlury, zajmowany był przez Armię Czerwoną, białą Armię Ochotniczą Denikina, ponownie przez armię URL sprzymierzoną z Polską (tzw. wyprawa kijowska), by ostatecznie paść pod nawałą bolszewicką i jako Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka wejść w skład Kraju Rad.

Gdy w 1932 r. podpisany został polsko-sowiecki pakt o nieagresji, otworzyła się szansa na ustanowienie placówek dyplomatycznych na obszarach dawnego imperium, gdzie wciąż mieszkali Polacy.

W Kijowie działał Konsulat Generalny RP z siedzibą na rogu dzisiejszej Szołkowycznej i Hruszewskiego (wówczas Liebknechta). Placówka ta była niezmiernie ważna dla tysięcy Polaków wracających do Polski z obszaru byłego carskiego imperium. Pomoc przy repatriacjach była głównym celem działalności konsulatu w latach 20. W czasach Wielkiego Głodu 1932–1933 polscy dyplomaci słali raporty i alarmujące opracowania, by upowszechnić na Zachodzie wiedzę o sowieckim terrorze. W latach 1937–1938 podczas „operacji polskiej" NKWD konsulat poza bezpośrednią pomocą starał się zbierać wiadomości o Polakach deportowanych bądź mordowanych w czasie „wielkiego terroru".

Artystka Maria Szczytt-Lednicka wraz z konsulem generalnym RP w Nowym Jorku Jerzym Matusińskim wręczają płk. Edwardowi House plakietkę z jego podobizną, 1935 r.

Konsul zamordowany

Ostatnim dyplomatą II RP w Kijowie był konsul Jerzy Matusiński (1890–1939). Przed objęciem misji w Kijowie był konsulem generalnym w Pittsburghu i Nowym Jorku. Wcześniej, tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., zajmował się pomocą w repatriacjach Polaków ze Wschodu. Kilka dni po sowieckiej napaści na Polskę 17 września 1939 r. konsul Matusiński w środku nocy został pilnie wezwany do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Gdy tylko przyjechał na miejsce, został aresztowany z pogwałceniem immunitetu dyplomatycznego i wszelkich cywilizowanych obyczajów. Matusiński jednak, przeczuwając podstęp i chcąc mieć świadka, przed wyjazdem z konsulatu poprosił dodatkowego kierowcę o to, by jechał za nim drugim samochodem w bezpiecznej odległości. Gdy przed budynkiem Spraw Zagranicznych oprawcy z NKWD aresztowali konsula wraz z jego kierowcą Andrzejem Orszyńskim, kierowca jadący za nimi wrócił do biura i poinformował pracowników konsulatu o tym wydarzeniu. Wcześniej Komisariat Spraw Zagranicznych zapewniał dyplomatę, że będzie mógł wraz z personelem wyjechać do Polski lub ewakuować się do Finlandii, ale oczywiście było to kłamstwo. Nie dano ani nie zamierzano dać im tej szansy.

Konsula Matusińskiego i jego kierowcę osadzono w kijowskim więzieniu, a następnie przewieziono do Moskwy. Wiaczesław Mołotow (1890–1986), ówczesny ludowy komisarz ds. zagranicznych, twierdził impertynencko, że nic nie wie o polskim konsulu i że widocznie uciekł za granicę. Po latach się okazało, że zatrzymany wówczas kierowca konsula przeżył i wrócił do Polski z Armią Berlinga. Oświadczył, że ostatni raz widział konsula Matusińskiego na dworcu w Kijowie, gdy w konwoju pod strażą przewożono więźniów do Moskwy. Tam urywa się wszelki ślad. Świadectwo Andrzeja Orszyńskiego złożone pod przysięgą nie pozostawia wątpliwości co do losu polskiego dyplomaty. Że został zamordowany, to pewne, nie wiemy jednak nic więcej – czy rozstrzelano go na Łubiance czy w innym miejscu? I pewnie nigdy się już nie dowiemy, gdzie spoczywają jego szczątki.

W 2013 r. Ambasada RP w Kijowie podjęła starania, by uczcić pamięć zamordowanego dyplomaty w formie tablicy na dawnym budynku konsulatu. Dziś vis-à-vis tegoż budynku jest boczne wejście do Rady Najwyższej Ukrainy, czyli Parlamentu. W 2014 r., po Majdanie i fali pomocy humanitarnej, jakiej ofiarom walk udzieliła Polska, władze Kijowa wydały wstępną zgodę na upamiętnienie konsula Jerzego Matusińskiego. Powstał piękny projekt biało-czerwonej tablicy i uzgodniono tekst. Jednak w roku następnym zgodę cofnął kijowski konserwator, twierdząc, że budynek jest zabytkowy i nie można umieszczać na nim współczesnych tablic. Tak więc po ostatnim dyplomacie II RP, zasłużonym dla Polski, konsulu Jerzym Matusińskim, nie pozostała praktycznie żadna pamiątka. Nie ma grobu ani miejsca pamięci. Jest tylko kilka tekstów i kilka zdjęć w internecie.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

W 2012 r. BRYTYJCZYK MICHAEL PARROT ODNALAZŁ W KAPLICY NA CMENTARZU HIGHER W MIEŚCIE EXETER W WIELKIEJ BRYTANII DREWNIANĄ TABLICZKĘ PRZEDSTAWIAJĄCĄ LOGO 307 DYWIZJONU RAF

Lotnicy Dywizjonu 307 przed samolotem Mosquito VI; trzeci od prawej: nawigator F/O Alfred Suskiewicz, piąty to pilot F/O Leon Michalski, 4 listopada 1943 r.

ANIOŁY Z DYWIZJONU 307

ZBIGNIEW IZDEBSKI

Michael Parrot, nieznający języka polskiego, mieszkający w 100-tysięcznym Exeter w hrabstwie Devon w zachodniej części Anglii, postanowił rozszyfrować logo dywizjonu napisane w egzotycznym dla niego języku. W ten sposób historia polskiego Dywizjonu 307 „Lwowskich Puchaczy", po ponad 70 latach, rozpoczęła kolejną pasjonującą odsłonę.

Powróciła pamięć o tym, że polski dywizjon uczestniczył we wszystkich najważniejszych operacjach militarnych II wojny światowej. Piloci z Dywizjonu 307 brali udział w bitwie o Atlantyk, operacji „Market Garden", osłaniali inwazję na Niemcy, bronili Wysp Brytyjskich przed rakietami V-1, osłaniali przed nalotami bombowymi Liverpool i Exeter.

Powstanie dywizjonu

Jednostkę sformowano we wrześniu 1940 r. w północnej Anglii jako jedyny polski dywizjon myśliwski przeznaczony do działań nocnych. Początki wojennej przygody dywizjonu nie były łatwe, gdyż pilotom przydzielono mało udane samoloty Boulton Paul Defiant, których jedynym uzbrojeniem były sprzężone karabiny maszynowe w wieżyczce w tylnej części maszyny, obsługiwane przez strzelca. Samoloty te w bitwie o Anglię Niemcy łatwo strącali, przez co uznawano je za „latające trumny". Natychmiastową reakcją wielu doświadczonych pilotów było odejście do innych dywizjonów RAF. Następnie dywizjon był sukcesywnie przezbrajany w nowsze maszyny: najpierw solidne dwusilnikowe Bristol Beaufighter, a potem znakomite dwusilnikowe De Havilland Mosquito. Dywizjon bazował w północnej Anglii, na wyspie Man, k. Exeter oraz w Walii.

Najdłużej piloci stacjonowali niedaleko Exeter, gdzie zdobyli wiele sympatii i pamięci wśród mieszkańców. Szczególnie aktywnie polscy piloci zwalczali bombowce w 1942 r., gdyż dywizjon był odpowiedzialny za obronę wybrzeża Wielkiej Brytanii – od Lands Ends w Kornwalii do Pool w hrabstwie Dorset, a także patrolował wody kanału La Manche. Polacy zapłacili za to wysoką cenę – w czasie stacjonowania w Exeter 307 Dywizjon stracił 21 pilotów. O tym, jak dramatyczne były to starcia, świadczy historia z nocy 3/4 maja 1942 r. Brytyjskie radary wykryły zgrupowanie 30 bombowców Junkers Ju-88 lecących w stronę hrabstwa Devon. Zdolne do boju były tylko cztery maszyny typu Bristol Beaufighter, jednak Polacy nie wahali się ani chwili i uderzyli na niemieckie bombowce. Pomimo ogromnej dysproporcji sił polskim pilotom udało się zestrzelić cztery wrogie maszyny, zanim te zaatakowały miasto. Część junkersów zrzuciła bomby na miasto – zginęło od nich 156 mieszkańców

Dwusilnikowy Bristol Beaufighter

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Exeter, jednak gdyby nie bohaterstwo polskich pilotów, straty i zniszczenia byłyby o wiele większe.

Dywizjon został doceniony i rozsławiony w wyjątkowy sposób. 15 listopada 1942 r. Exeter zorganizowało uroczystość wciągnięcia polskiej biało-czerwonej flagi na maszt. Dowódca dywizjonu kapitan Jan Michałowski wygłosił przemówienie przed katedrą, a biskup Exeter pobłogosławił polską flagę. W ten uroczysty dzień Exeter stało się pierwszym brytyjskim miastem, w którym nad ratuszem miejskim powiewała biało-czerwona flaga.

Warto podkreślić, że Polakom udawało się niszczyć niemieckie maszyny, mające zaminować Kanał Bristolski. Zadanie to wykonała m.in. załoga por. Marcelego Neydera, nocą 25/26 listopada 1941 r., namierzając Ju-88 lecący nad Kanał Bristolski. Por. Neyder relacjonował: „Kontroler podprowadził bardzo ładnie, operator sgt. Woźny nawiązał kontakt i już nie puścił szwaba. W dość jasnym świetle Księżyca po kilku zaledwie minutach zobaczyłem sylwetkę i ogniki z rur wydechowych. Leciał spokojnie. Zbliżyłem się tak, że pierścień celownika objął tylko silniki, oddałem dość długą serię. Prawy silnik niemieckiego samolotu rozżarzył się pięknie, coś się zaczęło rwać i odpadać. Niemiec zakręcił gwałtownie w prawo i zaczął pikować. Starałem się towarzyszyć mu do samej ziemi – oddałem jeszcze krótką serię z dwóch karabinów z odległości 100 oraz 50 metrów, wpadłem w jego wiry i minąłem go na wysokości 8 tys. stóp. Kształt kabiny samolotu niemieckiego wskazywał na Ju-88. W czasie piki wyrzucił trzy miny na spadochronach, których nie dowiózł do Kanału Bristolskiego. Eksplodowały prawidłowo na ziemi”.

Dowódca Dywizjonu 307, Jan Michałowski

FOT. EAST NEWS; 307 SQUADRON PROJECT (2X)

Geniusze za sterami

Życiorys porucznika, a potem kpt. Marcelego Neydera prezentuje skomplikowane losy mieszkańców pogranicza II RP i emigracji polskiej przed I wojną światową. Urodził się w 1918 r. w Essen w Niemczech w rodzinie górnika, która po wojnie osiadła w okolicy Bydgoszczy. Był zafascynowany samolotami, więc zgłosił się do służby wojskowej w lotnictwie. Po zdaniu egzaminów został przyjęty na pierwszy rok nauki w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. W pierwszych dniach września 1939 r. został awansowany na podporucznika pilota. W wojnie obronnej Polski nie brał udziału w lotach bojowych, ale pełnił różne funkcje pomocnicze. 19 września przekroczył granicę rumuńską i znalazł się w obozie internowania. Uciekł w cywilnym ubraniu i po uzyskaniu paszportu oraz biletu kolejowego w polskim konsulacie w Bukareszcie, przez Jugosławię i Włochy dotarł 10 października do Paryża. Przebywał w obozie przejściowym, z którego został skierowany do polskiej bazy lotniczej w Lyonie. Po zakończeniu działań wojennych we Francji 27 czerwca 1940 r. Marceli Neyder ewakuował się na statku do Liverpoolu. Latał w szeregach Dywizjonu 307, ale gdy z poufnego komunikatu RAF dowiedział się, że bazujący na Malcie 23. dywizjon myśliwski RAF potrzebuje pilotów, zgłosił się na ochotnika. W grudniu 1942 r. drogą powietrzną przez Gibraltar dostał się na Maltę. W dywizjonie tworzył załogę z flying officerem Cornesem. 21 lutego 1943 r. o 3:25 Marceli Neyder z radionawigatorem wyleciał na lot bojowy z lotniska Luqa. Załoga nie powróciła już do bazy. Był odznaczony krzyżem Virtuti Militari.

Podobne koleje losu dzielił jeden z dowódców Dywizjonu 307 mjr Gerard Ranoszek, który urodził się k. Lublińca. Jeden z jego braci figuruje na liście katyńskiej, natomiast dwaj pozostali walczyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Brał udział w wojnie obronnej 1939 r. i po odysei poprzez Słowację i Węgry dostał się do Francji. Po wojnie wyemigrował do Afryki Południowej, gdzie zajął się biznesem.

Perłą dywizjonu był kpt. Jerzy Damsz urodzony w Łodzi w 1911 r. Był ostatnim dowódcą dywizjonu. Jako absolwent Politechniki Warszawskiej pracował w latach 30. w Instytucie Technicznym Lotnictwa. Dzięki pasji do lotnictwa i talentowi ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. We wrześniu 1939 r. został ewakuowany do Francji. Od 1944 r. pracował w Royal Aircraft Establishment jako inżynier. Po wojnie wyjechał do Argentyny, gdzie wykorzystywał swoje bogate doświadczenie zawodowe. Następnie w 1958 r. trafił do USA, gdzie pracował w Hofman Laboratory, zajmując się technologią niskich temperatur. Wkrótce został zatrudniony w Philips Laboratories Division. Zaangażował się również w działalność organizacji polonijnych, był prezesem Stowarzyszenia Inżynierów Polskich oraz członkiem Rady Nadzorczej Polish Association of Arts and Science. Od 1972 r. pracował w Cryogenic Technology Inc. w Bostonie. »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» Był autorem wielu publikacji i patentów z dziedziny kriogeniki, jedna z zaprojektowanych przez niego instalacji została wykorzystana przez NASA przy konstrukcji marsjańskich sond Voyager. W 1975 r. przeszedł na wcześniejszą emeryturę i powrócił do Polski. Zamieszkał w Sopocie. Był konsultantem w Instytucie Techniki Cieplnej Politechniki Warszawskiej. W 1980 r. był jednym z organizatorów Koła Kombatantów NSZZ „Solidarność". Zmarł w 1987 r. w Sopocie.

Przez krótki okres pilotem Dywizjonu 307 był płk Franciszek Kornicki, który wygrał w 2018 r. internetowe głosowanie „The Telegraph" i Muzeum Royal Air Force na twarz obchodów 100-lecia Royal Air Force jako jeden z ostatnich pilotów spitfire'ów, uzyskując w internetowym głosowaniu 325 tys. głosów.

Najsłynniejsze misje

19 stycznia 1944 r. dwie załogi Dywizjonu 307, lecąc na znakomitych, cenionych przez pilotów myśliwcach szturmowych Mosquito, brawurowo uderzyły na niemiecką bazę wodnopłatowców w Stavanger w Norwegii. Atak z zaskoczenia przyniósł potwierdzone zniszczenie jednego samolotu wroga oraz prawdopodobne dwóch kolejnych. Telegram gratulacyjny przysłał Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski.

Kolejną spektakularną akcję przeprowadził dywizjon 27 lipca 1944 r., atakując i uszkadzając stację radiową na wyspie Sylt u wybrzeży Danii.

Wrzesień 1944 r. zapisał się w kronice dywizjonu wybitnym osiągnięciem i zarazem tragedią. Jedna z eskadr dywizjonu otrzymała rozkaz przeprowadzenia lotu bojowego nad terytorium Holandii w czasie operacji „Market Garden". Była to tajna operacja, której celu załogi nie znały. Zadanie polegało na 30-minutowym nocnym przelocie nad terytorium Holandii w momencie trwania największej operacji powietrznodesantowej II wojny światowej, ale bez możliwości otwierania ognia z broni pokładowej, czyli aktywnej obrony przed atakami. 17 września z lotniska Coltishall nieopodal Norwich we wschodniej Anglii o godzinie 23:55 nastąpił start polskich samolotów do tej niezwykle niebezpiecznej misji. Zadanie zostało wykonane. Niestety, w drodze powrotnej do Anglii ostatnia załoga w szyku została zestrzelona, pilotów nie odnaleziono.

Por. pil. Marceli Neyder (z lewej) w pojedynku szachowym z por. pil. Jerzym Damszem. W środku lekturą gazety zajęty jest kpr. robs. Jerzy Trzaskowski, Exeter, 1942 r.

FOT. 307 SQUADRON PROJECT

Więcej szczęścia miała załoga Mosquito z Dywizjonu 307 w składzie K. Leszkiewicz i Z. Lewandowski zmuszona 25 kwietnia 1945 r. wodować na Morzu Północnym. Lotnicy spędzili w pontonach wśród wzburzonych fal morskich 83 godziny – trzy dni! Wyłowili ich Niemcy. Polacy spędzili w niewoli dziewięć dni. Zostali oswobodzeni 6 maja 1945 r. przez 7. Brytyjską Dywizję Pancerną.

Wyjątkowy bohater

Bohaterstwem, wręcz heroizmem, wykazał się pochodzący z Poznania sierżant nawigator Stanisław Jarzembowski, kawaler Virtuti Militari, odznaczony 3 lipca 1941 r. osobiście przez Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego.

1 sierpnia 1942 r. sierżant Stanisław Jarzembowski wraz z pilotem Jerzym Malinowskim oraz Anglik Ronald Newman jako pasażer wystartowali z lotniska Exeter. Po kilku minutach lotu jeden z silników ich maszyny zaczął płonąć, a samolot tracił sterowność. Załoga zawróciła, starając się wylądować niedaleko Winkleigh, 35 km od Exeter. W trakcie awaryjnego lądowania maszyna rozbiła się i zaczęła płonąć. Pilot i pasażer odnieśli poważne obrażenia. Sierżant Jarzembowski, świadom zagrożenia wybuchem, wyciągnął obu z płonącego wraku samolotu. Niestety, sam odniósł śmiertelne obrażenia.

Najlepsza jedenastka

Dumą Dywizjonu Lwowskich Puchaczy była drużyna piłki nożnej, która grała na niezwykle wysokim poziomie, odnosząc w ojczyźnie futbolu wiele sukcesów sportowych: trzykrotnie zdobyła puchar miasta Exeter, puchar miasta Swansea. Drużyna rozegrała na terenie Wielkiej Brytanii 75 meczów, z których wygrała 65, przegrała siedem, a zremisowała trzy spotkania. W kwietniu 1944 r. drużyna rozegrała mecz z Lincoln City, klubem pierwszej ligi angielskiej, przy wypełnionym po brzegi stadionie. Choć Polacy przegrali 4:2, to klub z Lincoln docenił klasę polskich futbolistów: odtąd wypożyczał od Dywizjonu kilku graczy na ważne mecze.

Sukcesy piłkarskie starano się wykorzystywać propagandowo, nadając im rozgłos, podkreślając wkład i wysoki poziom polskiego personelu. Chodziło o przypomnienie polskiego wysiłku militarnego w obliczu ustaleń politycznych konferencji w Teheranie i Jałcie oraz niepewności co do dalszego biegu losów Polski u schyłku II wojny światowej. Szczególnie podkreślał to dowódca kpt. Gerard Ranoszek, zwracając się o potrzebne fundusze na sprzęt sportowy i kupony odzieżowe do Ministerstwa Informacji i Dokumentacji w Londynie.

Polska flaga nad miastem

Losy i przygody dywizjonu odżyły na nowo, są badane i upowszechniane, szczególnie w Wielkiej Brytanii. Każdego roku 15 listopada w Exeter organizowane są obchody mające upamiętnić Dywizjon 307, przygotowywana jest wystawa prezentująca personel, osiągnięcia i przygody polskich pilotów. Na maszt wciągana jest biało-czerwona flaga, tak jak powiewała 15 listopada 1942 r. 15 listopada 2017 r. organizacja 307 Squadron Project zaprezentowała kolejną wystawę, kompania honorowa RAF oddała honory polskiemu dywizjonowi. W obchodach dnia pamięci dywizjonu wzięli udział ambasador RP Arkady Rzegocki, rodziny członków dywizjonu oraz sympatycy. W słynnej katedrze anglikańskiej w Exeter w jednej z kaplic odsłonięto tablicę upamiętniającą dywizjon. Historia Dywizjonu 307 wciąż żyje i jest świadectwem polskiego wkładu w zwycięstwo aliantów w II wojnie światowej.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Hermann Göring i Martin Bormann odwiedzają kwaterę główną Führera po zamachu

Płk hr. Claus von Stauffenberg uważał się za obrońcę „świętych Niemiec"

ZAMACH NA HITLERA

KOLEJNA ROCZNICA NIEUDANEGO ZAMACHU NA HITLERA Z 20 LIPCA 1944 r. W WILCZYM SZAŃCU SKŁANIA DO REFLEKSJI. OTO DLA WSPÓŁCZESNEGO SPOŁECZEŃSTWA NIEMIECKIEGO STANOWI POWÓD DO DUMY, BO MA ZAŚWIADCZAĆ, ŻE NIE WSZYSCY OBYWATELE III RZESZY DALI SIĘ UWIEŚĆ DYKTATOROWI I NIE WSZYSCY GODZILI SIĘ NA JEGO ZBRODNICZĄ POLITYKĘ

MAREK SKOLIMOWSKI

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu większość Niemców uważała spiskowców z płk. hr. Clausem von Stauffenbergiem na czele za zdrajców, którzy zaplanowali zabójstwo Adolfa Hitlera, Naczelnego Dowódcy Wehrmachtu i wodza narodu niemieckiego w sytuacji wyraźnych klęsk wojsk niemieckich na wszystkich frontach. Przecież śmierć Führera spowodowałaby chaos i przyspieszyłaby bez wątpienia klęskę Niemiec.

W tym kontekście warto się zastanowić, dlaczego grupa wyższych rangą oficerów i urzędników oraz część kół arystokratycznych postanowiła wyeliminować Hitlera 10 miesięcy przed całkowitą »

FOT. EAST NEWS/AKG-IMAGES (2X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» klęską „tysiącletniej" III Rzeszy i czy w Niemczech istniał antynazistowski ruch oporu.

Odpowiedź jest w zasadzie prosta. Otóż kiedy III Rzesza zwyciężała, kiedy podporządkowała sobie wiele państw europejskich (które bezlitośnie grabiła), o żadnym zorganizowanym ruchu oporu nie było mowy. Po klęsce „odwiecznego wroga" – Francji – zapanowała wprost euforia. A usłużni generałowie na czele z Wilhelmem Keitlem (późniejszym feldmarszałkiem) uznali byłego gefrajtra Adolfa Hitlera za strategicznego geniusza. Co prawda nie wszystkim Niemcom odpowiadał reżim hitlerowski, ale wybrali oportunizm – woleli go bezpiecznie przeczekać, niż otwarcie się przeciwstawić.

Odznaka za rany ustanowiona przez Hitlera po lipcowym zamachu (ta nadana gen. Jodlowi)

Wyjątkiem była grupa młodzieży studenckiej z Monachium na czele z 21-letnią Sofie Scholl, znaną dziś pod pseudonimem Biała Róża, która w 1942 r. kolportowała ulotki nawołujące społeczeństwo niemieckie do opamiętania. Ulotki informowały także o zbrodniach hitlerowskich w okupowanych krajach, w tym w Polsce. Bohaterscy konspiratorzy zostali jednak wkrótce ujęci przez gestapo i straceni.

wojny nie da się już wygrać. Należało więc jak najszybciej zawrzeć rozejm z aliantami zachodnimi, przerzucić wszystkie siły na front wschodni i ratować, co się jeszcze da, łącznie ze zdobyczami terytorialnymi, w tym w Polsce. Jedyną przeszkodą w realizacji tych zamiarów był Hitler, który nie chciał nawet słyszeć o jakimkolwiek zawieszeniu broni z Zachodem. Dlatego należało go wyeliminować. Dylematem było złamanie przysięgi wojskowej na wierność Führerowi, ale wykalkulowano, że po śmierci Hitlera przysięga przestanie obowiązywać niemieckich żołnierzy.

Centrum wojskowe spisku tworzyli wojskowi skupieni wokół gen. Ludwika Becka, byłego szefa sztabu generalnego wojsk lądowych, który jeszcze przed wojną wystąpił z wojska przestraszony awanturniczymi planami wojennymi Hitlera. Duszami spisku byli także generałowie: Friedrich Olbricht, Hans Oster z Abwehry i Henning von Tresckow. Co ciekawe, ten ostatni – podobnie jak wielu innych – był wcześniej entuzjastą nazizmu i Hitlera. Później do centrum dołączył płk Claus von Stauffenberg. Płk Stauffenberg, arystokrata, dzielnie walczył za Führera i III Rzeszę, brał udział w kampanii przeciwko Polsce w 1939 r. W listach do żony niepochlebnie wyrażał się o Polakach i naszym kraju. Podkreślał, że w Polsce panuje „brud i bałagan" i „wszędzie roi się od Żydów". Sugerował, że ludność polska mogłaby być parobkami w majątkach niemieckich. Później walczył w Afryce Północnej. Szybko awansował. W Afryce został ciężko ranny, stracił oko i rękę. Po wyleczeniu, będąc inwalidą, pozostał w Wehrmachcie. W czerwcu 1944 r. w stopniu pułkownika objął stanowisko szefa sztabu Armii Rezerwowej dowodzonej przez gen. Fromma w Berlinie. Stał się cennym nabytkiem dla spiskowców, bo sprawując taką funkcję, miał bezpośrednie dojście do Hitlera, co było nieosiągalne nawet dla ważnych generałów. Żeby oddać sprawiedliwość, należy zaznaczyć, że ważnym motywem działania spiskowców była również wiedza o ogromie zbrodni wojennych popełnianych przez SS, a także niekiedy przez wojska niemieckie w krajach podbitych, zwłaszcza na ludności żydowskiej, ale nie tylko.

ZAMACHOWCY ZAKŁADALI, ŻE TRZEBA ZAWRZEĆ ROZEJM Z ALIANTAMI ZACHODNIMI I RATOWAĆ, CO SIĘ JESZCZE DA, ŁĄCZNIE ZE ZDOBYCZAMI TERYTORIALNYMI, W TYM W POLSCE

Spisek wojskowych

Zorganizowany spisek w kręgach wyższych wojskowych i konserwatywnych kołach arystokratycznych zaczął się powoli zawiązywać po niespodziewanym wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym (grudzień 1941), a zwłaszcza po klęskach Wehrmachtu na froncie wschodnim. Zdano sobie sprawę, że tej

Spisek cywilny

Oprócz przywództwa wojskowego istniał też drugi krąg spiskowców stanowiący centrum cywilnej opozycji. Na jego czele stali hr. Helmut Moltke i hr. Peter York. Carl Gordeler, były burmistrz Lipska (Leipzig), gdzie nie dopuścił do usunięcia pomnika Mendelssohna, kompozytora pochodzenia żydowskiego, miał po Hitlerze objąć stanowisko kanclerza Niemiec. Spiskowcy spotykali się w Krzyżowej (Kreisau). Marion hrabina Dönhoff, też zamieszana w spisek, po wojnie orędowniczka polsko-niemieckiego pojednania, w swojej książce „W imię honoru" napisała, że „ruch oporu w Trzeciej Rzeszy był raczej kwestią jakości niż ilości". Wynika z niego, że mimo znakomitych nazwisk (hrabia von Moltke był potomkiem słynnego feldmarszałka, zwycięzcy w wojnie prusko-francuskiej z 1870 r.) spiskowców nie było zbyt wielu. Warto też wiedzieć, że przyszły kanclerz Gordeler zakładał jako jeden z warunków zawieszenia broni z aliantami po zabójstwie Hitlera uznanie granic Rzeszy według stanu z 1914 r., a ponadto przyłączenie do Niemiec Austrii oraz Sudetów zabranych Czechosłowacji! Nie trzeba chyba dodawać, że według koncepcji spiskowców zarówno cywilnych, jak i wojskowych Polska byłaby bez Poznańskiego, Śląska z Katowicami, Pomorza z Gdańskiem, Powiśla, Warmii i Mazur.

FOT. „TRZECIA RZESZA DZIEŃ PO DNIU", WYD. OLEKSIEJUK, OŻARÓW MAZOW. 2008 R.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

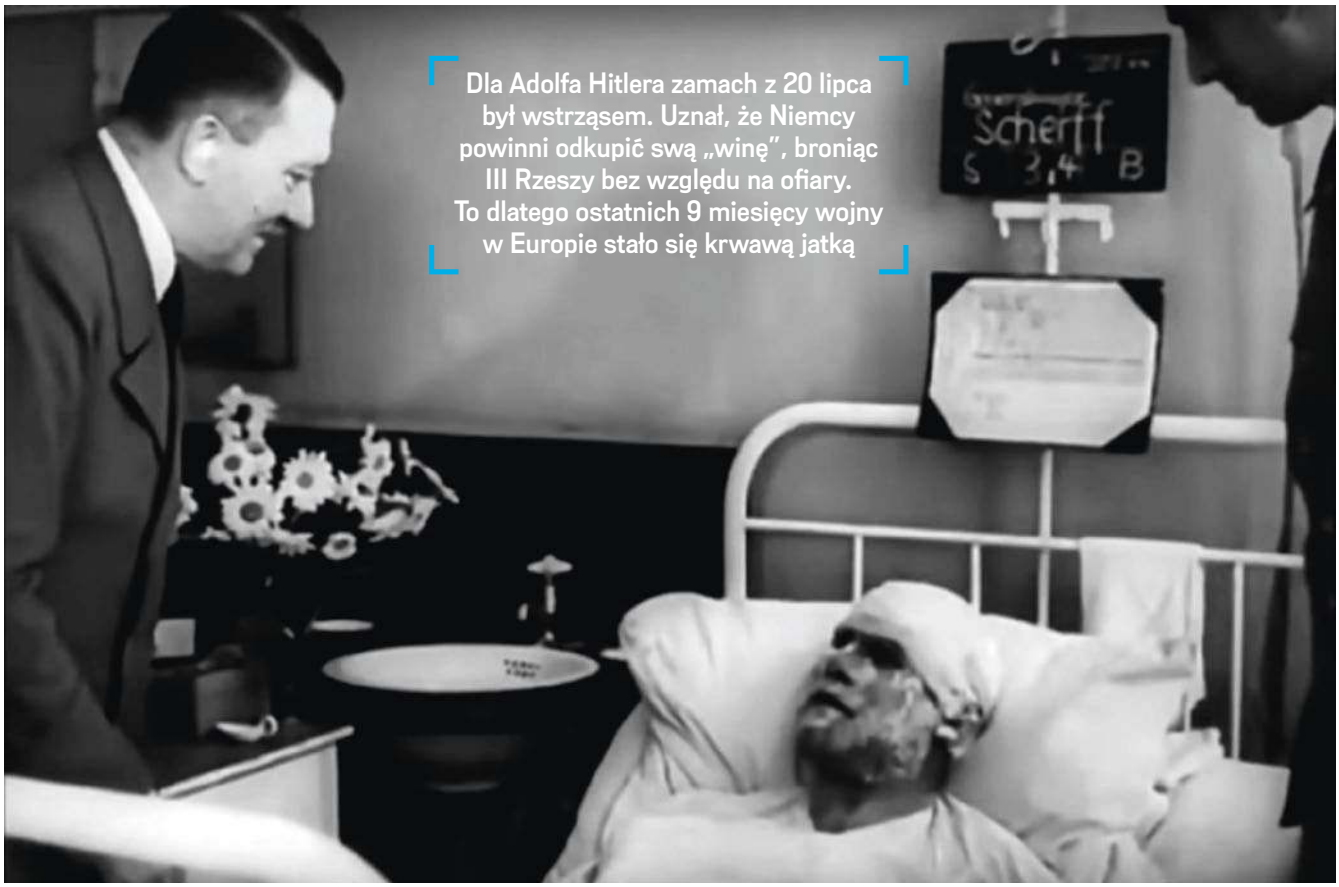

Dla Adolfa Hitlera zamach z 20 lipca był wstrząsem. Uznał, że Niemcy powinni odkupić swą „winę", broniąc III Rzeszy bez względu na ofiary. To dlatego ostatnich 9 miesięcy wojny w Europie stało się krwawą jatką

FOT. EAST NEWS / PUBLIC DOMAIN / MEDIADRUMWORLD.C

Niepowodzenie i represje

Zgodnie z planem spiskowców pod kryptonimem Walkiria zabicie Hitlera miało być tylko „zapalnikiem". W pierwszej fazie zamachu, zdominowanej przez niepewność, miały być błyskawicznie zajęte dzielnice rządowe, radio, ważne punkty dowodzenia oraz centrale łączności. Oddziały SS miały być zneutralizowane. Później przewidziano, że wszystkie kluczowe stanowiska rządowe i wojskowe oraz administracyjne uda się obsadzić odpowiedzialnymi osobami. Naczelnym dowódcą Wehrmachtu miał zostać feldmarszałek Erwin von Witzleben.

Jak powszechnie wiadomo, operacja Walkiria się nie powiodła. Mimo eksplozji ładunku wybuchowego podłożonego przez Stauffenberga w sali, w której odbywała się narada, w Wilczym Szańcu p. Kętrzynem, Hitler ocalał, odnosząc tylko niegroźne obrażenia. Gdy po kilku godzinach przemówił przez radio, pucz został stłumiony. Gen. Fromm kazał natychmiast rozstrzelać gen. Olbrichta, płk. Stauffenberga, płk. Quirnheima i por. von Haeftena na dziedzińcu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Fromm bał się, że spiskowcy w śledztwie mogą wymienić jego nazwisko, że coś wiedział. Niewiele mu to pomogło, bo też został skazany na śmierć. Rozwścieczony Heinrich Himmler, Reichführer-SS i szef RSHA (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy), nakazał rozstrzelanych spiskowców odgrzebać, pozdejmować im odznaczenia, a ciała skremować. W sumie po 20 lipca stracono ponad 200 osób, w tym feldmarszałka von Witzlebena, 19 generałów i wielu oficerów, ambasadorów, dyplomatów, szefa policji kryminalnej i innych urzędników, podejrzanych o związki ze spiskiem. Łącznie represje dotknęły ok. 5 tys. osób.

Co by było, gdyby...?

A co by się stało, gdyby zamach się udał? Myślę, że spiskowcy mogliby się srogo rozczarować. Celem aliantów była walka zakończona bezwarunkową kapitulacją Niemiec. Już na konferencji w Casablance w styczniu 1943 r. ustalili to prezydent Roosevelt z premierem Churchillem. Zaakceptował to także Stalin. Szczególnie forsował to Churchill. Znamienne może być zakazanie brytyjskim służbom specjalnym prowadzenia jakiejkolwiek operacji mającej na celu zabójstwo Adolfa Hitlera.

Myślę, że takie zakończenie całej tej sprawy było także korzystne dla Polski. Wyobraźmy sobie, że zamach się udał i Hitler zginął, a alianci, nie czekając na Stalina, zgodziliby się na zawieszenie broni z Niemcami i zakończyli wojnę na Zachodzie. Co by się stało z naszą granicą zachodnią? Tzw. Ziemie Odzyskane liczą 103 tys. km², czyli ok. 30 proc. terytorium dzisiejszej Polski. Należy przy tym pamiętać, że ZSRR zabrał połowę Polski przedwojennej. Aż strach pomyśleć. W tych swoich dywagacjach mogę się oczywiście mylić, bo wobec ogromu zbrodni niemieckich i rozpętania straszliwej pożogi wojennej alianci nie mogli zrezygnować z doprowadzenia do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

Reasumując, należy podkreślić, że mimo wszystkich zastrzeżeń, głównie z powodu dużo spóźnionej refleksji społeczeństwa niemieckiego, to samym spiskowcom wojskowym i cywilnym, z których większość oddała swoje życie, należy okazać szacunek i zachować w pamięci.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

JEDNYM Z NAJMNIEJ ZNANYCH EPIZODÓW W HISTORII WARSZAWY SĄ NALOTY SOWIECKIE W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ. PRZEZ 45 LAT PO WOJNIE O TEJ SPRAWIE Z WIADOMYCH POWODÓW MILCZANO. DZISIAJ KWESTIA SOWIECKICH NALOTÓW NADAL NIE JEST SZERZEJ ZNANA

SOWIECKIE NALOTY NA WARSZAWĘ

MICHAŁ GRUSZCZYŃSKI

Naloty sowieckie na Warszawę rozpoczęły się zaraz po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

Do pierwszego ataku doszło już 23 czerwca. Celem ataku dokonanego przez „kilka bombowców" miały być most Kierbedzia i Okęcie. Skuteczność tego nalotu, zwłaszcza pod względem celności, pozostawiała wiele do życzenia. Tak będzie też w przypadku kolejnych nalotów Sowietów na miasto: „Bomby rzucone na most – trafiły w wóz tramwajowy koło kościoła Św. Floriana, w Wisłę, Krak.[owskie] Przedm.[ieście], w dom zajęty przez Niemców przy ul. Focha 6, oraz ruiny Teatru Narodowego. Na Okęciu zapalono 1 hangar" – podawał „Biuletyn Informacyjny" (26 czerwca 1941). Kolejny numer „Biuletynu" (3 lipca) dodawał: „Do opisu nalotu dokonanego w drugim dniu wojny [23 czerwca], przybywa ważny szczegół: w dniu tym zbombardowano pole wyścigowe na Służewcu, gdzie zginęło około 40 niemieckich żołnierzy z oddziałów lotniczych, a kilkudziesięciu zostało rannych". W podsumowaniu autor napisał: „Nalot wykazał w całej pełni nieudolność zarówno atakujących, jak i broniących. Lotników rosyjskich cechowało tchórzostwo (trzymali się wielkiej wysokości) i mała skuteczność bombardowania. Niemiecka obrona – zawiodła: alarm ogłoszono w 15 min. po pierwszych bombach. Rosjanie odlecieli nieścigani".

W wyniku pierwszego nalotu śmierć poniosły „34 osoby cywilne, ranionych zostało kilkadziesiąt. W domu na Focha zabito i raniono pewną ilość żołnierzy niemieckich".

Ofiary polskie

W następnych dniach Warszawa przeżyła kolejne naloty sowieckie, o czym informował „Biuletyn Informacyjny" (26 czerwca 1941): „Pojedyncze samoloty sowieckie 24 i 25 czerwca zrzuciły bomby na węzeł kolejowy (poza granicami miasta), na składy na Towarowej, na Most Kolejowy. Celność – mała. Niemiecka obrona – działa słabo". Strona sowiecka nie poniosła żadnych strat.

Kolejny atak, tym razem pojedynczego samolotu, nastąpił „13 XI [1941] około godz. 11 przy dobrej widoczności i bezchmurnym niebie – nieznany samolot zrzucił na Warszawę około 8 bomb. Bomby, choć zrzucone z dużej wysokości (samolot nie był widziany ani słyszany) – były celne, gdyż część z nich uszkodziła główny tor kolejowy przy ul. Towarowej, ponadto rampę, tory boczne i budkę dróżnika. Ruch kolejowy na tej linii wstrzymany był przez prawie dobę. Niestety część pocisków padła w rejonie ulic Srebrnej i Miedzianej – uszkadzając trzy domy, zabijając około 50 ludzi i raniąc powyżej stu. W setce domów tej dzielnicy powypadały doszczętnie szyby". Na zakończenie dodano: „Z nieszczęścia ludzkiego pośpieszyli skorzystać kanalie: w ciągu paru godzin cena szkła okiennego zwyżkowała parokrotnie" („BI" z 20 listopada 1941).

Kolejny rok, 1942, przyniósł Warszawie następne naloty, z udziałem większej liczby samolotów, z większą ilością zniszczeń, ale przede wszystkim strat wśród ludności cywilnej.

20 sierpnia 1942 r. o godz. 23:15 nastąpił kolejny nalot. Atak przeprowadzono w trzech falach po 9–12 samolotów. Bombardowano znów z dużej wysokości (2–3 tys. m). Teren ataku został intensywnie oświetlony rakietami. Na miasto spadło ok. 250 bomb burzących i zapalających o różnej wadze (100–300 kg). Wraz z nimi zrzucono ulotki propagandowe skierowane do żołnierzy niemieckich. Wybuchło 12 pożarów, głównie w dzielnicach mieszkalnych, które do świtu ugaszono. Meldunek wywiadowczy AK z 27 sierpnia 1942 r. dodawał: „Sądząc z położenia niektórych serii w pobliżu domniemanych celów, bombardowanie planowano na następujące obiekty: dworce, Urząd Telekomunikacyjny, Bielany, Okęcie, Gestapo na Szucha, Pasta. Żaden z domniemanych celów nie ucierpiał!".

eprasa.pl 88a0ab6d8b

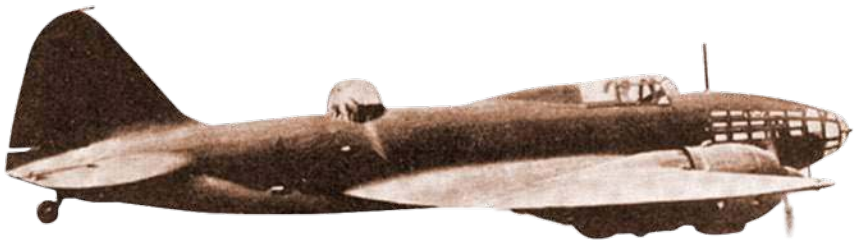

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (4X); ARCHIWUM (2X)

Radzieckie bombowce dalekiego zasięgu Il-4 (po prawej), Pe-8 (po lewej)

Straty według meldunku – 800 zabitych Polaków i 1000 rannych. Wśród cywilów niemieckich ponad 200 zabitych i 400 rannych. Straty materialne wyceniono na 34 mln ówczesnych złotych. Były to dane urzędowe, a w rzeczywistości straty były znacznie wyższe. Dane wg „Biuletynu Informacyjnego" (27 sierpnia 1942) – straty wśród ludności polskiej obliczano na ok. 200 zabitych i ok. 800 rannych. Straty niemieckie (łącznie cywile i siły zbrojne) ok. 60 zabitych i poniżej 300 rannych. Liczbę pożarów obliczono na ok. 40, a liczbę budynków trafionych bombami – na ok. 50. W następnym numerze „Biuletynu" (3 września 1942) liczba ofiar wzrosła do ok. 130. „Straty w budynkach mieszkalnych rozłożyły się na całe miasto – szczególnie silnie ucierpiały domy przy ul. Marszałkowskiej, kilka domów na Żoliborzu, Sielcach itd."

O nalotach sowieckich donosiły „Biuletyny Informacyjne", m.in. te z 20 listopada 1941 r., 27 sierpnia 1942 r. i 20 maja 1943 r.

(„BI", 27 sierpnia 1942). Następnie gazeta informowała, że kilka bomb spadło „na urządzenia kolejowe na lewym brzegu Wisły, jedna bomba uszkodziła peron Dworca Zachodniego, poza tym uszkodzone zostały tory Dworca Wschodniego". Wstrzymano na kilka godzin ruch kolejowy w kierunku Żyrardowa i Lublina. „Poza tym jedna bomba uszkodziła warsztat naprawy samochodów na Woli, zapalony został skład materiałów pędnych w tej samej dzielnicy, uszkodzenia odniosły również urządzenia Fortu Bema. Trafiono fabrykę konserw, dykty, skład nasion itd. Bomby upadły również na lotniskach Okęcie i Bielany, przy czym wytwórnie samolotów nie zostały trafione. Podobno uszkodzono radiostację na Bielanach".

Niemiecka indolencja

Nalot całkowicie zaskoczył Niemców. Alarm ogłoszono dopiero w momencie eksplozji pierwszych bomb. Ogień do samolotów otworzyło jedynie kilka karabinów maszynowych z koszar lotniczych przy ul. Puławskiej, ale strzelano bez użycia reflektorów. Myśliwce nocne i baterie dział przeciwlotniczych do akcji nie weszły. Nalot zakończył się o godz. 1.00.

Jedynym powodem do satysfakcji było zachowanie się Niemców w czasie nalotu: „Wojsko, władze i ludność niemiecka – zachowanie się więcej niż nerwowe, raptowny spadek buty i pewności siebie" (meldunek z 29 sierpnia 1942). Potwierdza to „Biuletyn" (27 sierpnia 1942): „W ciężkim przejściu, jakim dla ludności Warszawy był nalot sowiecki, dużą pociechą było wyjątkowo tchórzliwe zachowanie się Niemców, zarówno wojskowych jak i cywilnych. Szukając schronienia w pewniejszych, jak im się zdawało, domach polskich, wpadali tam dosłownie bez portek, trzęsąc się ze strachu. W szeregu wypadków straże opuściły swe posterunki, a znany jest wypadek ucieczki samochodem wieloosobowej placówki wojskowej, która oparła się kilkadziesiąt kilometrów za Warszawą". Kolejny numer (3 września 1942) uzupełniał: „Paniczne nastroje Niemców przebywających w Warszawie, wyraziły się m.in. masowym poszukiwaniem przez nich mieszkań w miejscowościach podwarszawskich. Wiele rodzin niemieckich urzędników już się przeprowadziło".

W trzecią rocznicę ataku niemieckiego na Polskę – 1 września 1942 r. – Warszawa ponownie stała się ofiarą kolejnego sowieckiego nalotu. Był on jeszcze bardziej chaotyczny i dokonał więcej zniszczeń wśród ludności cywilnej.

Rozpoczął się o 22:30. Samoloty sowieckie zrzuciły ponad 200 bomb, „w tym kilkadziesiąt cięższych". Bombardowano ponownie z wysokiego pułapu (1–2,5 tys. m) i tak samo teren został oświetlony rakietami.

Zbombardowano m.in. dwa szpitale cywilne – Dzieciątka Jezus i Świętego Łazarza. „Straty niemieckie nieznaczne" (Meldunek Sytuacyjny z 11 września 1942 r.). W czasie nalotu zniszczono centralę łączności transportu wojskowego »

SZANUJ WYSIŁEK DRUKARZY I KOLPORTERÓW! ODDAJ PISMO W PEWNE RĘCE. NIE NISZCZ.

BIULETYN informacyjny

O MOCNE NERWY

BIULETYN INFORMACYJNY

Warszawa

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» w gmachu Ministerstwa Komunikacji i część szpitala wojskowego na Pradze. Z zakładów pracujących dla Niemców zburzono piekarnię Michlera i fabrykę margaryny Wetzla. Wywiad AK podejrzewał, że w czasie nalotu z załogami sowieckich bombowców współdziałali dywersanci przez sygnalizację światłami z ziemi. „Biuletyn Informacyjny" (10 września 1942) podawał, że w nalocie wzięło udział 20–30 samolotów. Zrzucono ok. 300 bomb burzących i zapalających (w tym bomby cięższe). Głównym obszarami bombardowania były: Wola, Powiśle („od wiaduktu mostu Poniatowskiego aż po Nowy Zjazd") i Praga (okolice Dworca Wileńskiego). Największemu zniszczeniu uległ pl. Kercelego na Woli – słynny Kercelak – tak często opisywany przez Stefana Wiecheckiego „Wiecha". „Najskuteczniej zbombardowano Pl. Kercelego, na którym spłonęło ponad 1000 straganów i kramów. Wartość towarów spalonych na Kercelaku obliczają według cen dzisiejszych na 200 do 300 milionów złotych". Po tym nalocie Kercelak już się nie odrodził. Zbombardowanie Kercelaka wywołało kryzys zaopatrzeniowy i doprowadziło do gwałtownego zwiększenia cen żywności.

Sowieckie bomby uszkodziły lub zniszczyły ok. 100 budynków mieszkalnych i spowodowały śmierć ok. 200 Polaków. „Spośród obiektów zajętych przez Niemców, uszkodzono cztery budynki szpitalne (jeden ciężko), poważnie uszkodzono gmach Ministerstwa Komunikacji. Uszkodzono również tory i stojące na nich wagony na dworcu Wileńskim. Drobne uszkodzenia odniósł również dworzec pocztowy przy ul. Żelaznej". Wspomniany meldunek wywiadowczy podawał inne dane dotyczące zniszczeń, ale i one były wysokie: straty ludności ok. 100 zabitych i 300 rannych, domów zburzonych 32, uszkodzonych 40, „rozrzuconych po całym mieście".

Tak samo jak poprzednio nie było żadnego przeciwdziałania ze strony niemieckiej obrony przeciwlotniczej.

Tak jak w czasie nalotu 20/21 sierpnia Niemców opanowała panika, ale także to samo zachowanie – masową ucieczkę z Warszawy „nie tylko ludności zamożniejszej, lecz szerokich rzesz mieszkańców" – zaczęto obserwować wśród Polaków, co mogło być wyrazem wyczerpania nerwowego ludności cywilnej trudami wojny i okupacji. Nalot pogłębił także negatywne nastawienie warszawiaków do Sowietów.

FOT. MNW

Jedyne znane zdjęcie dokumentujące sowiecki nalot na Warszawę – rozbity bombą róg cmentarza u zbiegu ulic Powązkowskiej i Okopowej

Warszawa znów cierpi

Ostatnie samoloty sowieckie odleciały znad Warszawy o 23:15.

O kolejnym nalocie, tym razem pojedynczego samolotu, pisał „Biuletyn Informacyjny" (17 września 1942). Zaatakowano średnicowy most kolejowy. „Trzy bomby upadły w pobliżu przyczółka mostowego po stronie warszawskiej. Powstały uszkodzenia torów, których naprawa trwała około 10 godzin, w czasie których ruch pociągów na linii średnicowej był wstrzymany. Nieco dłużej trwała naprawa porwanej sieci elektrycznej".

Następny duży nalot na Warszawę nastąpił 12 maja 1943 r. o 23:20 i odbył się w kilku falach. Obszar miasta tak samo jak poprzednio został oświetlony. Sowieci ponownie zaskoczyli Niemców. Alarm został ogłoszony za późno i pierwsze bomby spadły na śpiących mieszkańców.

W oficjalnym komunikacie Sowieci poinformowali, że nalot był skierowany przeciw transportom wojskowym, w rzeczywistości ponownie ucierpiała ludność cywilna, i to z najuboższych dzielnic.

Zbombardowano hale targowe na ul. Koszykowej i na pl. Kazimierza, wielkie szklarnie i inspekty przy Instytucie Głuchoniemych na pl. Trzech Krzyży i przy szkole Giżyckiego na Wierzbnie. Skutki ataku odczuły także ulice: 6 Sierpnia, Koszykowa, Marszałkowska, Wspólna, Emilii Plater, Rakowiecka (zniszczeniu uległ Państwowy Instytut Geologiczny), Grójecka, Grochowska. Uszkodzeniu uległy filtry, w wyniku, czego przez wiele dni Warszawa pozostawała bez wody. Podobnie było z komunikacją tramwajową.

Według meldunku AK (z 28 maja 1943) atak robił wrażenie nieprzygotowanego, czego najlepszym przykładem było zniszczenie wspomnianych szklarni. „Należy sądzić, iż piloci bolszewiccy szkło błyszczące w świetle księżyca i rakiet brali za szklane dachy fabryk zbrojeniowych, co dowodzi, jak bezplanowym był nalot".

Straty wśród cywilów były bardzo wysokie – 500 zginęło, przeszło tysiąc było rannych. Zniszczeniu uległo ponad 100 budynków. Setki rodzin zostały bez dachu nad głową.

Straty niemieckie – „Poza drobnym uszkodzeniem torów w kierunku zachodnim od Warszawy, większych szkód w obiektach wojskowych nie dokonano" (meldunek z 26 maja 1943). „Biuletyn Informacyjny" (20 maja 1943): „Zniszczono 1 warsztat – garaż z 10 samochodami".

Wraz z bombami zrzucono ulotki, które m.in. wzywały do sabotażu i akcji partyzanckiej „za Waszą i Naszą Wolność – o Silną, Niepodległą Polskę", ponieważ „wybiła godzina czynu".

Po dwóch godzinach niebo nad Warszawą było spokojne.

W 1944 r., kiedy front sowiecki zbliżał się do Warszawy, miały miejsce kolejne naloty – 27/28 i 28/29 lipca oraz we wrześniu 13, 19 i 21. Ale to już inna historia – powstańczej stolicy.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ZA NASZĄ CZY WASZĄ WOLNOŚĆ?

O POLSKIEJ ARMII W ZSRS SŁYSZAŁ CHYBA KAŻDY. TĄ PATRIOTYCZNO-KOMUNISTYCZNĄ MITOLOGIĄ EPATOWANO PRZEZ CAŁY OKRES PRL, CHOĆ ZGRABNIE POMIJANO WĄTEK, SKĄD W GŁĘBI IMPERIUM WZIĘLI SIĘ MŁODZI LUDZIE, POLACY, ZDATNI DO SŁUŻBY WOJSKOWEJ. ALE I TAK WSZYSCY WIEDZIELI ALBO SIĘ DOMYŚLALI

KRZYSZTOF JASIEWICZ

Jedyna słuszna wersja obowiązywała w podręcznikach szkolnych, wydawnictwach encyklopedycznych i „naukowych", w propagandzie. I tak to z inicjatywy „polskich" komunistów zgrupowanych w Związku Polskich Patriotów – żeby było śmieszniej, nazwę ponoć wymyślił sam Stalin, jak wiadomo, największy polski patriota – który uzyskał zgodę władz sowieckich na utworzenie u boku Armii Czerwonej polskiej dywizji, znanej potem jako Pierwsza Warszawska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowodzonej przez gen. Zygmunta Berlinga. Jej formowanie rozpoczęto w maju 1943 r. w Sielcach n. Oką. Berling w okresie od sierpnia 1943 do czerwca 1944 r. spotkał się sześć razy na Kremlu ze Stalinem. Niedoszkoloną i niedozbrojoną dywizję, wchodzącą w skład 33. Armii Frontu Zachodniego, skierowano w październiku 1943 r. w rejon miejscowości Lenino w obwodzie mohylewskim (BSRS) z zadaniem przełamania obrony niemieckiej nad rzeką Miereją, między wsią Sysojewo i Lenino, opanowania wsi Trygubowo i Połżuchy i rozwinięcia natarcia na linię Dniepru. Swoje działania rozpoczęła rankiem 12 października 1943 r., forsując rzekę Miereja i zdobywając wieś Połżuchy; z 13 na 14 października została zluzowana przez pododdziały sowieckie. Tak powstała jedna z legend założycielskich Polski Lubelskiej – zwycięska bitwa pod Lenino, a jej początek 12 października był czczony przez cały okres po- »

Ćwiczenia Armii Polskiej w ZSRS. Widoczny m.in. gen. Władysław Anders (siedzi z lewej) oraz oficerowie sowieccy i przedstawiciele miejscowych władz, 1942 r.

FOT. NAC

eprasa.pl

» wojenny jako Dzień Wojska Polskiego. Według oficjalnych danych Niemcy stracili ok. 1,5 tys. zabitych, 329 wzięto do niewoli. Po stronie polskiej straty wyniosły: 502 zabitych, 1776 rannych i 663 zaginionych. Były one więc ogromne, chociaż ich rozmiar został prawdopodobnie zaniżony. Było to zwycięstwo pyrrusowe i przypadkowe. Podobno zdarzało się, że grupy przerażonych polskich żołnierzy, uciekając przed ogniem nieprzyjaciela, a faktycznie nie wiedząc o tym, biegły, jakby w ataku chciały przełamać front.

Zdążyli do Andersa

Z tej jednostki z czasem powstał Pierwszy Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS (formowany od sierpnia 1943 r. też pod dowództwem Berlinga), 16 marca 1944 r. utworzono Pierwszą Armię Wojska Polskiego. Przekraczając Bug, „polskie" wojsko liczyło ponad 100 tys. żołnierzy i oficerów. 21 lipca 1944 r. na mocy ustawy Krajowej Rady Narodowej połączono Armię Ludową z formacjami polskimi powstałymi w ZSRS w Ludowe Wojsko Polskie (LWP).

O żołnierzach Berlinga potocznie mówiło się jako „o tych, którzy nie zdążyli do Andersa". Tak się bowiem składało, że dwa lata wcześniej sformowano polską armię, zwaną Armią Andersa, której istnienie było ukrywane lub fałszowane przez historiografię i propagandę w okresie panowania tzw. władzy ludowej. Zaraz po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej 22 czerwca 1941 r. nastąpiła zmiana sytuacji międzynarodowej, która umożliwiła polskiemu rządowi na uchodźstwie podpisanie 30 lipca 1941 r. w Londynie polsko-sowieckiego układu, zwanego układem Sikorski–Majski (ambasador sowiecki w Londynie), który przewidywał m.in. tzw. amnestię dla obywateli polskich oraz utworzenie polskiego wojska w ZSRS. „Dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRS nr 29/160 o amnestii dla obywateli polskich" z 12 sierpnia 1941 r. umożliwił tysiącom polskich więźniów, łagierników i deportowanych wyjście na wolność, na mocy zaś umowy między polskim rządem w Londynie a rządem ZSRS z 14 sierpnia 1941 r. rozpoczęto formowanie armii polskiej w europejskiej części rosyjskiej FSRS (nad Wołgą), w Uzbekistanie i Kirgizji. W styczniu 1942 r. władze sowieckie usiłowały skłonić gen. Władysława Andersa do wysłania sformowanych jednostek na front, ale ów przezorny dowódca, który kochał swoich żołnierzy, nie zdecydował się na ten krok wydający na pewną śmierć jeszcze niewyszkolone i słabo uzbrojone wojsko. W marcu tego roku formacje polskie osiągnęły liczebność 62 tys. żołnierzy, ale pod pretekstem, że Wielka Brytania nie dostarczyła wystarczającej ilości sprzętu i uzbrojenia, władze sowieckie ograniczyły wielkość kontyngentu do 44 tys., pozostali zostali ewakuowani w marcu i kwietniu do Iranu (tzw. pierwsza ewakuacja).

Polskie jednostki stanowiły problem polityczny, bo rząd brytyjski czynił wysiłki, by je ewakuować na Bliski Wschód, głównie do obrony terenów roponośnych w Iraku, natomiast władze sowieckie nie potrzebowały formacji, nad którymi dowództwo sprawował polski rząd w Londynie. W tej sytuacji całość Armii Andersa została ewakuowana na Bliski Wschód (tzw. druga ewakuacja) w sierpniu 1942 r. Łącznie ZSRS opuściło ok. 114 tys. osób, w tym ok. 25 tys. cywilów.

W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ NA TERENIE ZWIĄZKU SOWIECKIEGO PRÓBOWANO DZIEWIĘCIOKROTNIE UTWORZYĆ JAKĄŚ POLSKĄ JEDNOSTKĘ CZY ARMIĘ, Z CZEGO PIĘĆ PRÓB SIĘ POWIODŁO, CZTERY ZAKOŃCZYŁY SIĘ FIASKIEM

Z przykrością należy odnotować, że prawie wszyscy żołnierze polscy narodowości żydowskiej zdezerterowali w Palestynie, a wśród 25 tys. osób cywilnych dużą grupę stanowili polscy Żydzi, którzy z pomocą fałszywych metryk i innych dokumentów wydostali się na polskich plecach w tym samym celu co dezerterzy, kosztem Polaków zostawionych samym sobie na poniewierkę.

Armie polskie, których nie było

Te dwie próby zakończone utworzeniem jakiegoś polskiego wojska w ZSRS nie wyczerpują zagadnienia. W sumie w czasie II wojny światowej na terenie Związku Sowieckiego próbowano dziewięciokrotnie utworzyć jakąś polską jednostkę czy armię, z czego pięć prób się powiodło, a cztery zakończyły się niepowodzeniem albo nie poznaliśmy ich finału.

Po trzecie. Trzymając się chronologii – we wrześniu 1939 r. na okupowanych przez Sowietów terytoriach polskich pojawiły się plakaty wzywające do ochotniczego zaciągu do Armii Czerwonej. Nie jest znany odzew na tę propozycję, a nawet nie wiemy, czy to miało coś wspólnego z jakąś polską jednostką/armią u boku Sowietów. Jednak za tym, że taka możliwość mogła być brana pod uwagę, przemawiają dzieje gen. Władysława Andersa w sowieckiej niewoli. Składano mu bowiem też propozycje wstąpienia do Armii Czerwonej wraz z nadaniem stopnia komandarma, czyli dowodzącego armią (polski odpowiednik tego stopnia to generał broni). Miałoby to sens tylko wówczas, gdyby z zaciągu i poboru Polaków wyłonić jednostkę/armię, która ma opanowane regulaminy i szkolenie wojskowe na modłę sowiecką dające szanse na współdziałanie z pododdziałami sowieckimi.

Po czwarte. Z protokołu przesłuchania gen. dywizji w st. spocz. Mariana Januszajtisa na Łubiance dowiadujemy się, że rozmawiał on w pierwszej połowie października 1939 r. z gen. brygady Władysławem Langnerem, dowódcą obrony Lwowa (a w latach 1931–1934 zastępcą II wiceministra spraw wojskowych, potem dowódcą Okręgu Korpusu VI Lwów) o możliwości utworzenia z resztek armii polskiej oddziałów do walki z Niemcami. Langner miał to negocjować z władzami sowieckimi we Lwowie, ale nic nie wiadomo, czy takie kontakty miały miejsce. I nic nam nie wiadomo, by jakikolwiek oddział polski powstał w wyniku inicjatywy polskich generałów. Ta koncepcja może się wpisywać w prowadzone od późnej jesieni 1939 r. sowieckie zabiegi na rzecz utworzenia „Republiki Sowiecko-Polskiej" (względnie „Sowieckiej Polski") na terytorium okupacji niemieckiej, w granicach po Odrę wraz z Prusami Wschodnimi i Gdańskiem w zamian za zrzeczenie się ziem wschodnich II RP. Pozyskiwanie sojuszników na rzecz tej idei dokonywano poprzez kupczenie stanowiskami. Po stro-

eprasa.pl 88a0ab6d8b

nie polskiej w tych rozmowach brali udział profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie: Leon Halban (prawnik), Ludwik Kolankowski (historyk), Adam Fischer (etnograf) oraz Kazimierz Malecki z Włoch, Zbigniew Szczygieł z Jugosławii i Stanisław Rej ze Lwowa. Stronę sowiecką reprezentowali Pietr Grigorjewicz Milanow i Iwan Dmitrijewicz Surob. I w tym przypadku nie znamy finału.

Po piąte. Premier Władysław Sikorski, zwolennik poszukiwania jakiegoś modus vivendi z Sowietami, przebywając w listopadzie 1939 r. z wizytą w Londynie, napisał – wspólnie ze Stanisławem Litauerem – projekt memoriału postulującego utworzenie z jeńców polskich 250-tysięcznej armii w ZSRS. Litauer był pośrednikiem, który przekazał ten memoriał czynnikom sowieckim w Londynie. Odpis memoriału dotarł do lorda Halifaxa. Potwierdza to również Jerzy Klimkowski, adiutant gen. Andersa, który spotkał się z Sikorskim, a ten, wspominając swój pobyt w Londynie, wyraźnie stwierdził, że próbował za pośrednictwem Anglików szukać jakiegoś porozumienia z Sowietami, z myślą również o stworzeniu polskich wojsk na Wschodzie.

Po szóste. Pomysł Sikorskiego o utworzeniu polskiej armii funkcjonuje jeszcze w 1940 r., tyle że mowa w nim o armii 300-tysięcznej, co zapewne wynikało z uwzględnienia polskiej młodzieży wywiezionej w deportacjach lub osadzonej w łagrach. Tymczasem już wówczas rozgrywał się największy dramat polski. Sowieci mieli jednak swój bardzo konkretny plan, który realizują w latach 1940–1941. Dokonują selekcji zdobycznego materiału ludzkiego pod kątem wykorzystania dla potrzeb imperium, w tym utworzenia przynajmniej jakiejś jednostki złożonej z Polaków. W tej koncepcji mieści się Zbrodnia Katyńska, z której ocaleli oficerowie wykazujący chęć walki z Niemcami u boku Armii Czerwonej.

Po siódme. Prawdopodobnie z powyższą koncepcją koresponduje utworzenie polskiej dywizji w Środkowoazjatyckim Okręgu Wojskowym. 4 czerwca 1941 r. Politbiuro KC WKP(b) podjęło decyzję o utworzeniu w składzie Armii Czerwonej jednej dywizji strzeleckiej [...] „skompletowanej z kadry polskiej narodowości i znającej język polski. Tworzenie dywizji – czytamy w dokumencie – zrealizować przez uzupełnienie do 1 lipca 1941 r. 238. Dywizji Strzeleckiej Środkowo-Azjatyckiego Okręgu Wojskowego Polakami i osobami, znającymi język polski, odbywającymi służbę w jednostkach Armii Czerwonej [...]. 238. Dywizję Strzelecką utrzymać w składzie liczebnym 10 298 osób". Z zachowanej dokumentacji dowiadujemy się, iż 238. Dywizja Strzelecka została stworzona na mocy rozkazu Ludowego Komisariatu Obrony ZSRS z 17.041941 r., który określił miejsce jej formowania jako północno-wschodnia część ZSRS – terytorium Kazachskiej SSR. Formowanie rozpoczęto między 20 kwietnia a 9 sierpnia 1941 r.; jej dowódcą został płk Korotkow. Dywizja składała się z trzech pułków strzeleckich (830. dyslokowany w Semipałatyńsku; 837. w Kamienogorsku, 843. w Ałma-Acie), pułku artylerii (693. w Semipałatyńsku), pułku haubic (173. w Ałma-Acie) i kilku pomocniczych batalionów stacjonujących w Semipałatyńsku. W spisach kadr pojawiają się wyłącznie nazwiska rosyjskie. Jedyne polskobrzmiące nazwisko nosił naczelnik sztabu dywizji – Machlinowski (imię niepodane). Sztab 238. Dywizji znajdował się w Semipałatyńsku. Pełną (?) zdolność bojową jednostka uzyskała 25 sierpnia 1941 r., 29 sierpnia 1941 r. nastąpiła jej koncentracja w Aszchabadzie w Turkmenii, gdzie weszła w skład 53. Armii, z którą podążyła na front. Z braku dokumentów trudno wyrokować, jakie powody skłoniły władze sowieckie do tworzenia polskiej jednostki w Kazachstanie: może obecność wśród polskich zesłańców, także z deportacji przedwojennych osób w wieku poborowym? Ale w 1939 r. w wojskach tego okręgu odsetek Polaków wynosił 0,12 proc., a w 1938 r. – zaledwie 0,07 proc. Ani jednego Polaka nie było w młodszej kadrze dowódczej. W Centralnym Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej w Podolsku nie zachowały się inne archiwalia o 238. Dywizji Strzeleckiej i jej losach.

Po ósme. Ostatecznie z końcem czerwca 1941 r. sformowano w Tyflisie (Tbilisi) w Gruzji polską brygadę, a następnie w początkach lipca tegoż roku ją rozformowano. Prawdopodobnie musiano zrezygnować z formowania lub uzupełnienia 238. Dywizji i zapewne Politbiuro w tej sprawie wydało jakąś decyzję, której jeszcze nie poznaliśmy.

Oddział Drzazgi

Wreszcie, po dziewiąte. Na tym tle dość niepozornie prezentuje się jedyna udana próba zorganizowania polskiego (ochotniczego) oddziału walczącego u boku Sowietów z inicjatywy samych Polaków. Jej losy poznaliśmy z relacji Juliana Cunthera, który w maju 1940 r. wyjechał z Wilna do Estonii w poszukiwaniu pracy w rolnictwie. Na początku lipca 1941 r. zaciągnął się on ochotniczo – to interesująca informacja – do estońskiego oddziału walczącego z niemieckimi spadochroniarzami. To jest ciekawostka, bo na ogół ludność państw bałtyckich pojawienie się Niemców przyjmowała, po ciężkiej okupacji sowieckiej, z radością i z nimi nie walczyła – taki jest obecny stan naszej wiedzy. Ale nie można wykluczyć, że estoński oddział był częścią 22. Korpusu Terytorialnego RKKA, który składał się z 10 738 żołnierzy estońskich z b. armii Estonii. Z tej bowiem armii Sowieci, po aneksji Estonii w 1940 r., wybrali niektórych żołnierzy do tworzonych w państwach bałtyckich korpusów terytorialnych armii sowieckiej. Jednak oddział naszego relacjonisty wskutek złej sytuacji na froncie „został rozwiązany" (co sugeruje, że mógł to być oddział składający się z ochotników estońskich, a nie z żołnierzy estońskich z sowieckiego 22. Korpusu Terytorialnego), a on sam dotarł do Tallina i tam wstąpił do polskiego oddziału ochotniczego, zorganizowanego 12 lipca 1941 r. przez kpt. Tadeusza Lubińskiego z 77. pułku piechoty, posługującego się w Estonii pseudonimem Drzazga, któremu pomagał sierż. pchor. Władysław Miłkowski – hallerczyk. „Walczyliśmy cały miesiąc jako oddział polski razem z armią rosyjską – pisze Cunther – przeciwko Niemcom". Co także bardzo ciekawe, autonomię tego oddziału respektowały sowieckie władze wojskowe. Z ich ramienia kontaktami z Polakami zajmował się pułkownik związany z sowiecką marynarką wojenną, niejaki Frołow. Sowiecki oficer obiecywał polskim ochotnikom swoje poparcie i opiekę w Leningradzie, do którego odesłano Polaków, oraz obiecywał dalszą walkę, mundury i żołd. Słowa nie dotrzymał albo dotrzymać nie mógł. Po dwóch tygodniach pobytu w Leningradzie ochotników rozbrojono i odesłano w okolice Swierdłowska, gdzie rzekomo miała powstawać polska armia. Faktycznie trafili do kołchozu, gdzie ich zapędzono do ciężkiej i brudnej pracy fizycznej. Nie jest znana dokładna liczebność polskiego oddziału. Nie liczył on jednak więcej niż kilkudziesięciu żołnierzy. Wiemy, że 25 z nich dotarło – po sowieckiej amnestii – do Armii Andersa. Żadne bliższe szczegóły o żołnierzach nie są znane.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

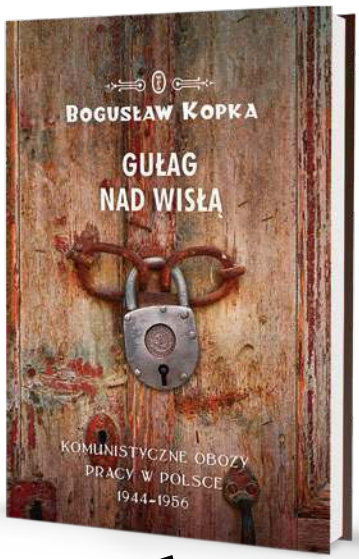

REMBERTÓW, ŁAMBINOWICE, JAWORZNO, POTULICE... WIELE ZROBIONO, ABY NIGDY NIE ZOSTAŁA ODKRYTA PRAWDA O TYCH MIEJSCACH KAŹNI. KSIĄŻKA BOGUSŁAWA KOPKI „GUŁAG NAD WISŁĄ. KOMUNISTYCZNE OBOZY PRACY W POLSCE 1944" PRZYWRACA PAMIĘĆ O MAŁO ZNANYCH MASOWYCH ZBRODNIACH NOWYCH, KOMUNISTYCZNYCH WŁADCÓW POLSKI. PRZEDSTAWIAMY FRAGMENTY TEJ PRACY POŚWIĘCONE OBOZOWI W REMBERTOWIE

GUŁAG REMBERTÓW

BOGUSŁAW KOPKA

Żołnierze Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych, folksdojcze, niemieccy jeńcy wojenni, Ślązacy, Rusini i Ukraińcy, polscy działacze niepodległościowi, poborowi, obywatele Polski Ludowej skazani za polityczne dowcipy – w życiorysach więźniów zazwyczaj trudno było znaleźć jakikolwiek wspólny mianownik. Łączyło ich najczęściej tylko jedno – uwięzienie w obozie koncentracyjnym, zwanym eufemistycznie „obozem pracy przymusowej".

Z rąk komunistycznych oprawców zginęły w okresie powojennym w Polsce tysiące osób. W wolnym świecie z niedowierzaniem przyjmowano informacje, że niemieckie obozy koncentracyjne znalazły nowe zastosowanie.

NKWD pod Warszawą

Obóz NKWD nr 10 w Rembertowie to największy z takich sowieckich obozów. Różnił się też od pozostałych – nie był przejściowym miejscem odosobnienia, lecz w założeniu miał stanowić obóz koncentracyjny dla ludności cywilnej i wojskowych, głównie z Warszawy i Mazowsza. Po upadku powstania warszawskiego wielu powstańcom udało się uciec z konwojów niemieckich; rozpierzchli się po lasach, zasilając wkrótce oddziały podziemia niepodległościowego. W październiku 1944 r. część z nich została aresztowana przez NKWD i UB i umieszczona w więzieniach na warszawskiej Pradze oraz właśnie w obozie w Rembertowie. Podobnie jak w przypadku niemieckiego Dulagu 121 w Pruszkowie, tak i o sowieckim specobozie Rembertów możemy napisać: „Tędy przeszła Warszawa".

Obóz został zlokalizowany na terenie byłej fabryki amunicji Pocisk przy ul. Wawerskiej (obecnie Marsa). Wcześniej, w czasie okupacji, Niemcy zorganizowali tu stalag 333 dla jeńców sowieckich, a od połowy lipca 1944 r. mieścił się tu niemiecki obóz pracy dla Polaków. Rembertów dysponował doskonałym połączeniem – niedaleko znajdowała się przeładunkowa stacja kolejowa. Obóz ulokowano na skraju lasu przy torach przystosowanych do ruchu wagonów z szerokim rozstawem osi, jakiego używa się w Rosji. Otoczony był podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego, a pomiędzy zabezpieczeniami pozostawiono zaorany pas ziemi, patrolowany przez strażników. Wzniesiono też wieże strażnicze, a w halach fabrycznych umieszczono piętrowe prycze dla więźniów. Jedną z jego cech charakterystycznych było wykorzystywanie więźniów funkcyjnych i agentów w celu zapewnienia kontroli nad uwięzionymi w nim żołnierzami i cywilami.

Aresztowani w obozie nr 10 byli żołnierzami AK, NSZ oraz działaczami narodowymi. Trafiali tu z placówek NKWD we Włochach i w Warszawie oraz z Pragi z ul. Strzeleckiej. Wśród uwięzionych w obławach organizowanych wspólnie przez UB, MO i NKWD można było znaleźć osoby z Warszawy i okolic (np. z Siedlec, Mińska Mazowieckiego). Odnotowano również transporty z dalszych miejscowości, np. z Białegostoku.

Wybitni więźniowie

Wśród więźniów tego obozu znalazł się m.in. dr Konrad Orzechowski – wybitny warszawski lekarz, specjalista w leczeniu gruźlicy. W latach międzywojnia był politycznie związany z Narodową Demokracją. Podczas wojny i okupacji niemieckiej z ramienia komisarycznego burmistrza miasta Warszawy Juliana Kulskiego szefował stołecznemu szpitalnictwu. Z polecenia Kulskiego uczestniczył w delegacji do Katynia w kwietniu 1943 r. „celem oględzin mogił polskich na Koziej Górze pod Smoleńskiem". W kontekście przygotowań do procesu zbrodniarzy nazistowskich w Norymberdze oraz próby zorganizowania procesu pokazowego w Polsce dr Orzechowski mógł być dla komunistów ważnym świadkiem. Ostatecznie z procesu zrezygnowano, a Sowietom nie udało się w Norymberdze obciążyć Niemców zbrodnią katyńską.

Orzechowski został aresztowany przez funkcjonariuszy UB 25 lutego 1945 r., po czym trafił do obozu w Rembertowie. 26 marca tego roku wywieziono go dalej na wschód. Ostatecznie znalazł się

eprasa.pl 88a0ab6d8b

w obozie nr 523 na Uralu, gdzie pracował jako więzień lekarz w niezwykle trudnych warunkach sanitarnych i medycznych. Do kraju powrócił w listopadzie 1947 r.

Najsłynniejszym więźniem rembertowskiego obozu był gen. Emil August Fieldorf „Nil". Schwytany przez NKWD w Milanówku p. Warszawą trafił do podwarszawskiego Błonia. 16 marca 1945 r. został przewieziony wraz z grupą innych aresztowanych do Rembertowa. Komunistyczna bezpieka nie wiedziała, że aresztowano generała, twórcę i komendanta legendarnej komórki dywersyjnej AK (Kedywu), a także ostatniego zastępcę komendanta głównego AK, legitymował się bowiem fałszywymi papierami na nazwisko kolejarza Walentego Gdanickiego. Kilka dni później, 25 marca, w Niedzielę Palmową, wywieziono go do łagru na Syberii.

W marcu 1945 r. został też aresztowany przez NKWD i osadzony w Rembertowie znany działacz polityczny Jan Hoppe. Urodzony w 1902 r., harcerz, podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego. W latach 1935–1938 był posłem na Sejm.

FOT. IPN

Płk Jan Mazurkiewicz „Radosław"

W czasie okupacji został wiceprezesem Stronnictwa Pracy, a podczas powstania warszawskiego pracował jako redaktor „Kuriera Stołecznego". Po upadku powstania opuścił Warszawę i kontynuował działalność w podziemnym Stronnictwie Pracy. Podobnie jak w wypadku „Nila" Sowieci po aresztowaniu Hoppego nie byli świadomi, z kim mają do czynienia – przesłuchującym go enkawudzistom przedstawił się jako Jan Chmielewski. Następnie został wywieziony do obozu jenieckiego w Związku Sowieckim. Na początku listopada 1947 r. powrócił do Warszawy, gdzie w lutym 1949 r. został ponownie aresztowany przez UB. Podczas procesu pokazowego oskarżono go o współpracę z gestapo i w kwietniu 1951 r. skazano na karę dożywotniego więzienia. Spędził dwa lata w więzieniu we Wronkach, a następnie został przeniesiony do więzienia mokotowskiego w Warszawie przy ul. Rakowieckiej. W wyniku trwającej w Polsce tzw. odwilży politycznej opuścił więzienie latem 1956 r., a dwa lata później doczekał się rehabilitacji. Nigdy już jednak nie powrócił do dawnej aktywności społecznej i politycznej.

Próba odbicia więźniów

W marcu 1945 r. płk Jan Mazurkiewicz „Radosław", szef Obszaru Centralnego organizacji NIE, następcy rozwiązanej w styczniu Armii Krajowej, przygotował plany rozbicia obozu rembertowskiego. Głównym celem akcji było uwolnienie gen. Fieldorfa; odbić więźnia miał por. Henryk Kozłowski „Kmita". Akcji nie udało się jednak przeprowadzić – udaremnił ją wielki transport więźniów do Soświy na Uralu 20 marca. Wywieziono »

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

śp.

ROMUALDA LAZAROWICZA

11 VIII 1953 – 2 VIII 2019

działacza opozycji przedsierpniowej, wielkiego człowieka Solidarności,
pisarza i publicysty, organizatora i drukarza wielu niezależnych inicjatyw wydawniczych.

Od 13 grudnia 1981 do maja 1982 Romuald Lazarowicz był redaktorem naczelnym pierwszego w czasie stanu wojennego, regularnie ukazującego się pisma „Z Dnia na Dzień". Jako współtwórca Radia Solidarność Walcząca kierował m.in. nadawaniem bezprecedensowej serii audycji, emitowanych na żywo we Wrocławiu, ogarniętym masowymi demonstracjami 31 sierpnia 1982. Należał do najaktywniejszych i najbardziej ofiarnych, niezłomnych działaczy solidarnościowej konspiracji, za co został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej, Medalem za Działalność Opozycyjną „Niezłomni". Jego zasługi w pracy na rzecz historycznego dziedzictwa Polaków wyróżnione zostały Krzyżem WiN oraz tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Wraz z Jego śmiercią Polska utraciła nadzwyczaj aktywnego, mądrego patriotę,
a także człowieka zawsze spieszącego z pomocą potrzebującym,
wzór obywatela bez reszty oddanego służbie Państwu i Ojczyźnie.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy głębokiego współczucia.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

7/0819/F

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» wtedy 1,5 tys. osób, w tym ponad 500 za przynależność do AK i NSZ. Wśród zesłanych byli Fieldorf, a także duża grupa mieszkańców Bydgoszczy, Fordonu i powiatu brodnickiego, którzy trafili do Rembertowa z Pomorza.

W przededniu kolejnej wywózki, przewidzianej na noc z 20 na 21 maja, w Zielone Świątki, na obóz przypuściły atak oddziały żołnierzy Armii Krajowej. Uderzenie przeprowadzono siłami trzech grup liczących łącznie 44 ludzi, dowodzonych przez ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichurę". Pomysłodawcą akcji był ostatni komendant Obwodu Mińsk Mazowiecki AK „Mewa-Kamień" kpt. Walenty Suda „Młot".

O dramatycznym przebiegu wydarzeń tej nocy i następstwach brawurowej akcji dowiadujemy się z pierwszej ręki, z grypsu więźnia schwytanego podczas pościgu zarządzonego przez NKWD i UB kilka godzin po ataku na obóz. List ten miał dotrzeć następnie do świeżo powołanej na miejsce NIE, Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Czytamy w nim: „W nocy z 20 na 21 V [19]45 ok. godz. 2 napadnięto na obóz izolacyjny w Rembertowie. Część ludzi uwięziono, resztę rozpuszczono. Obóz liczył ok. 1500 ludzi, z tego prawie połowa Polaków. Rozpuszczeni więźniowie udali się w różnych kierunkach. Jednak zaalarmowane różne jednostki sow[ieckie] wraz z MO zarządziły obstawianie drogi do Warszawy i innych miejscowości, zatrzymując kilkuset ludzi, których samochodami lub pieszo sprowadzono z powrotem do obozu. Ja osobiście zatrzymany zostałem przez żołnierzy sow[ieckich] w pobliżu Targówka i wraz z innymi sprowadzony do komend[anta] wojennego na Targówku, skąd samochodami przewieziono nas do obozu. Po wjeździe na teren obozu ustawiono nas w »dwójki« przed budynkiem sztabu, gdzie poddano rewizji, zabierając dosłownie wszystko, a nawet niektórych rozebrano z lepszej garderoby i obuwia. Mnie zabrano marynarkę i płaszcz, wszystkie drobiazgi i pieniądze, w sumie ok. 350 zł. Wszystko to działo się na oczach oficerów obozu z mjr. Kr[i]uczkinem na czele. Po ograbieniu wprowadzono ludzi pojedynczo do baraku, gdzie czekający oprawcy, zaopatrzeni w kawały drzewa okrągłego, deski, sztaby żelazne, bili każdego do nieprzytomności, zadając straszne rany i łamiąc kości. Barak, gdzie odbywała się masakra więźniów, mieścił się naprzeciwko sztabu, a sama masakra odbywała się na oczach oficerów obozu. Bili Rosjanie cywile w liczbie 6–7 osób oraz Rosjanie żołnierze. Cywilami byli miejscowi szewcy, »szofer«, »ślepy«, kucharz Niemiec i inni. Tego dnia, tj. 21 maja, zmasakrowano przeszło 100 osób. Widok był makabryczny. Podłoga zalana krwią, połamane deski i kawały drzewa ze śladami krwi oraz leżących nieprzytomnych ludzi, których z powodu połamania rąk i nóg trzeba było układać na pryczy. Ja osobiście odniosłem 3 głębokie rany głowy, złamanie lewej ręki i poważne obrażenia całego ciała. Po masakrze oficerowie sow[ieccy] kazali iść pod studnię i zmyć krew. Przez 3 dni nikt nie otrzymał żadnego opatrunku, dopiero 4. dnia przybył sanitariusz sow[iecki] z dwiema sanitariuszkami, którzy tylko ciężko pobitych prymitywnie opatrzyli. Mnie posmarowano rany na głowie tylko jakimś płynem. Dopiero następnego dnia więzień lekarz dr Zienkiewicz dokonał solidnych opatrunków oraz powkładał połamane ręce i nogi w »szyny«. Robił to wszystko w miarę dostarczania środków, których stale nie było. W wyniku masakry zmarło w ciągu kilku dni przeszło 20 osób. Wiele osób zastrzelono. Znęcano się przede wszystkim nad inteligencją. Przez szereg dni nad więźniami wisiała groza masowego rozstrzelania, lecz później kurs złagodniał".

Na rozkaz Ławrientija Berii obóz w Rembertowie zlikwidowano, a część pozostających przy życiu więźniów wywieziono 4 lipca 1945 r.

Smutny koniec

Akcja polskiego podziemia niepodległościowego przeprowadzona w Rembertowie to jedna z największych tego typu operacji w powojennej Polsce. Z militarnego punktu widzenia była akcją nieudaną. Straty własne wyniosły co prawda tylko trzech rannych, żaden żołnierz nie zginął, ale nie udało się rozbić obozu: zabrakło i środków, i przygotowania bojowego. Ponadto nie wszyscy więźniowie chcieli uciekać, obawiając się prowokacji ze strony „kapusiów" i Sowietów. Szacuje się, że około 100 więźniów zostało potem zamordowanych w ramach represji. Z propagandowego punktu widzenia akcja ta miała jednak ogromne znaczenie. Przede wszystkim pokazywała Sowietom, kto jest gospodarzem tego terenu i że „jeszcze Polska nie zginęła!". Mieszkańcom Mazowsza i warszawiakom dała również – choć na chwilę – nadzieję, że może uda się zmusić Sowietów do ograniczenia terroru.

Na rozkaz Ławrientija Berii obóz zlikwidowano, a część pozostających przy życiu więźniów wywieziono 4 lipca 1945 r. do Specłagru nr 2 NKWD w Poznaniu przy ul. Słonecznej. Dowódca akcji odbicia obozu Edward Wasilewski „Wichura" – były więzień obozu NKWD na Majdanku – ujawnił się wraz z oddziałem pod Wolą Rafałowską we wrześniu 1945 r. Pół roku później aresztowano go, ale na mocy amnestii z 1947 r. został zwolniony. W następnym roku podpisał zobowiązanie do współpracy z UB. Od tego czasu denuncjował wielu swoich niedawnych kolegów z konspiracji – m.in. czynnie uczestniczył w prowokacji „V Komendy WiN" i rozpracowaniu oddziału WiN Kazimierza Kamieńskiego „Huzara" – za co otrzymywał wynagrodzenie. W pierwszym dniu inwazji ZSRS i wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację – 22 sierpnia 1968 r. – popełnił samobójstwo. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.

Zabitych i zmarłych z głodu i ran więźniów obozu w Rembertowie chowano w bezimiennych dołach śmierci w pobliskim lesie, a na mogiłach sadzono drzewa dla zatarcia śladów zbrodni. W konspiracyjnej gazetce „Informator" z 1 czerwca 1945 r. podano wiadomość o rozstrzelaniu na poligonie rembertowskim stu kilkudziesięciu osób – w tym kilku kobiet – schwytanych w obławie przez NKWD. Ciała zamordowanych oblano benzyną i spalono.

Do dziś nie przeprowadzono na tym terenie prac poszukiwawczych ani ekshumacyjnych.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Z **JACKIEM FAIRWEATHEREM**, autorem książki „The Volunteer – The True Story Of The Resistance Hero Who Infiltrated Auschwitz" o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, rozmawia Michał Chudoliński

WYBÓR PILECKIEGO

Jesteś brytyjskim korespondentem wojennym i dziennikarzem. Czy w Wielkiej Brytanii uczy się o polskich bohaterach z okresu II wojny światowej?
Niestety nie, a powinno się. Brytyjczykom wydaje się, że po upadku Francji w 1940 r. sami stawialiśmy czoło Hitlerowi. Tymczasem przyłączali się do nas żołnierze i żołnierki z całej Europy – i nikt nie odegrał ważniejszej roli niż polscy piloci podczas bitwy o Wielką Brytanię. Należałoby zrobić o wiele więcej niż obecnie dla ich upamiętnienia.

Czy historia rotmistrza Witolda Pileckiego jest znana w Wielkiej Brytanii? W jakich okolicznościach po raz pierwszy o nim usłyszałeś?
Nie, nie jest. Usłyszałem o nim zupełnym przypadkiem. W 2011 r. spotkałem się z zaprzyjaźnionym reporterem, Mattem McAlesterem. Obaj relacjonowaliśmy wojny na Bliskim Wschodzie i próbowaliśmy zrozumieć to, czego byliśmy świadkami. Matt odwiedził wcześniej Auschwitz i dowiedział się o działającym w obozie ruchu oporu. Zszokowało mnie, że ktokolwiek mógł się opierać nazistom w takim miejscu. Myślałem o obozie jako najwyrazistszym symbolu cierpienia i ucisku. Jeśli bunt był możliwy nawet tam, to gdzie nie był? Pilecki oferował nowy sposób patrzenia na obóz: z perspektywy nie ofiary, lecz protagonisty. Jego historia była dla mnie wyzwaniem również na poziomie indywidualnym: miałem tyle samo lat, ile Pilecki w momencie rozpoczęcia wojny, też miałem dwójkę dzieci, dom. Co mogło skłonić Pileckiego do zaryzykowania wszystkiego podczas takiej misji i dlaczego akt zgłoszenia się na ochotnika tak silnie do nas przemawiał? Wiedziałem, że muszę się dowiedzieć więcej.

Co jest najcenniejsze w życiu Pileckiego z punktu widzenia reportera wojennego?
Aby móc zaświadczyć o złu czynionym przez Niemców w Auschwitz, Pilecki musiał zrozumieć ich motywacje. Nie było to łatwe. Funkcjonariuszy SS w obozie otaczała aura tajemnicy, a ich eksperymenty związane z masowymi mordami stanowiły przykład zła bez precedensu. Pileckiemu trudno było się z nimi pogodzić, ale nigdy się nie poddał – i taka pełna uporu wytrwałość jest dla mnie cechą wielkiego reportera wojennego.

Co było najbardziej zaskakującym odkryciem, jakiego dokonałeś podczas gromadzenia materiałów do książki?
W osłupienie wprawiła mnie historia o tym, jak raporty Pileckiego przemycano z obozu i przez całą Europę aż do aliantów w Londynie. Nikt wcześniej o tym nie mówił. Kiedy odkryłem listy alianckich dowódców, w których omawiają oni raporty, dostałem gęsiej skórki.

Jak scharakteryzowałbyś działalność Pileckiego w Auschwitz? Czy było to swoiste państwo w państwie?
Na pewno stworzył wewnątrz obozu niesamowitą organizację. Nie wiem, czy nazwałbym ją państwem w państwie, ale prowadził działalność przemytniczą na szeroką skalę, miał siatkę udzielającą pomocy, a przez krótko nawet własną radiostację.

Czego możemy się nauczyć z historii Pileckiego w XXI w.? »

FOT. AMBASADA RP W LONDYNIE

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» Myślami ciągle wracam nie do jego dokonań w obozie, ucieczki, desperackiej walki z Niemcami podczas Powstania Warszawskiego czy działalności przeciwko reżimowi komunistycznemu po wojnie, lecz do warszawskiego mieszkania i tego pierwszego aktu odwagi. Oto dlaczego: ponieważ poprzez zgłoszenie się wówczas na ochotnika Pilecki wkroczył na ścieżkę inną niż ścieżka wszystkich pozostałych więźniów. Postanowił się udać do Auschwitz. Postanowił utworzyć podziemny ruch oporu. Postanowił szmuglować raporty z obozu. Dlaczego moment dokonania wyboru jest taki ważny? Ponieważ przypomina nam, że współodczuwanie z cierpiącymi spoza kręgu naszej najbliższej rodziny i przyjaciół również jest wyborem. Jak pokazują losy jego raportów, niewielu ludzi odruchowo chce ruszyć na ratunek innym, zwłaszcza jeśli sami znajdują się w niebezpieczeństwie lub zmagają z trudnościami.

Jaki był stosunek Pileckiego do Żydów przed wojną i w jej czasie?
Nie mamy historycznych dokumentów, które mogłyby wskazywać na stosunek Pileckiego do polskich Żydów. Wiemy, że nie lubił polityki, bo dzieliła ludzi, i że wyrażał sprzeciw wobec nacjonalistycznego i antysemickiego kierunku, w którym chciał pociągnąć komórkę jego współkonspirator Jan Włodarkiewicz w 1940 r. Pilecki miał tak zdecydowane odczucia na ten temat, że za plecami Włodarkiewicza dążył do tego, by komórka pozostała otwarta na wszystkich gotowych do walki z nazistami. Wydaje się, że Włodarkiewicz w odwecie zgłosił Pileckiego jako kandydata do misji w Auschwitz. Musimy uważać, jak posługujemy się terminem antysemityzm – i nie odczytywać ówczesnej sytuacji w Polsce przez pryzmat naszego współczesnego rozumienia tego słowa. Antysemityzm kojarzy nam się z horrorem nazizmu. Tymczasem natura antysemityzmu w przedwojennej Polsce była zgoła odmienna. Świadczyły o tym postawy przeważającej wielkości Polaków podczas wojny, którzy odrzucili jadowity rasizm nazistów. Oczywiście bywali i tacy, którzy nadal wierzyli, że w Polsce nie ma dla Żydów miejsca.

Czyli decyzja o pójściu do Auschwitz nie była wcale oczywista?
Zazwyczaj tak się ją przedstawia – dobrowolna zsyłka do obozu koncentracyjnego. W rzeczywistości sytuacja była o wiele bardziej złożona. Z początku się tego nie podjął. Zadanie zostało na niego nałożone, co było efektem m.in. wcześniej wspomnianych rozrachunków na tle politycznego charakteru Tajnej Armii Polskiej. Myślę, że on przeczuwał chęć pozbycia się go w taki sposób. Nie zapominajmy przy tym, że decyzja o Auschwitz wpływała na los nie tylko samego Pileckiego, lecz także na życie jego najbliższych. Stanowiła dla nich realne zagrożenie. Dlatego to na pewno nie było łatwe postanowienie. W tym kontekście współcześnie postawa rotmistrza tym bardziej może nam imponować.

Czy słyszałeś o tym, że w 1943 r. w Warszawie Pilecki uratował Barbarę i Jarosława Abramowów-Neverlych, Polaków żydowskiego pochodzenia?
Tak – piszę o tym w książce.

Czy myślisz, że Pilecki zasługuje na tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata?
Zasługi Pileckiego jako pierwszego, który poinformował o Holokauście w Auschwitz, nie są szerzej znane. Kwestią fundamentalną jest szerzenie świadomości o pracy jego niezwykłej siatki, która próbowała nakłonić aliantów do zbombardowania obozu. Jednak uznanie za Sprawiedliwego wśród Narodów Świata wymaga spełnienia określonych kryteriów.

Czy ludzie na Zachodzie zdają sobie dzisiaj sprawę z tego, jak dokładnie wyglądała sytuacja Polaków podczas II wojny światowej?
Poza Polską niewiele osób wie, że przez pierwsze dwa lata funkcjonowania Auschwitz było obozem koncentracyjnym dla polskich więźniów politycznych. Znają Auschwitz tylko jako fabrykę śmierci, którą stało się później. Historia Pileckiego jest niezbędna do zrozumienia, w jaki sposób naziści wdrożyli w obozie ostateczne rozwiązanie.

Jak opisałbyś Pileckiego od strony psychologicznej? Bohater bez skazy?
Gdyby nie II wojna światowa, Pilecki zapewne wiódłby żywot ziemianina z Polski wschodniej. Wojna wymusiła na nim wykazanie się wielkością. Gdy wiele osób żyjących pod nazistowskim terrorem zamykało się w sobie, on znalazł w sobie siłę pozwalającą na pójście za głosem sumienia. Piszę o tym w książce.

Co możesz powiedzieć o życiu Pileckiego po wojnie?
Prześladowały go doświadczenia z obozu. Aż do schwytania w 1947 r. pisał o Auschwitz, próbując zrozumieć to, co się stało, i obojętność świata.

Jakie są twoje dalsze plany? Czy zamierzasz nadal zajmować się Pileckim?
Pomagam w przygotowywaniu berlińskiej wystawy poświęconej Pileckiemu, która zostanie otwarta 2 września.

Planujesz napisanie książki o innych Polakach?
Natrafiłem na wiele wspaniałych historii o mężczyznach i kobietach, którzy pomagali gromadzić i szmuglować wiadomości z obozu, a o których historia milczy. Byłem zaszczycony, mogąc poznać członków rodzin niektórych z nich. Część nie zdawała sobie sprawy ze swoich związków z historią Pileckiego, np. Piotr Wielopolski, którego ojciec Aleksander był pierwszym kurierem Pileckiego, przekazującym wieści o koszmarze Auschwitz i prośbę do dowódców alianckich, aby zbombardowali obóz.

Szczególnie wzruszyła mnie historia Heleny Płotnickiej i Władysławy Kożusznik, dwóch młodych matek z wioski położonej 16 km od Auschwitz, które każdej nocy ryzykowały życie, przekradając się przez pola, by zostawić chleb dla więźniów pracujących w pobliżu obozu i odebrać sekretne wiadomości. Helenę złapano w 1943 r., zginęła w obozie. Jej krewna zabrała mnie do malutkiego domu, w którym żyła z piątką dzieci. Mąż prosił ją, żeby przestała ryzykować, ale ona była zdecydowana pomagać więźniom. W książce pełno jest historii takich wyjątkowych, zapomnianych ludzi. ■

Jack Fairwather – dziennikarz, korespondent wojenny „The Washington Post" oraz „The Daily Telegraph". Jego reportaże z wojny w Iraku spotkały się z krytycznym uznaniem w Wielkiej Brytanii. Autor książek „A War of Choice", „The Good War" oraz „The Volunteer. One Man, an Underground Army, and the Secret Mission to Destroy Auschwitz". Obecnie mieszka w Charlotte w stanie Vermont (USA)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

GRZEGORZ GÓRNY

Wcielenie Solidarności

Kiedy w sierpniu 1980 r. rozpoczął się strajk solidarnościowy w Hucie Warszawa, jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobili robotnicy, było poszukanie kapłana, który odprawiłby dla nich mszę św. w zakładzie pracy. W ten sposób pojawił się tam ks. Jerzy Popiełuszko. Tak było zresztą od samego początku strajków w całym kraju.

FOT. ARCHIWUM MARKA POPIEŁUSZKI/FOTONOVA

Ksiądz Jerzy Popiełuszko i w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie wśród dzieci, lata 80.

Mieszkańcy Europy Zachodniej, oglądając telewizyjne relacje z Polski, przecierali oczy ze zdumienia. Związki zawodowe kojarzyły się im zawsze z lewicą, a proletariat był naturalnym elektoratem socjalistów. Tymczasem na zamkniętej bramie pod nazwą „Stocznia im. Lenina" widzieli wizerunki Matki Bożej Częstochowskiej i Jana Pawła II. Słyszeli opowieści, jak w strajkujących zakładach księża udzielali spowiedzi i odprawiali msze św.

Na Zachodzie strajki robotnicze postrzegano wówczas jako protest w imię interesów socjalnych. Inaczej było jednak w Polsce. Bunt, który objął cały kraj, miał inny charakter. Jak pisze historyk idei Marek A. Cichocki: „Z dzisiejszej perspektywy, kiedy bezpieczeństwo socjalne staje się podstawowym pojęciem, wokół którego krąży kartka wyborcza, należy naprawdę docenić to, że upokorzeni ludzie, tresowani dziesiątki lat przez różnych kombinatorów i zwykłych łobuzów w imię dość monotonnej i bezsensownej ideologii, potrafili w decydującym momencie historii przezwyciężyć swoje materialne upokorzenie i zdobyli się na coś znacznie więcej niż tylko obrona własnych partykularnych interesów oraz prawa do ograniczonej konsumpcji à la János Kádár".

W pierwszych punktach programu Solidarności z 1980 r. czytamy: „Chodziło nam również o sprawiedliwość, o demokrację, o prawdę, o praworządność, o ludzką godność, o swobodę przekonań, o naprawę Rzeczpospolitej, nie zaś tylko o chleb, masło i kiełbasę. Wszystkie wartości elementarne nazbyt były sponiewierane, by można było uwierzyć, że bez ich odrodzenia cokolwiek zmieni się na lepsze. Protest ekonomiczny musiał być zarazem protestem społecznym; protest społeczny musiał być zarazem protestem moralnym".

Wśród 21 postulatów Solidarności znalazło się również żądanie pod adresem władz, by zagwarantować „wolność słowa, druku, publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań". Dzięki temu 21 września 1980 r. w państwowym radiu po raz pierwszy doszło do transmisji mszy św., co powtarzano później w każdą niedzielę.

Jedno z haseł Solidarności brzmiało: „Nie ma wolności bez solidarności". Jan Paweł II uzupełnił je istotnym stwierdzeniem: „Nie ma solidarności bez miłości". W obu dewizach powtarzało się słowo „solidarność", które za pontyfikatu polskiego papieża stało się przedmiotem uniwersalnej refleksji w skali globalnej. Pojęcie to zaczęło być postrzegane nie tylko w kategoriach społecznych czy politycznych, lecz również teologicznych.

Ten temat nieustannie powracał w homiliach ks. Jerzego Popiełuszki. Dla niego solidarność była społecznym wyrazem miłości. Nie tylko mówił, lecz także świadczył o tym własnym życiem. Miał znakomite relacje ze wszystkimi grupami społecznymi tworzącymi Solidarność – z chłopami, bo sam wywodził się ze wsi i był synem rolnika; z robotnikami, ponieważ jako opiekun duchowy hutników i kapelan ich związku zawodowego nieźle poznał to środowisko; ze studentami, gdyż prowadził duszpasterstwo akademickie i miał dobry kontakt z młodzieżą; z inteligencją, bo zapraszał do kościoła św. Stanisława Kostki intelektualistów, ludzi kultury i sztuki.

Kapłan uosabiał sobą instytucję, która jako jedyna łączyła wszystkie grupy społeczne, zakorzeniając zarazem tworzącą się wspólnotę w rzeczywistości nadprzyrodzonej. Nie było w Polsce doskonalszego ucieleśnienia idei solidarności niż postać ks. Jerzego Popiełuszki nieustannie powtarzającego podczas swych kazań słowa św. Pawła: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj".

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Sprawozdanie radiowe z Rzymu po wyborze Karola Wojtyły na papieża, 1978 r.

WIELKA CHWILA

NA EMIGRACJI O WYBORZE KARDYNAŁA KAROLA WOJTYŁY NA PAPIEŻA

WYBÓR POLAKA NA PAPIEŻA WYWOŁAŁ KONSTERNACJĘ WŁADZ PRL. DLA MILIONÓW JEGO RODAKÓW W KRAJU TO HISTORYCZNE WYDARZENIE BYŁO NATOMIAST POWODEM DO RADOŚCI I DUMY. POWSZECHNY ENTUZJAZM ZAPANOWAŁ RÓWNIEŻ WŚRÓD POLSKICH EMIGRANTÓW

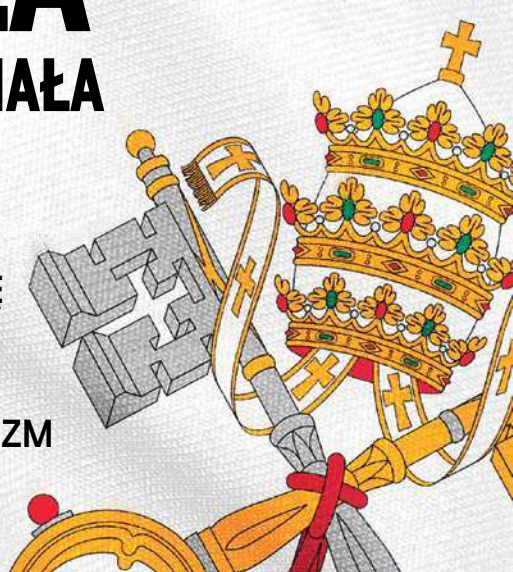

eprasa.pl 88a0ab6d8b

KRZYSZTOF TARKA

16 października 1978 r., już kilka minut po ogłoszeniu wiernym zgromadzonym na placu św. Piotra w Rzymie decyzji Kolegium Kardynalskiego, nazwisko nowego papieża podało również Radio Wolna Europa. Gdy ta sensacyjna wiadomość nadeszła dalekopisem do monachijskiej rozgłośni, natychmiast przerwano nadawanie normalnego programu i spiker, łamiącym się ze wzruszenia głosem, powiedział do mikrofonu, że na nowego papieża wybrany został Polak kardynał Karol Wojtyła. Jeszcze tego samego wieczoru dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE Zygmunt Michałowski w krótkim komentarzu stwierdził: „Wielka to chwila dla nas, Polaków, chwila radości i wzruszenia, że oto w dniach ciężkiej próby, jakie przeżywa nasz kraj, Namiestnikiem Chrystusowym zostaje syn polskiej ziemi, polski duszpasterz, obrońca uciśnionych sumień i godności człowieczej. Ile w tym otuchy, ile nadziei dla naszego narodu, ile zaszczytu i chwały!”.

W następnych dniach wiadomość o wyborze kardynała Wojtyły na papieża znalazła się na pierwszych stronach prasy emigracyjnej. Popularny wśród polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” w numerze z 18 października informował na czołówce: „Pierwszy Polak Papieżem w dziejach Kościoła”. Redakcja zamieściła również zdjęcie Jana Pawła II, a informacje na jego temat zajęły niemal połowę objętości numeru. Jak donosiła emigracyjna gazeta, wybór Polaka na papieża zaskoczył cały świat, ale niemal wszędzie został przyjęty pozytywnie, jedynie Moskwa powitała nowego papieża milczeniem.

W komentarzu redakcja londyńskiego „Dziennika Polskiego” podkreśliła: „Nie mogło być większej niespodzianki, nie mogło być wieści bardziej radosnej dla Polaków: po raz pierwszy w dziejach Polak został 264 następcą św. Piotra!”. W wyborze kardynała Wojtyły na tron papieski redakcja widziała natchnienie Ducha Świętego i Palec Boży.

FOT. NAC. SHUTTERSTOCK

Reakcja władz emigracyjnych

Wiadomość o wyborze nowego papieża przerwała posiedzenie rządu RP na uchodźstwie. O tym historycznym wydarzeniu ministrów zawiadomił prezydent Stanisław Ostrowski, który dowiedział się o nim z jednej z rozgłośni francuskich. Władze na emigracji natychmiast wysłały też depeszę gratulacyjną do Watykanu. W telegramie podpisanym przez prezydenta RP i rząd na wygnaniu czytamy: „Głęboko wzruszeni przesyłamy Waszej Świętobliwości wyrazy synowskiego oddania i prosimy o błogosławieństwo dla naszej Ojczyzny”.

Na posiedzeniu Rady Narodowej RP 21 października 1978 r. odniósł się do wyboru nowego papieża premier rządu na uchodźstwie Kazimierz Sabbat. Jak stwierdził, wydarzenie to było „dniem tryumfu Kościoła Walczącego w Polsce” oraz dniem chwały dla Polski i Polaków. Przewidywał, że to niespodziewane wydarzenie będzie miało ogromne znaczenie nie tylko dla Polski, lecz także dla pozostałych narodów w Europie Środkowo-Wschodniej. Wzmocni rolę i znaczenie Kościoła katolickiego, podbuduje również rodzącą się w kraju opozycję polityczną.

Prezydent Ostrowski i premier Sabbat wzięli udział 5 listopada w kościele św. Andrzeja Boboli w mszy dziękczynnej z okazji wyboru Polaka na papieża. Następnie uczestnicy nabożeństwa spotkali się w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. W uroczystościach wzięli również udział przedstawiciele polskiego życia politycznego i społecznego oraz emigranci z Albanii, Białorusi, Czech, Estonii, Jugosławii, Litwy, Łotwy, Rumunii, Słowacji, Ukrainy i Węgier.

Podczas tradycyjnych uroczystości noworocznych na „zamku”, czyli w siedzibie władz RP na uchodźstwie przy 43 Eaton Place w Londynie, 7 stycznia 1979 r. premier Sabbat nazwał rok 1978 Rokiem Nadziei. Jak podkreślił: „Od czasu wojny nie mieliśmy tak sprzyjającego naszym pragnieniom i nadziejom rozwoju i układu wypadków”. Najważniejszym z nich, wręcz o historycznym znaczeniu, a przy tym niespodziewanym, był wybór kardynała Wojtyły na papieża. W ocenie Sabbata miało to szczególne znaczenie. Wzmacniało sprawę Polski w świecie oraz siłę Kościoła katolickiego w kraju i gotowość służenia Polsce wśród emigrantów. Sabbat przepowiadał, że przyjazd papieża do Polski „zostawić musi skutki nieodwracalne”. W odpowiedzi na wystąpienie premiera prezydent Ostrowski stwierdził, że wybór kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową bezsprzecznie był jednym z najradośniejszych dni w historii Polski od pamiętnego 11 listopada 1918 r.

Głos Stronnictwa Narodowego

Z oczywistych względów uwagę wyborowi nowego papieża poświęciła katolicka „Gazeta Niedzielna”. Na pierwszej stronie numeru z 22 października redakcja zamieściła zdjęcie Jana Pawła II. Wyrażając radość i dumę z dokonanego wyboru, w komentarzu wskazywano również na liczne przymioty osobiste Jana Pawła II, który był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym i posiadał rozległą wiedzę. Jak podkreślono, ten kapłan, teolog, filozof, kaznodzieja, humanista, polonista, pisarz, publicysta i lingwista był również przyjacielem młodzieży, a w młodości pracował jako robotnik, występował też na scenie teatralnej. Jan Paweł II jawił się nie tylko jako wybitny duszpasterz i wychowawca, lecz także erudyta i człowiek głębokiej kultury.

Wybór Polaka na papieża z radością powitali również narodowcy. „Myśl Polska”, organ Stronnictwa Narodowego na emigracji, poświęciła temu wydarzeniu cały podwójny numer. Endecki tygodnik przedrukował przede wszystkim oficjalne wypowiedzi Jana Pawła II z pierwszych dni jego pontyfikatu oraz odgłosy prasy zagranicznej. W krótkim komentarzu redakcyjnym podkreślono, że wybór arcybiskupa krakowskiego na papieża „stanowi wydarzenie historyczne wielkiej doniosłości, którego my – współcześnie żyjące pokolenie Polaków – nie umiemy jeszcze w pełni ogarnąć ani oczami wyobraźni, ani możliwościami naszego umysłu”. Nie miano również wątpliwości, że to wyjątkowe wydarzenie przyczyni się do odnowy Kościoła katolickiego i chrześcijaństwa, wpłynie też na losy całej ludzkości.

Dla upamiętnienia wyboru kardynała Wojtyły na papieża „Myśl Polska” wydała książkę pamiątkową „Jan Paweł II, syn Narodu Polskiego”. Zamieszczono w niej m.in. wypowiedzi papieża, artykuły i głosy prasy światowej w większości drukowane wcześniej na łamach »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» „Myśli Polskiej”. We wstępie Antoni Dargas, prezes Stronnictwa Narodowego i redaktor naczelny „Myśli Polskiej”, stwierdził pompatycznie, że „wybór syna Narodu Polskiego na Stolicę Piotrową stanowi w pewnym sensie dopełnienie pierwszego wielkiego aktu historycznego w naszych dziejach – chrztu przed tysiącem lat”.

Redakcja „Orła Białego” w listopadowym numerze miesięcznika umieściła na okładce zdjęcie Jana Pawła II z podpisem: „Papież, którego Polska dała światu”. Na łamach tego zasłużonego pisma znany duszpasterz, jezuita, ks. Jerzy Mirewicz, uświadamiał emigrantom, że Jan Paweł II nie jest polskim papieżem, lecz papieżem z Polski. Wbrew pojawiającym się wśród emigrantów opiniom podkreślił, że większość kolegium kardynalskiego wybrała metropolitę krakowskiego „nie dlatego, że jest Polakiem, a jeszcze mniej by uczcić lub nagrodzić Polskę za jej tysiącletnią wierność Kościołowi, ale ze względu na Jego osobiste zalety intelektu, woli oraz serca”. Ta trafna analiza nie odbierała przecież emigrantom powodu do radości i dumy.

Inne środowiska uchodźstwa

Na łamach „Jutra Polski”, organu Polskiego Stronnictwa Ludowego, Janusz Kowalewski przyrównał wybór kardynała Wojtyły na papieża do chrztu Polski czy zjazdu gnieźnieńskiego. Według emigracyjnego publicysty wybór, którego dokonali kardynałowie na konklawe, był nie tylko aktem uznania dla wielkiego uroku i talentów metropolity krakowskiego oraz aktem hołdu dla całego Episkopatu polskiego, lecz przede wszystkim hołdem złożonym narodowi polskiemu. W egzaltowanym tonie Kowalewski przekonywał, że „naród najokrutniej spośród wszystkich innych narodów świata współczesnego skrzywdzony, sponiewierany, zlekceważony, mimo swego bohaterstwa i zasług, jakie położył we wspólnej sprawie – doznał nagle aktu wielkiej sprawiedliwości, wielkiego uznania, które w ciągu jednej chwili historycznej przekreśliło krzywdy i zbrodnie całych lat”. Jak twierdził, w ten sposób naród polski odzyskał swą godność: „Wicher historii targnął Polską i światem i podniósł pochylone plecy i głowy Polaków ku Niebu, ku Nadziei. Ten sam wicher przygiął ku ziemi, szarpnięte strachem głowy i plecy zdrajców

FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

Stanisław Ostrowski (1892-1982) – lekarz, ostatni polski prezydent Lwowa i trzeci Prezydent RP na Uchodźstwie

narodu, warszawskich namiestników moskiewskiego okupanta”.

Według Tadeusza Borowicza, publicysty „Narodowca” ukazującego się w Lens we Francji, nowego papieża cechowały prostota i bezpośredniość słów, pokora i postawa służebna oraz patriotyzm i umiłowanie polskości. Jan Paweł II, będąc na wskroś polskim i „krakowskim” papieżem, był równocześnie głową Kościoła powszechnego.

Giedroyc miał „ale”

Mimo dystansu Jerzego Giedroycia wobec działalności Kościoła katolickiego również „Kultura” uznała wybór kardynała Wojtyły na papieża za wydarzenie historyczne. Redakcja tego paryskiego miesięcznika łączyła się „z całym narodem w radości i dumie, że po raz pierwszy Polak zasiadł na Piotrowym Tronie i że wybór padł na ks. kardynała Karola Wojtyłę. Wskazując na „indywidualność i wyjątkowe kwalifikacje” Jana Pawła II, miano nadzieję, że sprosta on „tak trudnemu zadaniu”. W oświadczeniu opublikowanym na łamach „Kultury” podkreślono, że nowy papież „wywołał ogromną falę nadziei wśród wszystkich chrześcijan w bloku sowieckim, jak również u wszystkich ludzi na świecie, walczących o sprawiedliwość i wolność człowieka”. Giedroyc nie sformułował swoich oczekiwań wobec Jana Pawła II, ale niewątpliwie miał nadzieję, że jego pontyfikat przyczyni się do większego zainteresowania Watykanu Europą Środkowo-Wschodnią.

W liście do Czesława Miłosza z 24 stycznia 1979 r. redaktor „Kultury” stwierdził, że nowy papież go pasjonuje, ale – jak dodał – „nie znoszę tego nacjonalistycznego uwielbienia, którym go otaczają rodacy”. Giedroyc obawiał się też, czy Jan Paweł II sprosta ogromnym nadziejom, które jego wybór na papieża wywołał nie tylko wśród Polaków, ale także na całym świecie. Jak zaznaczył, „może przyjść ogromne rozczarowanie”. W opinii Giedroycia widoczne były sceptycyzm i niechęć do manifestacyjnej ludowej obrzędowości religijnej.

* * *

Wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża środowiska emigracyjne uznały powszechnie za wydarzenie historyczne. Niektórzy porównywali je nawet do chrztu Polski. Ta sensacyjna i niespodziewana wiadomość znalazła się na pierwszych stronach prasy emigracyjnej. Niezależnie od różnic politycznych emigranci wyrażali radość i dumę. Wskazywano na przymioty osobiste nowego papieża, który jawił się nie tylko jako wybitny duszpasterz i wychowawca, ale także erudyta i człowiek głębokiej kultury. Przewidywano, że pontyfikat Jana Pawła II stanie się punktem zwrotnym w historii Kościoła powszechnego i przyczyni się do odnowy całego chrześcijaństwa, wzmocni również rolę i znaczenie Kościoła katolickiego w Polsce. Papieża, czy szerzej Kościół katolicki, postrzegano też jako czynnik oporu przeciw komunizmowi. Politycy i publicyści emigracyjni prorokowali, że będzie miał on wpływ na sytuację polityczną w kraju i na świecie, że wzmocni opór społeczny w Polsce wobec rządów komunistów. Emigranci przestrzegali jednak przed próbami zawłaszczania papieża czy instrumentalnym traktowaniem go przez rodaków.

Informacje na temat Jana Pawła II znalazły się na pierwszych stronach prasy na całym świecie, a wybór Polaka na papieża stał się również wielką promocją Polski w świecie.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Szturm Poczty pod osłoną wozu pancernego Steyr ADGZ – kadr z filmu „Feldzug in Polen”

Obrońcy Poczty wzięci do niewoli, opisani przez Niemców jako „Franktireure” („partyzanci”) – kadr z filmu „Feldzug in Polen”

14 GODZIN CHWAŁY

ŁUKASZ KAROLEWSKI

Budynek urzędu pocztowo-telegraficznego Gdańsk 1 przy ówczesnym pl. Heweliusza był jedyną polską placówką pocztową dostępną dla osób prywatnych w zdominowanym przez Niemców Wolnym Mieście Gdańsku. Pozostałe – na dworcu kolejowym i w porcie – obsługiwały jedynie instytucje. Polskie skrzynki pocztowe i umundurowani listonosze to jedyne symbole obecności RP w Gdańsku, co skutkowało zaciekłymi atakami niemieckich bojówek, zwłaszcza po dojściu do władzy Adolfa Hitlera.

W związku z zaostrzaniem się sytuacji międzynarodowej wiosną 1939 r. podjęto przygotowania do obrony Poczty. W tym celu do Gdańska został wysłany w kwietniu ppor. Konrad Guderski jako specjalista od dywersji pozafrontowej z Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego. Prowadził konspiracyjne szkolenia pracowników oraz gromadził broń i amunicję. Łącznie zebrano trzy rkm wz. 28, 40 pistoletów i karabinów oraz trzy skrzynie granatów ręcznych. Aby oczyścić przedpole, wycięto drzewa wokół budynku. Wzmocniono także drzwi. Z Gdyni i Bydgoszczy przysłano dodatkowych 10 pracowników, tak więc załoga liczyła ok. 50 ludzi. Przygotowania miały na celu uniemożliwienie nagłego zajęcia Gdańska w wyniku niemieckiego puczu. Poczta miała się bronić przez sześć godzin do czasu przybycia odsieczy 27 DP wchodzącej w skład Armii Pomorze. Tę samą rolę przewidziano dla Westerplatte. Wkrótce jednak się okazało, że Hitler dąży do podboju całej Polski, a żądania w kwestii Gdańska są jedynie pretekstem. W tej sytuacji wycofano jednostki przewidziane dla odsieczy miasta, chcąc uniknąć ich odcięcia i zniszczenia w „korytarzu pomorskim”. Odwołano działania dywersyjne Harcerskiej Organizacji Bojowej w mieście. Poinformowano też mjr. Henryka Sucharskiego, komendanta Westerplatte, że Gdańsk jest odcięty, a obrona składnicy ma nie dać się zaskoczyć i bronić placówki według uznania dowódcy. Nie powiadomiono jednak załogi Poczty. Obrona tych punktów miała mieć znaczenie symboliczne, ukazujące obronę polskich praw w Gdańsku. Było to niezbędne dla polskiej propagandy, szczególnie wobec zamiarów szybkiego i łatwego zajęcia Gdańska przez Niemców.

1 września 1939 r. gmach Poczty zaatakowano równocześnie z rozpoczęciem ostrzału Westerplatte przez pancernik Schleswig-Holstein. Do ataku ruszyły jednostki SS i SA z Gdańska, wspierane przez wozy pancerne Steyr ADGZ. Natarcie poprowadzono z dwóch kierunków – od frontu oraz przebijając się przez ścianę z sąsiedniego budynku Krajowego Urzędu Pracy. Oba ataki zostały odparte, a w wyniku odniesionych ran umarł dowodzący szturmem SS-Untersturmführer Alfred Heinrich. Wobec silnej obrony Polaków szturmujące oddziały zaczęły rozważać wysadzenie budynku, lecz sprzeciwił się temu obserwujący walki nazistowski gauleiter Albert Forster. Wsparcie ognia moździerzy zagrażało bardziej atakującym niż obrońcom i ogień został wstrzymany. O 15.00 Niemcy przerwali natarcie i wezwali obrońców do kapitulacji, stawiając dwugodzinne ultimatum. Jednocześnie saperzy wykonali podkop, w którym umieścili 600-kilogramowy ładunek wybuchowy. Po upływie terminu ultimatum wysadzili ścianę Poczty i wdarli się do środka. Obrońcy wycofali się do piwnic zrujnowanego gmachu. Gdańska straż pożarna wpompowała tam benzynę, która została następnie podpalona. Ogień i dym zmusiły Polaków do kapitulacji po blisko 14 godzinach zaciekłej obrony. Opuszczający budynek jako pierwsi – dyrektor Okręgu Poczt i Telegrafów w Gdańsku dr Jan Michoń oraz naczelnik poczty Jan Wąsik – zostali natychmiast zamordowani. Korzystając z zamieszania, sześciu pocztowców uciekło i ukryło się w pobliskim mieszkaniu, przebierając w cywilne ubrania. Czterech przeżyło wojnę, dwóch zostało aresztowanych następnego dnia i dołączyło do pozostałych jeńców. Wszyscy wzięci do niewoli obrońcy Poczty po bezprawnym procesie zostali skazani na śmierć za rzekomą „partyzantkę” i rozstrzelani na poligonie niemieckiej policji w Gdańsku. Ich zwłoki odkryto dopiero w 1991 r. podczas prac budowlanych. Wyrok niemieckiego sądu polowego anulowano w procesie rehabilitacyjnym przed sądem w Lubece w latach 1996–1998 jako sprzeczny zarówno z prawem międzynarodowym, jak i obowiązującym wówczas ustawodawstwem Wolnego Miasta Gdańska. Sam budynek urzędu pocztowego odbudowano z wojennych zniszczeń i w 1979 r. otwarto w nim Muzeum Poczty i Telekomunikacji, obecnie Muzeum Poczty Polskiej. Plac Heweliusza, przy którym znajduje się gmach, przemianowano na plac Obrońców Poczty Polskiej.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Wrzesień

MICHAŁ KOMUDA

1 IX 1944

Z powstańczej Warszawy zostało nadane przemówienie radiowe, w którym dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór" następującymi słowami przypomniał o ciągłości prowadzonej przez Polaków walki: „W dniu dzisiejszym minęło pięć lat od chwili, gdy Polska pierwsza z narodów stawiła zbrojny opór agresji niemieckiej. [...] Walka raz rozpoczęta trwa nieprzerwanie. [...] Walcząc wszędzie, nie mogliśmy być bierni na naszej ziemi. Rozstrzygający bój o Warszawę nie mógł być stoczony tylko obcymi siłami".

6 IX 1831

W trakcie rosyjskiego szturmu na Warszawę poległ bohaterską śmiercią gen. Józef Sowiński, obrońca wolskiej reduty. W trakcie swojej służby walczył kolejno podczas powstania kościuszkowskiego, wojen napoleońskich oraz powstania listopadowego. Był również kawalerem najwyższych odznaczeń polskich, francuskich, pruskich, a także rosyjskich.

7 IX 1989

Dwa miesiące po ostatnim użyciu, w trakcie rozpędzania protestujących przeciwko kandydaturze gen. Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta Polski, rozwiązano Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej. Oddziały ZOMO przez ponad 30 lat swojego istnienia okryły się wyjątkowo negatywną sławą jako narzędzie pacyfikacji buntów społecznych. Ocenia się, że w wyniku akcji zomowców śmierć poniosło kilkadziesiąt osób.

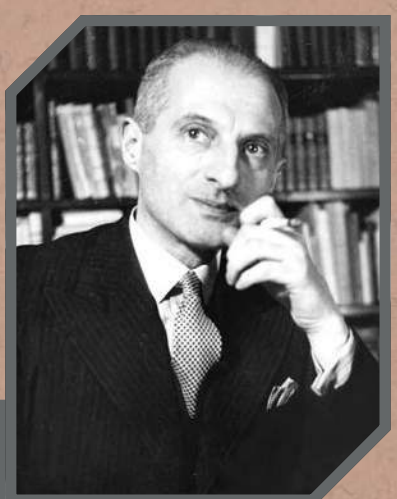

13 IX 1894

W Łodzi w zasymilowanej rodzinie żydowskiej przyszedł na świat jeden z najbardziej znanych polskich poetów, Julian Tuwim.

14 IX 1939

Minister spraw zagranicznych Włoch Galeazzo Ciano, relacjonując rozmowę włoskiego dyplomaty Massima Magistratiego z feldmarszałkiem Hermannem Göringiem, napisał: „Rzecz ważna: [Göring] wspominał o rychłej interwencji Rosji, która miałaby zagarnąć część Polski. Rzeczywiście, Związek Sowiecki zdradza objawy niepokoju. Zmobilizowano wiele roczników, a TASS opublikowała wiadomości o polskich prowokacjach i naruszeniach granicy. Jakże mało fantazji wykazują ludzie, gdy chcą napaść po zbójecku...".

20 IX 1580

Pod Toropcem polska jazda rozbiła blisko dwukrotnie liczniejszą kawalerię rosyjską. Polakami dowodził książę Janusz Zbaraski.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

5 IX 1812

Nieopodal wsi Borodino rozpoczęła się najbardziej krwawa bitwa, prowadzonej przez Napoleona przeciw Rosji, drugiej wojny polskiej. Okupione wielkimi stratami zwycięstwo Napoleona stało się preludium do klęski całej kampanii.

Wielka Armia, w której szeregach walczył V Korpus księcia Józefa Poniatowskiego, od ponad dwóch miesięcy parła na wschód, dążąc do walnego starcia, które zmusiłoby Rosjan do pertraktacji. Carscy dowódcy, unikając rozstrzygającej bitwy, wciągali Francuzów w głąb swojego terytorium, stosując taktykę spalonej ziemi. Strategia ta, skutecznie osłabiająca agresora, wywołała jednak również spadek morale wśród Rosjan. Car Aleksander I zdecydował się mianować nowego naczelnego dowódcę gen. Michaiła Kutuzowa z zadaniem wydania Francuzom bitwy. Starcie rozpoczęło się 5 września zdobyciem, za cenę wielu zabitych, wysuniętej rosyjskiej reduty pod Szewardino. Jednym z rannych był wówczas gen. Józef Sowiński, który stracił nogę. Jednak dopiero dwa dni później, przy pobliskim Borodino, doszło do głównego starcia liczących łącznie 250 tys. żołnierzy mas wojsk. Napoleońskie siły, nie zdoławszy oskrzydlić wroga, nieustannie ponawiały natarcia na rosyjskie szańce i redutę gen. Rajewskiego. Zdobywane z najwyższym trudem pozycje z powrotem odbijali Rosjanie. W jednym z takich kontrataków został śmiertelnie ranny gen. Piotr Bagration, którego imię podczas II wojny światowej nosiła sowiecka ofensywa z wiosny 1944 r. Ostatecznie po wielu godzinach wzajemnej rzezi francuska ciężka jazda wraz z kirasjerami Księstwa Warszawskiego zdobyły redutę. Napoleon zwyciężył, jednak nie zdołał finalnie rozbić sił gen. Kutuzowa ani też zmusić cara do pertraktacji.

19 IX 1939

W wyniku odniesionych ran zmarł jeden z najwaleczniejszych dowódców września, gen. Stanisław Grzmot-Skotnicki. Jego energiczna postawa oraz osobista odwaga sprawiały, że był uosobieniem kawalerzysty oraz cnót armii II Rzeczypospolitej.

Już 25 lat wcześniej przyszły generał zapisał się na stałe na kartach historii Wojska Polskiego. Tuż po wybuchu I wojny światowej, jako jeden z siedmiu członków legendarnego patrolu Władysława Beliny-Prażmowskiego, 2 sierpnia 1914 r. przekroczył zaborczą granicę, wkraczając na teren Królestwa Kongresowego. Jako uczestnik tego zwiadu został jednym z pierwszych żołnierzy odradzającej się polskiej kawalerii. Niebawem dowodził plutonem, a następnie szwadronem 1. pułku ułanów Legionów Polskich. W 1917 r. został internowany w Szczypiornie, a następnie więziony na terenie Niemiec. Po wojnie ukończył z pierwszą lokatą francuską Aplikacyjną Szkołę Jazdy w Saumur, by ponownie walczyć, tym razem w konflikcie polsko-bolszewickim. W jego trakcie wielokrotnie wykazywał się zarówno bohaterstwem, jak i dowiódł swojego talentu dowódczego oraz umiejętności poderwania żołnierzy do walki. W uznaniu zasług został odznaczony Orderem Virtuti Militari, a po wojnie awansowany do stopnia pułkownika. Pełnił wówczas funkcję głównego instruktora grudziądzkiego Centrum Wyszkolenia Kawalerii. W trakcie tragicznych dni przewrotu majowego w 1926 r. był dowódcą 15. pułku ułanów poznańskich. Pomimo swojego legionowego rodowodu oraz prywatnych sympatii pozostał wierny przysiędze i wystąpił po stronie sił rządowych. Jego postawa została doceniona nawet przez marszałka Piłsudskiego, który w 1927 r. mianował go dowódcą brygady kawalerii. Trzy lata później został awansowany na generała brygady. Tuż przed rozpoczęciem II wojny światowej gen. Skotnicki stanął na czele Grupy Operacyjnej „Czersk", będącej częścią Armii „Pomorze". Już 1 września jego ułani przeprowadzili szarżę pod Krojantami, która wstrzymała marsz dwóch niemieckich dywizji. W kolejnych dniach w toku wycofywania się na południe GO „Czersk" uległa rozproszeniu. Gen. Skotnicki wraz ze swoim sztabem dotarł do Bydgoszczy, gdzie dowódca Armii „Poznań" gen. Tadeusz Kutrzeba powierzył mu dowodzenie Grupą Kawalerii. Na jej czele wziął udział w największej batalii września, bitwie nad Bzurą. Jego żołnierze zdobyli Uniejów, Wartkowice i walczyli z powodzeniem z niemiecką 221. Dywizją Piechoty. Następnie w znacznie pomniejszonym składzie, z ofiarnością osłaniali manewr przebijania się polskich sił ku Warszawie. Działania te zdziesiątkowały oddziały gen. „Grzmota". On sam 18 września, walcząc pieszo na pierwszej linii, został ciężko ranny pod Tułowicami i dzień później zmarł. Bohaterstwo jego żołnierzy doceniła nawet ówczesna niemiecka prasa. Stanisław Grzmot-Skotnicki był jednym z pięciu polskich generałów, którzy złożyli swoje życie w obronie Ojczyzny we wrześniu 1939 r.

FOT. MPW, NAC (3X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Październik

29 IX 1804 W Halczyńcu na terenie dzisiejszej Ukrainy przyszedł na świat Michał Czaykowski, znany też jako Sadyk Pasza. W trakcie swojego niezwykle burzliwego życia walczył w powstaniu listopadowym, emigrował do Francji, po przejściu na służbę turecką przyjął islam i dowodził I Pułkiem Kozaków Sułtańskich, by wreszcie pojednać się z carem i zostać wyznawcą prawosławia. Pozostawił po sobie również liczne powieści i poezje.

30 IX 1854 W Krakowie zmarł uczestnik wojny polsko-rosyjskiej, powstania kościuszkowskiego, wojen napoleońskich i dyktator powstania listopadowego, Józef Chłopicki.

2 X 1939 Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie" rozpoczęła ostatnią bitwę wojny obronnej 1939 r. W trakcie kilkudniowych walk pod Kockiem polscy żołnierze zmusili do odwrotu niemiecką 13. Dywizję Zmotoryzowaną. Niestety w wyniku wyczerpania zapasów amunicji SGO „Polesie" nie zdołała pokonać wszystkich wrogich sił i ostatecznie złożyła broń.

3 X 1654 Po trzech miesiącach od rozpoczęcia rosyjskiego oblężenia skapitulowała smoleńska twierdza. Rzeczpospolita na zawsze utraciła to wojewódzkie miasto.

5 X 1639 W Warszawie rozpoczęły się obrady sejmu. W wyniku waśni i sporów sejm ten jako pierwszy w historii zakończył się bez uchwalenia żadnych konstytucji.

8 X 1929 W Krakowie zmarł jeden z najwybitniejszych polskich malarzy i wieloletni wykładowca krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Jacek Malczewski. Artysta jest zaliczany do głównych przedstawicieli polskiego symbolizmu.

14 X 1809 W wiedeńskim pałacu Schönbrunn zawarto pokój, w wyniku którego do Księstwa Warszawskiego zostały przyłączone ziemie leżące między Pilicą a Wisłą oraz między Wisłą a Bugiem. W polskich granicach znalazły się m.in. Kraków, Radom, Lublin i Zamość.

19 X 1984 35 lat temu komunistyczni funkcjonariusze zamordowali ks. Jerzego Popiełuszkę. 15 dni później, przy masowym udziale społeczeństwa, odbył się pogrzeb kapelana Solidarności.

29 X 1706 Pod Kaliszem połączone armie sasko-rosyjsko-polska pokonały wojska szwedzko-polskie. W trakcie bratobójczej bitwy naprzeciw siebie stanęło kilkanaście tysięcy Polaków.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

1 X 1939

W niedzielę rozpoczęło się oficjalne wkraczanie wojsk III Rzeszy do pokonanej stolicy Polski. Niemiecka okupacja Warszawy miała potrwać ponad pięć długich i wyjątkowo krwawych lat. W chwili jej zakończenia lewy brzeg miasta został pozbawiony mieszkańców, a jego zabudowa w przeważającej mierze przestała istnieć.

Heroiczny opór stolicy Polski, będący symbolem trwania w walce całego państwa, zakończył się 28 września o godz. 13:15, zawarciem na terenie Rakowca układu o honorowej kapitulacji. Akt ten podpisali dowódca Armii „Poznań" gen. Tadeusz Kutrzeba oraz dowódca 8. Armii gen. Johannes Blaskowitz. Nazajutrz Wojsko Polskie rozpoczęło swój wymarsz z miasta. Dzień później na jego teren wjechały pierwsze niemieckie samochody i wozy z żołnierzami, a pracownicy Polskiego Radia nadali pożegnalną audycję: „Halo. Czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy". Pojawienie się Niemców początkowo było związane z propagandowym rozdawaniem żywności wśród umęczonych obrońców i ludności stolicy. Cała akcja była dokumentowana przez niemieckich fotoreporterów i filmowców. Dopiero 1 października do Warszawy oficjalnie wkroczyły główne siły okupanta, które zaczęły przejmować kontrolę nad miastem. Jednocześnie na terenie placu Piłsudskiego odbyła się defilada zwycięskich wojsk. Warto wspomnieć, że dokładnie tego samego dnia rząd Polski, znajdujący się już na uchodźstwie w Paryżu, odznaczył na swoim pierwszym posiedzeniu umęczoną stolicę Orderem Virtuti Militari. Jednak ona rozpoczynała zupełnie nowy etap w swoich dziejach. Na ścianach warszawskich domów zaczęto wywieszać pierwsze niemieckie komunikaty. W ich treści masowo występowały zapisy, które zapowiadały, że prowadzona w okrutny sposób we wrześniu wojna przerodzi się w równie brutalną okupację. Wszystkie nowe zarządzenia musiały „być wykonane bezwarunkowo", a osoby niechcące się im podporządkować miała „spotkać kara śmierci". W nawiązaniu do aktu kapitulacyjnego wybrano również 12 zakładników, wśród których znaleźli się członkowie Komitetu Obywatelskiego, mających być gwarancją posłuszeństwa warszawiaków. Wszystkie te osoby niebawem zostały uwięzione, jak się okazało, w celu zagwarantowania bezpieczeństwa Adolfowi Hitlerowi na czas jego przyjazdu do miasta. Jedyna wizyta Führera w Warszawie odbyła się już 5 października. Z tej okazji w Alejach Ujazdowskich zorganizowano wielką defiladę, w której wzięły udział wszystkie rodzaje niemieckich wojsk wraz z lotnictwem. Warszawiacy w ciszy patrzyli na pokaz siły okupanta i niekończące się kolumny wojsk, które hitlerowskim gestem pozdrawiały swojego wodza. Było to preludium do niemającej precedensu w historii hekatomby miasta.

27 X 1920

Konferencja Ambasadorów przy Lidze Narodów podjęła decyzję o ustanowieniu nowej jednostki terytorialnej, Wolnego Miasta Gdańska. Choć rozwiązanie to miało pogodzić sprzeczne interesy Polaków i Niemców, w przyszłości stało się jednym z pretekstów do rozpoczęcia II wojny światowej.

Niemcy w wyniku doznanej podczas I wojny światowej klęski zostały zmuszone na mocy postanowień traktatu wersalskiego do zwrócenia odradzającej się Polsce większości terenów Wielkopolski i Pomorza. Przyszłość Gdańska była jednak dużo bardziej skomplikowaną kwestią. Polska potrzebowała tego portu jako swojego okna na świat i nieskrępowanego dostępu do morza, co zapewniłoby jej pełną niezależność. Natomiast Niemcy nie chciały się zrzec miasta zamieszkanego w większości przez swoich obywateli. Również niemieccy gdańszczanie sprzeciwiali się planom przyłączenia ich do Polski. Po stronie Niemiec opowiedział się brytyjski premier David Lloyd George. W konsekwencji postanowiono ostatecznie podporządkować sporny teren Lidze Narodów. Powstałe w ten sposób Wolne Miasto Gdańsk zostało proklamowane 15 listopada. Posiadało własny parlament, senat, konstytucję, hymn i walutę. Urzędowym językiem był niemiecki. Jednak miasto było uzależnione od polskiej dyplomacji i znalazło się w polskiej strefie celnej. Polacy mieli również m.in. prawo do korzystania z portu i utworzenia własnej poczty. Ukształtowane w ten sposób Wolne Miasto Gdańsk przetrwało jedynie 19 lat.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X), NAC (3X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

WŚRÓD BEZCENNYCH ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH PRZECHOWYWANYCH W ARCHIWUM GŁÓWNYM AKT DAWNYCH W WARSZAWIE SĄ LICZNE DOKUMENTY DOTYCZĄCE JANA SOBIESKIEGO (1629--1696) I JEGO RODZINY

JACEK KROCHMAL

Wizerunek Jana III z królewskiego dokumentu z 1692 r.

SOBIESCIANA

ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

Większość z nich jest dobrze znana historykom XVII w. Były przez nich wykorzystywane w biogramach Jana III, a szerokiej publiczności prezentowane na wystawach z okazji rocznic wiktorii wiedeńskiej. W 1933 r. sobiesciana z AGAD wypożyczono do Muzeum Narodowego w Warszawie i Biblioteki Polskiej w Paryżu. Latem 1946 r. wystawę poświęconą Janowi III zorganizowano w jego rezydencji – pałacu w Wilanowie, w którym wówczas mieścił się jeden z oddziałów zniszczonego podczas wojny Archiwum Głównego. W 1983 r. powrócono do upamiętniania zwycięstwa pod Wiedniem, udostępniając sobiesciana na wielką ekspozycję na Wawelu, a w 2017 r. pokazano je w stolicy Austrii na wystawie „Polski król w Wiedniu". Większość tych inicjatyw skupiała się na zagadnieniach militarnych i politycznych, a także na mecenacie artystycznym Sobieskiego. Tematyka ta budzi nieustanne zainteresowanie miłośników dokonań Lwa Lechistanu. Ich atrakcyjność wzmogła legenda Sobieskiego opowiadająca o jego wybitnych osiągnięciach wojskowych, krzepiących serca w dobie niewoli narodowej. Król był zaś człowiekiem z krwi i kości, borykającym się z trudnościami dnia codziennego, święcącym triumfy, ale też upokarzanym porażkami, co trafnie oddał Tadeusz Korzon w tytule swej książki „Dola i niedola Jana Sobieskiego".

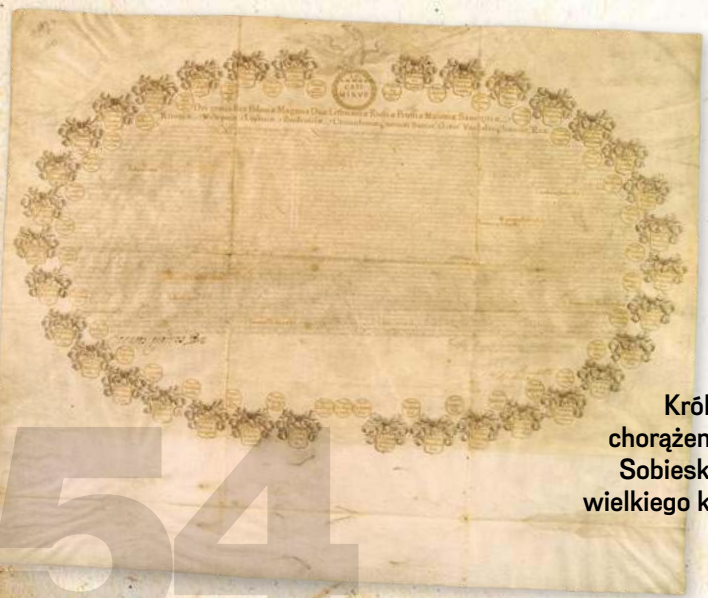

Król Jan Kazimierz nadaje chorążemu koronnemu Janowi Sobieskiemu urząd marszałka wielkiego koronnego (8 I 1665 r.)

Pierwsze kroki w życiu politycznym ułatwiły mu fortuna i znaczenie zdobyte przez ojca, Jakuba Sobieskiego (†1646), który zostając kasztelanem krakowskim, osiągnął najwyższą świecką godność senatorską w Rzeczypospolitej. Jednak stare domy książęce i magnackie pamiętały jego „zwykłe" szlacheckie pochodzenie. Przez wiele lat młody Jan mozolnie piął się po szczeblach kariery politycznej i wojskowej. Jej podstawą była dobra edukacja uzupełniona ufundowanym przez ojca objazdem uniwersytetów i głównych ośrodków politycznych zachodniej Europy, gdzie uczył się języków obcych, zapoznawał ze sztuką wojskową i różnymi systemami władzy. Doświadczenia te wpłynęły na formację intelektualną i horyzonty myślowe przyszłego króla, który sięgając po najwyższe godności państwowe, był już politykiem europejskiego formatu. Usamodzielnienie Jana Sobieskiego było związane z objęciem po zmarłym ojcu starostwa jaworowskiego. W 1649 r. został wciągnięty w bieg wydarzeń wojennych powstania Chmielnickiego. Walczył pod Zborowem i pod Beresteczkiem, gdzie został ciężko ranny w głowę. Ciosem dla Jana była wiadomość o śmierci jego brata Marka,

eprasa.pl 88a0ab6d8b

zgładzonego pod Batohem. Prawdziwym wyzwaniem był jednak potop szwedzki. Sobieski znalazł się w gronie odstępców od legalnego króla Jana Kazimierza i 16 października 1655 r. złożył przysięgę wierności Karolowi Gustawowi. Po półrocznej służbie dla najeźdźcy porzucił go, przechodząc do oddziałów Stefana Czarnieckiego. Odtąd brał udział w wielu bitwach, chcąc zmazać ciążące na nim znamię zdrajcy. Rzemiosła wojennego uczył się od wybitnych wodzów, w tym Jerzego Lubomirskiego. Te liczne zasługi wojenne dostrzegł król Jan Kazimierz, który w nagrodę 27 lipca 1656 r. nadał Sobieskiemu pierwszą ważną godność wojskową, chorążego koronnego. Wraz z nią pod jego komendę oddano korpus sprzymierzonych z Polską Tatarów. W 1663 r. ich czambuły ponownie znalazły się pod komendą Sobieskiego podczas wyprawy moskiewskiej, gdy dowodził południową kolumną wojsk polskich ciągnących przez Ukrainę. Doświadczenia te pozwoliły Sobieskiemu lepiej poznać taktykę wojsk tatarskich, co ułatwiło mu odnoszenie licznych zwycięstw nad nimi w latach następnych.

Początek 1665 r. przyniósł Sobieskiemu nominację na marszałka wielkiego koronnego. Królewski dokument wystawiono 8 stycznia, ale nominat przez pięć miesięcy wzbraniał się przed przyjęciem tej godności, pozostając w rozterce spowodowanej skrupułami wobec dawnego mentora, Jerzego Lubomirskiego, którego pozbawiono tego urzędu. Do jego przyjęcia skłoniły go nie tyle namowy królowej Ludwiki Marii, ile zabiegi świeżo poślubionej Marysieńki. Dalsza kariera Sobieskiego potoczyła się błyskawicznie. W 1666 r. uzyskał buławę polną koronną, a 5 lutego 1668 r. buławę wielką. Nominacja na hetmana była wyrazem uznania dla zdolności militarnych Sobieskiego, udowodnionych podczas kampanii podhajeckiej. Łącząc godności marszałka i hetmana wielkiego koronnego, Sobieski stał się najpotężniejszym dygnitarzem Rzeczypospolitej. Kolejne sukcesy militarne, szczególnie świetne zwycięstwo pod Chocimiem, ułatwiły wyniesienie Sobieskiego na tron królewski w 1674 r. Jednak ciągłe niepokoje wojenne przez niemal dwa lata uniemożliwiały elektowi przeprowadzenie uroczystej koronacji. Ta odbyła się dopiero 2 lutego 1676 r. W okresie jego panowania Janina (Tarcza) Sobieskich została umieszczona

Orzeł z królewskim jabłkiem i herbem Janina (Tarcza) na dokumencie z 1676 r.

jako piąte pole w państwowym herbie Rzeczypospolitej.

Kulminacją panowania Jana III była wiktoria wiedeńska dopełniona rozprawą z wojskami tureckimi w bitwie pod Parkanami. Sukcesu tego nie udało się wykorzystać, a Rzeczpospolita, wplątana w zależność od antytureckiej Ligi Świętej, nie była w stanie wykorzystać słabości imperium osmańskiego. Król nie doczekał zwycięstwa koalicji. Zmarł 17 czerwca 1696 r. w poczuciu fiaska swych planów politycznych i dynastycznych, a także zawiedziony postawą Marysieńki i syna Jakuba.

Dopiero po śmierci monarchy pojawiły się owoce jego polityki. Długoletnia wojna z Turcją zakończyła się w 1699 r. pokojem karłowickim, na mocy którego do Rzeczypospolitej powróciła twierdza w Kamieńcu wraz z Podolem. W działalności Sobieskiego jaśnieją triumfy militarne, blado wypada skuteczność jego polityki zagranicznej, zapomniana i niedoceniona pozostaje zaś jego polityka wyznaniowa. Jej celem było unormowanie skomplikowanych stosunków między prawosławnymi a unitami. Te z pozoru wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej były ważnym elementem rozgrywki dyplomatycznej z Rosją, Turcją i Stolicą Apostolską. Ta ostatnia popierała Kościół unicki w rywalizacji z Kościołem prawosławnym, czyniąc w jego obronie naciski na króla i władze Rzeczypospolitej. Z drugiej strony prawosławna metropolia kijowska podlegała najpierw patriarsze w Konstantynopolu, a od 1686 r. patriarsze moskiewskiemu. Zwierzchnicy prawosławia byli więc poddanymi sułtana tureckiego i cara rosyjskiego, którzy od czasów powstania Chmielnickiego sytuację tę wykorzystywali do ingerowania w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Pochodzący z Rusi Czerwonej Sobieski był dobrze zorientowany w niuansach tej sytuacji. Rozumiał polityczne znaczenie kwestii wyznaniowych w sporach międzynarodowych. Doświadczenia te wykorzystał po swej koronacji, zrywając z błędną polityką poprzedników starających się zachować równowagę między prawosławnymi i unitami poprzez nadawanie im wzajemnie sprzecznych przywilejów. Przedłużało to spór wyznaniowy podsycany przez Rosję wykorzystującą kwestię obrony prawosławia do mieszania się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Próbując wytrącić Rosji to narzędzie polityczne, król dążył do wprowadzenia unii kościelnej we wszystkich diecezjach prawosławnych. Miało to nastąpić ewolucyjnie poprzez nominowanie na katedry biskupie zwolenników unii. Nowi biskupi oficjalnie pozostawali przy prawosławiu, ale przed nominacją składali potajemnie katolickie wyznanie wiary. Uczynili tak nowi biskupi lwowski i przemyski. Ten ostatni oficjalnie ogłosił swe przystąpienie do unii kościelnej w 1691 r. Biskupi pozostałych diecezji prawosławnych przeszli na unię już po śmierci króla Jana III. Zapoczątkowana przez niego polityka religijna ukształtowała oblicze wyznaniowe wschodniej części Rzeczypospolitej, a później wydała owoce w postaci silnego Kościoła greckokatolickiego w Galicji.

Przedstawiciele Korony i Litwy zatwierdzają elekcję Jana Sobieskiego na króla polskiego (23 V 1674 r.)

FOT. KAROL ZGLIŃSKI X4

eprasa.pl.88a0ab6d8b

WOJNA I OKUPACJA W OCZACH DZIECKA

Archiwum Akt Nowych

PRZYTULIŁAM SIĘ DO MAMUSI... TRZYMAŁAM W RĘKU MEDALIK MATKI BOSKIEJ I MODLIŁAM SIĘ. POSTANOWIŁAM SOBIE, ŻE NIE DAM SIĘ ROZDZIELIĆ! WOLĘ, ŻEBY MNIE NIEMCY ZABILI!" – TAK ROZSTANIE Z OJCEM WSPOMINA JEDNA Z UCZENNIC LUBELSKIEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

W zasobie Archiwum Akt Nowych znajduje się wyjątkowe świadectwo „Wojna i okupacja w oczach dziecka" – zbiór rysunków i wspomnień dzieci szkół podstawowych, obrazujący niewyobrażalne skutki zbrodniczej wojny i pięciu długich lat okupacji niemieckiej. Prace te powstały w 1946 r. z inicjatywy Ministerstwa Oświaty.

Konkurs spotkał się z olbrzymim odzewem. Do Ministerstwa Oświaty wpłynęło mnóstwo prac. Nie wiadomo, jakie były kryteria konkursu – czy dzieci prace przygotowywały w domu, czy na zajęciach szkolnych. Sądząc po poziomie prac – przy niektórych na pewno pomagali dorośli, były bowiem bardzo staranne i dojrzale zakomponowane. Nie zmienia to natomiast tego, że dzieci przywoływały autentyczne wydarzenia, dziś często zapomniane.

Z prostych dziecięcych rysunków wyłania się tragiczny obraz wojny i okupacji w Polsce, makabryczna codzienność pełna egzekucji i terroru... walka w lesie, płonące miasta, rozstrzeliwania, obozy koncentracyjne, a nawet precyzyjnie wyrysowane szubienice i piece krematoryjne. Wszystko rysowane kolorowymi kredkami, często z zaskakującymi szczegółami: porażającą ilością pocisków, bomb, płomieni, dymu i drutów kolczastych.

Zbiór zgromadzony w Archiwum Akt Nowych to szczególny dokument czasów II wojny światowej na ziemiach Polski. Oprócz rysunków

FOT. AAN

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ogromną wartość mają również nadsyłane do Ministerstwa Oświaty wypracowania. Te poruszające zwierzenia najmłodszych świadków tamtych wydarzeń paraliżują czytelnika szczegółowymi opisami bestialstwa, rozpaczą, bezradnością, ale także niezwykłą dojrzałością, jaką narzucał im ten straszny czas: „Tymczasem żandarmi weszli do naszego mieszkania. Kazali się tatusiowi ubierać, ale tatuś się opierał. Zaczęli go bić kolbami. Zauważyłam na tatusia ustach krew... krzyk rozdzierający przeszył powietrze. To ja krzyczałam z rozpaczy... wkrótce tatuś skonał... Och gdybym złapała choć jednego takiego gada, to zadusiłabym własnymi rękami za moje sieroctwo na całe życie! Dlaczego bliźni zabijają swoich bliźnich?" – pyta Ewa z klasy III w Stoku Lackim.

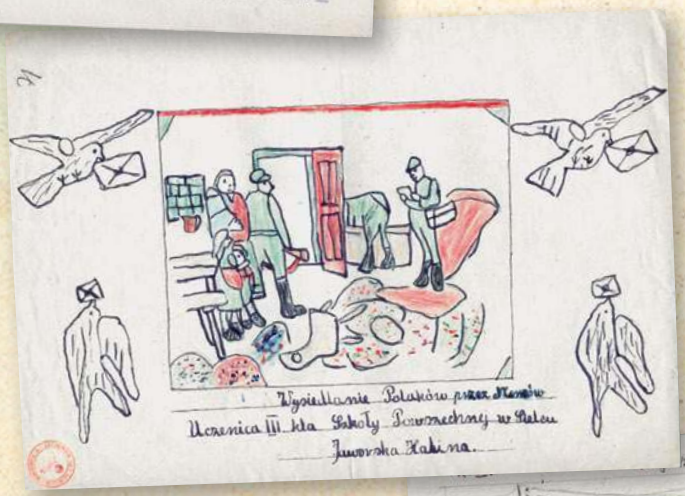

Relacje te, pełne szczegółów opisy sytuacji, czasem niepojęte dla dzieci, budzą w czytelniku podwójną refleksję: jak czuły się dzieci, przywołując te dramatyczne sceny i czy kiedyś o nich zapomną? „Jednego dnia Niemcy przyjechali samochodem na Rynek Parczewa i postawili szubienice, na której mieli wieszać Polaków przywiezionych z Lublina. Najpierw wyszedł kat w białych rękawiczkach. Do szubienicy przystawiono schody i kat zaczął przyprowadzać po jednym skazańcu z samochodu i wieszał. Kiedy wszystkich powiesił, zdjął rękawiczki i włożył jednemu z powieszonych w kieszeń".

Największy strach rodził się w sytuacji możliwego rozstania z najbliższymi. Obawa utraty rodziców była większa niż strach przed utratą własnego życia: „Niemcy kazali wyjść mężczyznom na ulicę i ustawić się trójkami. Wszystkie dzieci poczęły głośno płakać. Ojcowie żegnali się z rodzinami i odchodzili z tą myślą, że może ich nigdy więcej nie zobaczą. Razem z innymi poszedł i mój tatuś. Naraz okropna myśl przyszła mi do głowy: co to będzie, gdy Niemcy zabiorą nam mamusię, a my zostaniemy same? Przytuliłam się do mamusi, trzymałam w ręku medalik Matki Boskiej i modliłam się. Postanowiłam sobie, że nie dam się rozdzielić! Wolę, żeby mnie Niemcy zabili!".

Często uczniowie w swoich wypracowaniach nawiązywali do konspiracyjnej pracy członków swoich rodzin. Opisując okupacyjną codzienność, wspominają o działalności rodziców, wujków czy dziadków, często też sami byli pośrednio zaangażowani w niebezpieczną działalność: „Wujek i dziadek byli w Więzieniu w Puławach razem, trzy tygodnie. Tam wujka męczyli, bili, katowali w najokrutniejszy sposób. Kiedy wujek wrócił do celi z tych męczarni, to wyglądał jak istny trup. Jęczał, ale nikogo nie wydał... Potem zabrali go do Lublina, tam przez trzy kolejne miesiące go katowali, a później spalili wujka w Majdanku".

„Niemcy urządzili w Zwierzyńcu obóz, otoczony kolczastymi drutami. Tu Niemcy zwozili ogromnymi ciężarówkami ludzi lub gnali piechotą. Dorosłych tracono w okrutny sposób. Dzieci ginęły masowo. Na to wszystko patrzyłam własnymi oczyma, stojąc pod drutami z mamusią. Mamusia nosiła ludziom bieliznę i jedzenie. To, co tam przeżyłam, nie zapomnę nigdy".

Wojna w szczególnie okrutny sposób dotyka bezbronne dzieci. Zamiast dzieciństwa funduje im lata pełne strachu, upokorzeń, aresztowań i wszechobecnej śmierci.

Ministerstwo Oświaty, organizując w 1946 r. ten konkurs, zabezpieczyło wyjątkowe świadectwo przeszłości. Teraz jest ono dostępne w zasobie Archiwum Akt Nowych.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (7)

OBRAZ POLSKIEGO WKŁADU INTELEKTUALNEGO W WYSIŁEK WOJENNY JEST NIEPEŁNY, A BYŁ BEZ WĄTPIENIA IMPONUJĄCY. DLACZEGO DOROBEK TEN POZOSTAJE PO DZIŚ DZIEŃ PRAWIE NIEZNANY? BO DZIAŁALNOŚĆ POLSKICH INŻYNIERÓW BYŁA ŚCIŚLE UTAJNIONA, A PO WOJNIE NIE BYŁO KOMU OPISAĆ I DOCENIĆ ICH ZASŁUG

BOLESŁAW ORŁOWSKI

W wyniku zmowy potężnych wrogich sąsiadów w końcu lat 30. Polska znalazła się w katastrofalnej sytuacji, zarówno jeśli idzie o dramatycznie niekorzystną dysproporcję sił, jak i fatalne strategicznie położenie. We wrześniu 1939 r. zastosowana przez Niemcy wojna totalna, wymierzona również przeciw ludności cywilnej, spowodowała zatłoczenie sieci drogowej przez uchodźców, co dotkliwie utrudniało działania operacyjne Wojska Polskiego. A nowatorska taktyka Blitzkriegu – zmasowane ataki oddziałów pancernych wspierane przez nasilone naloty – skutecznie dezorganizowała obronę. Przebieg, a zwłaszcza tempo militarne kampanii wrześniowej, były dla Polaków ogromnym szokiem, a wkroczenie 17 września 1939 r. armii sowieckiej przesądziło sprawę ostatecznie.

Wacław Struszyński (1905–1980), poniżej pakistańska fregata z skonstruowaną przez niego anteną namiarową

FOT. STATE LIBRARY OF VICTORIA; BIBLIOTEKA NARODOWA

Polskich inżynierów wkład w zwycięstwo

Rzeczpospolita Polska pozostała jednak w grze, wspierając militarnie zachodnich sojuszników siłami, które udało się odtworzyć we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii. Nawet po przystąpieniu do koalicji antyhitlerowskiej takich potęg jak ZSRS i USA, do końca wojny oddziały polskiego wojska były czwartą co do wielkości i siły bojowej armią. Polskie Siły Zbrojne odnotowały wiele głośnych sukcesów, jak udział naszych lotników w bitwie o Anglię, uczestnictwo w ope-

eprasa.pl 88a0ab6d8b

racji pod Narwikiem, w obronie Tobruku, zdobyciu Monte Cassino czy wyzwalaniu Belgii i Holandii.

Oddając wszakże należną cześć polskiej ofierze krwi, trzeba z całą mocą podkreślić, że porównywalny, a w opinii części badaczy nawet większy, był polski wkład w zwycięstwo nad Niemcami w zakresie doskonalenia sprzętu przydatnego militarnie. Przyczynił się on efektywnie do uzyskania przewagi, zminimalizowania strat własnych i skrócenia czasu trwania wojny.

Tak się bowiem złożyło, że znaczną część polskiego potencjału, który znalazł się podczas wojny na Zachodzie, stanowili – obok wojskowych – także inżynierowie i naukowcy pracujący dla zwycięstwa. Wedle ewidencji na dzień 1 stycznia 1944 r. było ich tam, głównie w Wielkiej Brytanii, 5592, z czego w siłach zbrojnych 4049. A wniesiony przez nich wkład był niezwykle ważny i obfitował w osiągnięcia najwyższej rangi.

W dziedzinie łączności

Najbardziej spektakularne osiągnięcia mieli Polacy w doskonaleniu sprzętu radiotechnicznego. Wacław Struszyński (1905–1980) skonstruował antenę namiarową goniometryczną umożliwiającą wykrywanie i lokalizację niemieckich okrętów podwodnych, kiedy w wynurzeniu korzystały do łączności radiowej z bazą z wysokich częstotliwości. Wyprodukowano ok. 3 tys. takich anten, które instalowano na okrętach eskortujących konwoje. Pomogło to sprzymierzonym wygrać bitwę o Atlantyk. Pikanterii sprawie dodaje to, że antena Struszyńskiego funkcjonowała na zasadzie układu namiarowego, na który złożył wniosek patentowy w 1938 r. i w 1943 r. uzyskał patent nr 32442 przyznany przez Urząd Patentowy Generalnego Gubernatorstwa. Antena ta została zresztą podczas wojny skopiowana przez Niemców i wykorzystywana w radionamiernikach Adcock. W 1948 r. Struszyński uzyskał na nią patenty brytyjskie nr 601096 i nr 603328.

Pracujący od 1940 r. w amerykańskiej firmie Galvin (od 1947 r. Motorola) Henryk Magnuski (1909–1978) opracował pierwszą, opartą na modulacji częstotliwości radiostację wojskową dla najniższych szczebli dowodzenia SCR-300FM, lekką i o stosunkowo dużym zasięgu (walkie-talkie). Wyprodukowano co najmniej 100 tys. takich urządzeń stosowanych przez wojska amerykańskie od 1943 r. w Europie i na Pacyfiku, za co Magnuski uzyskał pochwały i podziękowania dowództwa Sprzymierzonych. Skonstruował też radiolatarnię radarową AN/CPN-6 dla marynarki amerykańskiej, ułatwiającą powrót samolotów na lotniskowce w warunkach ograniczonej widoczności. Pozostał do końca życia w USA, uzyskując łącznie 30 patentów z zakresu radiokomunikacji (jego imię nosi jedna z katedr na University of Illinois w Chicago).

Stanisław Marcin Ulam (1909–1984)

FOT. CZAPLINSKI/FOTONOVA/EAST NEWS

Najbardziej spektakularnego wyczynu dokonał Zygmunt Jelonek (1909–1994) pracujący w ośrodku badawczym Signal Research and Development Establishment w Christchurch w południowej Anglii. Kierował tam zespołem, który stworzył radiostację WS Nr 10, pionierską w skali światowej linię radiową o ośmiu kanałach komunikacyjnych, która umożliwiła łączność dowództwa z oddziałami walczącymi na plażach Normandii podczas inwazji na początku czerwca 1944 r. Został za to osiągnięcie jako jedyny wymieniony w rozkazie dziennym głównej kwatery Sprzymierzonych w dniu lądowania D-Day (6 czerwca 1944 r.). Warto wspomnieć, że Jelonek zaprojektował w latach 1935–1936 konstrukcję generatora wzbudzającego radiostacji w Wilnie o najlepszej wówczas stabilności częstotliwości w Europie.

Działko Podsędowskiego i inne

Z pozostałych osiągnięć należy zwłaszcza wspomnieć skonstruowanie przez Jerzego Podsędkowskiego (1900–1962) w Armament Design Department brytyjskiego ministerstwa zaopatrzenia w Cheshunt działka przeciwlotniczego Polsten kalibru 20 mm. Była to uproszczona wersja Oerlikonu składająca się ze 119 (zamiast 250) części, równie niezawodna, a kilkakrotnie tańsza w produkcji. Do 1944 r. wyprodukowano ponad 50 tys. tych działek, instalowanych m.in. na okrętach wojennych. A także stworzenie przez tegoż Podsędkowskiego w renomowanych zakładach zbrojeniowych w Enfield pomysłowego półautomatycznego pistoletu maszynowego MCEM, pierwszego w pełni udanego, produkowanego seryjnie i naśladowanego w podobnych małogabarytowych konstrukcjach. A także wyrzutnik bombowy wynaleziony w 1943 r. przez Jerzego Rudlickiego (1893–1977) zastosowany w bombowcach amerykańskich B-17 Flying Fortress.

Było tych dokonań znacznie więcej. Prawdę o tej naszej chlubnej karcie dopiero stopniowo odkrywamy.

Zapoznane osiągnięcia

Dlaczego zatem dorobek ten pozostaje po dziś dzień prawie nieznany? Głównie dlatego, że działalność tych ludzi była ściśle utajniona, a po wojnie nie było komu opisać i docenić ich zasług. Nie mieli powodu, by to czynić Brytyjczycy, znani zresztą z powściągliwości w eksponowaniu cudzych osiągnięć. Podnoszenie przewag porzuconego ze względów politycznych sojusznika stawiałoby ich przecież w jeszcze bardziej niewygodnej moralnie sytuacji. Sławienie utalentowanych rodaków, z których prawie nikt nie powrócił do pojałtańskiej Polski, nie wchodziło też w rachubę w PRL jako sprzeczne z podstawowymi założeniami propagandowymi. Ich osiągnięcia – nie tylko wojenne, także późniejsze dokonywane na obczyźnie – zostały objęte świadomą polityką przemilczeń praktykowaną przez ówczesne krajowe środki masowego przekazu. Było to nieporównanie łatwiejsze od przemilczenia sukcesów polskiego oręża, o których nie sposób było od czasu do czasu nie wspomnieć.

Istotną barierą był też ograniczony przez długie lata i wciąż jeszcze niepełny dostęp do wojennych archiwów. W wyniku tego obraz polskiego wkładu intelektualnego w wysiłek wojenny jest niepełny i wymaga dalszych badań, a był bez wątpienia imponujący. Trudno wręcz oprzeć się wrażeniu, że to niekwestionowany patriotyzm tych ludzi, walczących o polską sprawę pod obcym niebem, wspomagał ich w chwili największej potrzeby we wznoszeniu się na szczyty własnych osiągnięć intelektualnych.

Przemilczani w PRL

Większość tych, których losy wojenne rzuciły na Zachód, nie powróciła do »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» pojałtańskiej Polski. Sporo z nich zrobiło liczące się kariery zawodowe. Spośród najbardziej spektakularnych powojennych polskich osiągnięć technicznych najważniejszym był udział Stanisława Marcina Ulama (1909–1984) w wynalezieniu bomby wodorowej (1952). Ulam był jednym z najwybitniejszych matematyków XX w., przedstawicielem tzw. szkoły lwowskiej skupiającej w okresie międzywojennym zespół wyjątkowych talentów matematycznych. Wybuch wojny zastał go w Stanach Zjednoczonych. Uczestniczył w programie „Manhattan", od 1944 r. pracując w Los Alamos nad budową bomby atomowej. Następnie brał udział w pracach nad bombą wodorową. Jego wkład w jej skonstruowanie był kluczowy. Wykazał bowiem, że kierujący tym przedsięwzięciem pomysłodawca tej superbomby Edward Teller oparł się na błędnym założeniu. Skorygował je i zaproponował poprawny sposób jej odpalania. Ulam wniósł wiele do rozwoju matematyki światowej, w teorii prawdopodobieństwa był twórcą tzw. metody Monte Carlo, wiele jego badań wiązało się z zastosowaniami praktycznymi w fizyce matematycznej i termojądrowej.

Wyzwaniom nowoczesności w innym zakresie z powodzeniem sprostał Stefan Tyszkiewicz (1894–1976), wszechstronny wynalazca, zdobywca głównej nagrody na wystawie powszechnej Expo '58 w Brukseli. Przed wojną należał on do czołowych pionierów motoryzacji w Polsce. Jego samochód Ralf Stetysz był bliski zwycięstwa w VIII Rajdzie Monte Carlo w 1929 r., zdobywając nagrodę za wygodę i wytrzymałość. Więziony od 1940 r. na Łubiance, wrócił na Zachód jako szef służby samochodowej armii gen. Władysława Andersa. W okresie bitwy o Monte Cassino (maj 1944) skonstruował urządzenie do unieszkodliwiania niemagnetycznych (drewnianych) min przeciwpiechotnych, bardzo trudnych do wykrycia. Po wojnie stał się jednym z pionierów elektroniki, uzyskując patenty na pomysłowe urządzenia, m.in. na Stenovox i Stetyphone – wczesne systemy dyktowania i odtwarzania na odległość wyposażone w zabezpieczenia kodowe. Zajmował się też automatyzacją kontroli lotnisk, uczestniczył w budowie rakiet meteorologicznych. A także konstruował nowego typu wózki do przewozu inwalidów i bagażu, które – dzięki zastosowaniu automatycznej zmiany długości podstaw kół tylnych – mogły się poruszać po schodach, również ruchomych, nagradzane w Genewie (1972) i w Nowym Jorku (1973).

FOT. WIKIPEDIA, HANK MAGNUSKI, LICENCJA CC-BY SA 3.0

Jego osiągnięcia były konsekwentnie przemilczane przez środki masowego przekazu PRL (sto lat wcześniej oficjalna prasa w zaborze rosyjskim donosiła o podobnych sukcesach polskich emigrantów politycznych).

Godny odnotowania jest także wkład Mieczysława

Henryk Magnuski (1909--1978) opracował radiostację wojskową SCR-300FM

Grzegorza Bekkera (1905–1989) w stworzenie pojazdu księżycowego (Lunar Roving Vehicle) dla amerykańskiego programu „Apollo". Kierował zespołem, który go zbudował w laboratorium badawczym firmy General Motors Corporation AC w Santa Barbara w Kalifornii, czuwając nad koncepcją lokomocyjną i osobiście opracowując konstrukcje specjalnych ażurowych opon oraz elastycznej ramy pojazdu. Trzy takie pojazdy wykorzystano w wyprawach Apollo 15, 16 i 17 (1971–1972). Po ich sukcesie zespół Bekkera zaczął myśleć o koncepcji analogicznego pojazdu do przyszłej wyprawy na planetę Mars. Bekker od 1931 r. pracował w Biurze Badań Technicznych Broni Pancernej, zajmując się ruchliwością pojazdów poruszających się po bezdrożach. Po wojnie stał się prekursorem i głównym twórcą podwalin tzw. terramechaniki, zajmującej się mobilnością i lokomocją terenową (był współorganizatorem pierwszej międzynarodowej konferencji poświęconej tej tematyce w Turynie w 1961 r.). Uzyskał 14 patentów amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich. Doktoraty honoris causa przyznały mu uniwersytety w Monachium, Ottawie i Bolonii. Pragnęły to uczynić również Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu i Politechnika Warszawska, ale nie uzyskały zezwolenia władz PRL. Dopiero w 1991 r. nazwano jego imieniem audytorium na Wydziale Samochodów i Maszyn Roboczych PW.

Do młodszego pokolenia należy wywodzący się również z II Rzeczypospolitej, bo urodzony w 1938 r. we Lwowie, Andrzej Rozwadowski. Największym jego osiągnięciem było wzniesienie w Toronto najwyższej wówczas na świecie (583 m) wieży telewizyjnej CN Tower w Kanadzie (1975).

Wymienione sukcesy to tylko najbardziej spektakularne przykłady dokonań licznej rzeszy wynalazców i inżynierów polskiego pochodzenia działających po II wojnie światowej na obczyźnie. W rozwiniętych krajach Zachodu mieli oni sposobność uczestnictwa w poszerzaniu horyzontów tego, co wykonalne. Takiej możliwości pozbawieni byli ich rówieśnicy działający w kraju, odciętym w okresie PRL od głównego nurtu światowego postępu naukowo-technicznego. W warunkach gospodarki nakazowej, w której normalne mechanizmy wolnego rynku – sprzyjające pomysłowości i przedsiębiorczości – zastąpiono zbiurokratyzowanym planowaniem, nie mieli oni szansy, by skutecznie rywalizować z najlepszymi. Skutkowało to rozmaitymi patologiami, obniżając jakość i wydajność pracy, a nawet wręcz podważając fundamentalną zasadę funkcjonowania cywilizacji, w jakiej żyjemy od tysięcy lat, polegającą na społecznym podziale pracy. Powinniśmy ten smutny okres i jego szkodliwe, trwające wciąż następstwa, potraktować jako dotkliwą nauczkę historii i jak najszybciej powrócić do etosu II RP, odważnie stawiającej czoła wyzwaniom nowoczesności. Daje taką szansę dokonująca się obecnie dobra zmiana, pod warunkiem przeprowadzenia jej w sposób rozważny i dogłębny, a nie tylko hasłowy i powierzchowny. Od nas samych jedynie w ostatecznym rozrachunku zależy, czy i w jakim stopniu będziemy aktywnie uczestniczyć w wielkim wyścigu myśli i pracy, jaki składa się na postęp naukowo-cywilizacyjno-techniczny ludzkości.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

PAWEŁ SKIBIŃSKI

1944 – rok najmłodszego państwa wikingów

W 1944 r. odbyło się na Islandii referendum dotyczące uzyskania przez ten skandynawski kraj pełnej niepodległości. 25 maja 1944 r. – przy frekwencji 98 proc. uprawnionych do głosowania – Islandczycy zadecydowali o uzyskaniu pełnej niezależności od Danii, a także o rezygnacji z systemu monarchicznego i wprowadzeniu republiki. Za zerwaniem z Kopenhagą i nową republikańską konstytucją opowiedziało się 71 tys. mieszkańców wyspy, tj. 95 proc. głosujących. W wyniku referendum król duński Chrystian X przestawał być głową państwa islandzkiego.

W ten sposób zakończył się etap w dziejach kraju, zapoczątkowany w 1918 r., odkąd Islandia na mocy układu z Kopenhagą była autonomicznym królestwem, połączonym jednak z Danią unią personalną. Kopenhaga natomiast prowadziła w imieniu Reykjavíku politykę międzynarodową i militarną.

Po uzyskaniu niepodległości na pierwszego prezydenta Republiki został wybrany przez miejscowy parlament (Althing) Sveinn Björnsson. Rok później jego mandat został potwierdzony w wyborach powszechnych, a po raz kolejny uzyskał to stanowisko w 1949 r. Björnsson zmarł w 1952 r. podczas sprawowania trzeciej kadencji prezydenckiej.

To ciekawa postać – polityk, prawnik, dyplomata i biznesmen. Z jednej strony był współwłaścicielem największej firmy handlującej rybami – naturalnym bogactwem eksportowym Islandii, z drugiej zaś szefem miejscowych spółek ubezpieczeniowych. Działał także jako aktywny wolnomularz i wielki mistrz Wielkiej Loży Islandii.

Wcześniej, do 1940 r. przez niemal 20 lat, przyszły prezydent był posłem Królestwa Islandii w Kopenhadze, gdy kraj ten był jeszcze związany unią personalną z Danią. W chwili wybuchu wojny opuścił duńską stolicę i powrócił do kraju, by w połowie 1941 r. zostać regentem.

Władzę w Reykjavíku sprawował w chwili referendum pozaparlamentarny rząd Björna Thordarssona, nazywany „rządem Coca-Coli", gdyż przynajmniej dwóch ministrów tego gabinetu reprezentowało na wyspie interesy amerykańskich koncernów – Esso i Coca-Cola. Miało to wiele wspólnego z obecnością militarną Amerykanów na Islandii.

Referendum z 1944 r. oznaczało zmianę rządu – na czele władzy wykonawczej stanął doświadczony islandzki polityk Ólafur Thors, obejmując także stanowisko szefa islandzkiej dyplomacji. Był on przywódcą Partii Niepodległości, konserwatywnej partii powstałej w 1931 r. i do dziś będącej największą siłą polityczną kraju, zazwyczaj wchodzącej do rządów koalicyjnych. Thors prowadził partię od 1934 do 1961 r.

Decyzja o oderwaniu się od Danii podejmowana była przez Islandczyków w warunkach amerykańskiej okupacji. Na wyspie stacjonowało bowiem nawet 40 tys. żołnierzy USA, czyli tylu, ilu było dorosłych islandzkich mężczyzn.

II wojna światowa dla Islandii zaczęła się w kwietniu 1940 r. wraz z okupacją Danii przez Niemcy. Islandczycy starali się zająć w tej sytuacji pozycję stricte neutralną, jednak już miesiąc później wyspa pozbawiona w praktyce sił zbrojnych została bez walki zajęta przez Brytyjczyków, którzy obawiali się ewentualnej obecności Niemców na strategicznym obszarze północnego Atlantyku. W lipcu 1941 r., a więc w czasie gdy USA były formalnie neutralne, okupantów brytyjskich zastąpili amerykańscy.

Obecność militarna USA nie była jednak przyjmowana przez mieszkańców wyspy z niechęcią, znaleźli oni bowiem pracę przy realizowanych przez aliantów projektach infrastrukturalnych – wojska okupacyjne wzniosły np. pierwsze lotnisko w Reykjavíku.

Z pewnością jednak obawy aliantów o wpływy niemieckie na wyspie nie były całkowicie bezpodstawne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że np. najstarszy syn pierwszego prezydenta kraju – Björn Sveinnsson Björnsson (pierwsze nazwisko miał islandzkim zwyczajem utworzone od imienia ojca, drugie zaś nazwisko nosił duńskim zwyczajem po matce) był żołnierzem Waffen SS.

O ile nikt na Islandii nie kwestionował decyzji o samodzielności, podjętej przez mieszkańców w 1944 r., o tyle zdecydowanie niezadowoleni z niej byli Duńczycy – i to zarówno ich część wspierająca niemieckiego okupanta, jak i zajmujący niechętne wobec Niemców stanowisko król Chrystian X.

Ten dzielny monarcha, który postanowił pozostać w okupowanym kraju, by nie opuszczać swego narodu i codziennie osobiście jeździł konno ulicami Kopenhagi bez eskorty, by podtrzymać mieszkańców na duchu, wyrażał swoje niezadowolenie z decyzji Islandczyków. Twierdził, że Sveinn Björnsson złamał dane mu w 1940 r. słowo, iż nie będzie mowy o uniezależnieniu wyspy podczas okupacji. Islandzki prezydent nie miał więc z dawnym władcą dobrych relacji i do śmierci nie odwiedził dawnej metropolii.

Jednak w 1944 r. Chrystian X nie zdecydował się na eskalację nastrojów antyislandzkich, oficjalnie (choć bez satysfakcji) pogratulował Islandczykom niepodległości i wezwał Duńczyków do zaakceptowania tego. Na mapie Europy pojawiło się w ten sposób oficjalnie nowe niepodległe państwo. ■

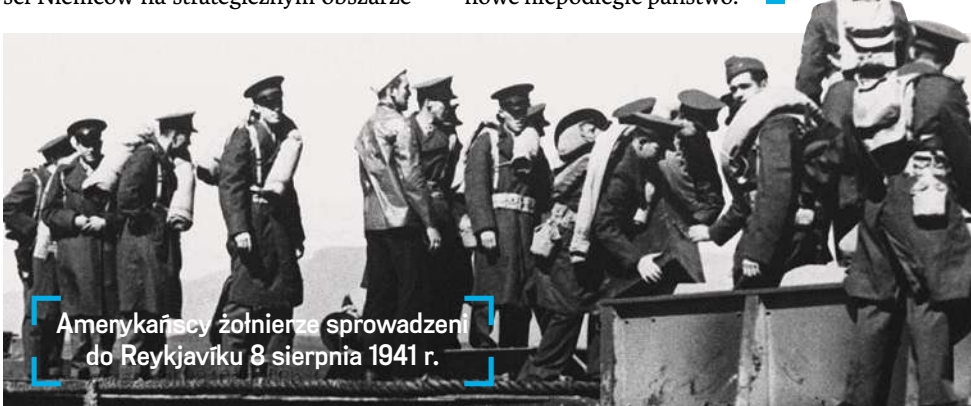

Amerykańscy żołnierze sprowadzeni do Reykjavíku 8 sierpnia 1941 r.

FOT. EAST NEWS/AP PHOTO

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

TRUDNE WYBORY SZLACHTY INFLANCKIEJ

Mapa Inflant i Kurlandii, pochodząca z ok. 1710 r., wydana w Norymberdze przez Johanna Homana; poniżej rycina przedstawiająca Jürgena von Farensbacha

eprasa.pl 88a0ab6d8b

HENRYK LITWIN

LOSY JÜRGENA I WOLMARA FARENSBACHÓW Z PRZEŁOMU XVI I XVII w. SĄ DOWODEM NA PRAWDZIWOŚĆ PRZYSŁOWIA, ŻE FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY

W połowie XVI w., w epoce rozwoju reformacji, kiedy podziały wyznaniowe silnie wpływały na przebieg międzynarodowej gry politycznej, w Europie Północnej wytworzyła się swoista geopolityczna próżnia na skutek rozkładu państwa utworzonego w XIII w. przez Zakon Kawalerów Mieczowych (Fratres militiae Christi de Livonia) na terenach dzisiejszej Estonii i Łotwy. „Rycerze chrystusowi" – bo tak ich również nazywano – pochodzili głównie z Niemiec i stali się stopniowo autonomiczną gałęzią zakonu krzyżackiego. Panowali nad terenami zamieszkanymi przez ugrofińskich Estów i Liwów (od nich pochodziła nazwa kraju – Livland, po polsku zniekształcona na Inflanty) oraz bałtyjskich Łatgalów, Kurów, Zemgalów i Zelów. W XVI w. skomplikowana struktura tego państwa dzielącego się na domenę zakonną, biskupią i strefę wpływów wolnego miasta Rygi została naruszona poprzez rozkład zakonu, poddającego się szybko wpływom reformacji. Pretensje do zwierzchnictwa nad ziemiami kawalerów mieczowych rościło sobie cesarstwo. Za swoją sferę wpływów uważał Inflanty książę pruski władający zsekularyzowanymi ziemiami należącymi niegdyś do Krzyżaków. Nie mieli oni jednak wówczas dość sił, by uczestniczyć w rzeczywistej grze o zakonną spuściznę, do której przystąpili sąsiedzi – Szwecja, Dania, Moskwa i tworzące się właśnie państwo polsko-litewskie, które jako Rzeczpospolita Obojga Narodów w latach 70. i 80. XVI w. stopniowo włączyło w obszar swego oddziaływania znaczną część Inflant. Ich północna część – Estonia – została zajęta przez Szwecję. Wyspę Ozylię oddano pod kontrolę Danii. Leżące na południu Kurlandia i Semigalia jako księstwo lenne Rzeczypospolitej objął w dziedziczne panowanie ród Kettlerów. Pozostała, środkowa część Inflant stała się autonomiczną prowincją państwa polsko-litewskiego, a jej status prawny ulegał ciągłym zmianom.

Droga do Rzeczypospolitej

Elitę polityczną XVI-wiecznych Inflant tworzyła szlachta: potomkowie rodów dawnych rycerzy zakonnych. Była ona niemieckojęzyczna i protestancka. Podobnie kształtowała się sytuacja w odniesieniu do patrycjatu miast inflanckich, a szczególnie Rygi. Łotewsko- i estońskojęzyczni chłopi byli wówczas biernymi uczestnikami wydarzeń. Szlachta Liwonii szukała dla siebie miejsca w grze sąsiadów o dominację nad jej ojczyzną, dokonywała trudnych i zmiennych wyborów. Obrazowym przykładem tych manewrów mogą być dzieje rodu Farensbachów. Urodzony w 1552 r. Jürgen Farensbach wiódł burzliwe życie zawodowego żołnierza. Uczył się profesji w Szwecji we Francji. W 1570 r. wrócił do Inflant nękanych rywalizacją sąsiadów o podział kraju. Przyłączył się do tej części elit, która zabiegała o samodzielność prowincji w luźnym związku z jednym z ościennych mocarstw. Uczestniczył w walkach ze Szwedami i pertraktacjach dyplomatycznych z Moskwą. W trakcie tych ostatnich został uwięziony przez Iwana Groźnego; od śmierci uratowała go jedynie zgoda na objęcie dowództwa nad wojskami carskimi walczącymi z najazdem tatarskim (1572). Mimo sukcesów na polu bitwy przy najbliższej okazji zbiegł ze służby moskiewskiej i zaoferował swe usługi królowi Danii. Dzięki temu wrócił do ojczyzny, został bowiem namiestnikiem Ozylii. W tym charakterze wspomagał militarnie Gdańsk prowadzący wojnę z obranym na tron polski Stefanem Batorym i w sierpniu 1577 r. objął nawet naczelne dowództwo wojsk gdańskich. Kontakt bitewny z Polakami miał nieoczekiwane konsekwencje, Farensbach bowiem zdecydował się niebawem na... wstąpienie na służbę polską i udział w wojnie z Moskwą. Brał udział w kampanii 1580 r., odznaczył się odwagą oraz zaletami dowódczymi pod Wieliżem i Wielkimi Łukami. Niewątpliwie dobrze zapisał się w pamięci króla i kanclerza Jana Zamoyskiego. Wrócił jednak do służby duńskiej i znowu pełnił funkcję namiestnika Ozylii. Prawdopodobnie miał już w planach zmianę suwerena, w sporze Rzeczypospolitej z Danią bowiem o leżącą w Kurlandii ziemię piltyńską (1583) wystąpił jako ukryty sojusznik Stefana Batorego, przeciwdziałając organizacji duńskiej odsieczy. Został wówczas pozbawiony namiestnictwa Ozylii i rychło wypowiedział służbę królowi Danii, przyjmując jednocześnie poddaństwo Rzeczypospolitej. Został za to wynagrodzony „prezydenturą" wendeńską (odpowiednik wojewody) oraz dziedzicznym nadaniem dóbr Karkus, a niebawem także „hetmaństwem inflanckim".

Do końca życia Jürgen Farensbach, zwany w tym czasie coraz częściej Jerzym, pozostał lojalnym obywatelem Rzeczypospolitej. Nie nauczył się polskiego i pozostał protestantem, ale stał się doradcą wojskowym hetmana Jana Zamoyskiego i jednocześnie jednym z najważniejszych współpracowników Zygmunta III w Inflantach. W 1598 r. otrzymał nominację na nowo utworzone województwo wendeńskie. Odgrywał szczególnie istotną rolę w czasie, gdy stryj polskiego króla Karol Sudermański podjął zabiegi o pozbawienie bratanka korony szwedzkiej. W czasie tzw. drugiej wyprawy Zygmunta III do Szwecji (1598) pełnił funkcję głównodowodzącego polskimi wojskami monarchy. Po porażce tej ekspedycji pozostał stronnikiem Zygmunta III w sprawach szwedzkich i usiłował organizować opór przeciw Karolowi w Finlandii, a potem wziął udział w walkach z najazdem szwedzkim na Inflanty. W ich trakcie został ciężko ranny pod Felinem 6 maja 1602 r. Zmarł dwa dni później, a jego bohaterską śmierć opiewał w misternym wierszowanym epitafium sam hetman Zamoyski.

Karierowicz czy patriota lokalny?

Synowie Farensbacha mieli w Rzeczypospolitej otwartą drogę do kariery. Szczególnie barwną postacią był starszy z nich Wolmar, występujący także w źródłach jako Włodzimierz lub Waldemar. Pobierał nauki w gimnazjum ewangelickim »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» w Dorpacie oraz w Akademii Zamoyskiej. Niemiecki był jego rodzinnym językiem, ale posługiwał się także polskim i łaciną. Jako 16-latek w roku śmierci ojca rozpoczął żołnierską karierę. Szybko zyskał renomę nie tylko znakomitego żołnierza, ale i śmiałego dowódcy. Już w 1607 r., w wieku 21 lat, dowodził obroną Wolmaru przed Szwedami. W następnych latach pełnił funkcję komendanta załogi w Rydze (1609) i zasłużył się w bitwach pod Parnawą i Dźwinoujściem (1609). Dzięki pozycji ojca i własnym zasługom stanął na progu ścisłej elity Rzeczypospolitej, o czym świadczyło małżeństwo zawarte w 1610 r. z Krystyną Chodkiewiczówną, siostrą ówczesnego hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza. Już w następnym roku został gubernatorem Inflant (1611) i w tym charakterze brał udział w pertraktacjach pokojowych ze Szwecją. Poczuł się zapewne prawdziwym gospodarzem prowincji, zaczął bowiem prowadzić własną dyplomację, nawiązując dyskretne kontakty z Danią i Szwecją, a także podejmując się roli mediatora w narastającym konflikcie wewnętrznym w Kurlandii. Jednocześnie popsuły się jego stosunki z Janem Karolem Chodkiewiczem, który określał go w tym czasie w swojej korespondencji jako „błazna". W efekcie odebrano mu funkcję gubernatora Inflant. Wolmar podjął wówczas niezwykle ważną decyzję życiową, porzucając protestantyzm i przystępując do Kościoła katolickiego. Historycy najczęściej wiązali tę decyzję z politycznym pragmatyzmem Farensbacha (możliwość kariery pod skrzydłami katolickiego monarchy), ale kolejne wydarzenia zdają się przeczyć takiej interpretacji. Rozpoczął on bowiem rozgrywkę, w trakcie której nawiązał kontakt z dworem spadkobiercy Karola Sudermańskiego Gustawa Adolfa (króla Szwecji od 1611 r.) i podjął pertraktacje o przyjęcie szwedzkiej protekcji, ofiarowując skandynawskim kontrahentom przekazanie pozostających pod jego kontrolą twierdz inflanckich. W tym samym czasie uczestniczył w życiu politycznym Rzeczypospolitej, posłując w 1615 r. na sejm z sejmiku wendeńskiego. Skomplikowana rozgrywka doprowadziła go w 1616 r. do otwartej zdrady interesów Rzeczypospolitej. Podpisał wówczas przysięgę wierności Gustawowi Adolfowi, a w kolejnym roku przekazał atakującym Inflanty Szwedom twierdze w Goldyndze, Windawie i Dźwinoujściu. Jednocześnie usiłował zadbać o swoją pozycję i próbował zająć na własną rękę Parnawę, co mu się nie udało. W tej sytuacji podjął pertraktacje o powrót do służby Rzeczypospolitej. W październiku 1617 roku zawarł porozumienie z hetmanem polnym Krzysztofem Radziwiłłem i przekazał wojskom litewskim kontrolowaną wówczas przez siebie twierdzę w Dźwinoujściu. O swojej decyzji powiadomił szwedzkiego króla

DZIĘKI POZYCJI OJCA I WŁASNYM ZASŁUGOM WOLMAR STANĄŁ NA PROGU ŚCISŁEJ ELITY RZECZYPOSPOLITEJ

w niezwykle ciekawym liście napisanym 3 października 1617 r. Tłumaczył w nim, że dobro ojczyzny, za którą uważał całe Inflanty w granicach dawnego państwa kawalerów mieczowych, każe mu porzucić Szwedów, którzy przynieśli jego krajowi tyle „niedogodności", i powrócić do posłuszeństwa królowi polskiemu, jak nakazuje honor. Jak widać, inflancka tożsamość stanowiła dla niego ważny punkt odniesienia w politycznych manewrach.

Miłe złego początki, a koniec żałosny

Podwójna zdrada Farensbacha w 1617 r. znacznie skomplikowała jego sytuację. Mimo uzyskania oficjalnego wybaczenia króla i Rzeczypospolitej wpadł w poważne kłopoty, konfliktując się z Radziwiłłem, a także radą miejską Rygi i księciem kurlandzkim Fryderykiem. Został zmuszony do prowadzenia podjazdowych działań wojennych na wszystkich tych frontach. Choć trzymał się dzielnie i nawet dokonał zbrojnego zajazdu radziwiłłowskiej siedziby w Birżach, nie był w stanie dorównać siłą potężnym przeciwnikom. Dzięki interwencji Zygmunta III, który prawdopodobnie działał na prośbę swej ukochanej siostry Anny, której ulubioną dwórką była siostra Wolmara Magdalena, Farensbach zawarł ugodę z Radziwiłłami i księciem Fryderykiem za cenę ustąpienia swych dóbr w Inflantach i Kurlandii. Otrzymał możliwość zrehabilitowania się za dawne występki w służbie wojskowej na południowych granicach. Wziął udział w wyprawie cecorskiej Stanisława Żółkiewskiego (1620), w czasie której dzielnie walczył u boku hetmana i po klęsce dostał się do niewoli tureckiej.

W Stambule zaczął się ostatni okres życia Farensbacha. Wygnany ze swej inflanckiej ojczyzny imał się służby najemnego dyplomaty i żołnierza. Po wydostaniu się z tureckiej niewoli ofiarował swe usługi księciu siedmiogrodzkiemu Gaborowi Bethlenowi. Potem służył w wojskach cesarskich. Kilkakrotnie usiłował się dostać pod skrzydła Gustawa Adolfa, licząc być może na powrót do ojczyzny zajętej już wówczas (od 1621 r.) w większości przez Szwedów. W 1633 r., będąc z ramienia cesarza komendantem twierdzy Ingolstadt, wdał się w spisek mający na celu wydanie fortecy Szwedom. Jego knowania zostały odkryte i Wolmar został skazany na śmierć przez powieszenie. W drodze na kaźń rzucił się na swych konwojentów, wydarł któremuś z nich broń i walczył do ostatka, zabijając czterech strażników, zanim został rozsiekany przez pozostałych.

* * *

Losy dwóch pokoleń Farensbachów zatoczyły koło i kariera Wolmara zakończyła się tragicznie w punkcie, z którego startował niegdyś Jürgen, w roli żołnierza najemnika zmieniającego często protektorów. Inni członkowie rodziny dokonali odmiennych wyborów. Brat Wolmara Jan pogodził się z rozstaniem z Inflantami. Walczył w kampanii chocimskiej i w jej trakcie odznaczył się odwagą oraz żołnierską sprawnością. Zmarł w 1627 r., a jego synowie Gabriel i Rafał osiedli w południowo-wschodniej części Rzeczypospolitej. Jan, syn Gabriela i Kisielówny, bratanicy słynnego Adama, wojewody kijowskiego, porucznik wojsk koronnych, miecznik owrucki, a następnie kijowski był ostatnim z rodu w linii męskiej. Dzieje wywodzącego się z Westfalii inflanckiego rodu dobiegły kresu na naddnieprzańskich ziemiach Rzeczypospolitej. Decyzja Jürgena, który w interesie „małej ojczyzny" zdecydował się zostać obywatelem Rzeczypospolitej, przesądziła, że jego prawnuk zakończył życie między Rusinami w szlacheckim polskim kontuszu.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Król Zygmunt III Waza (1566–1632)

Krzysztof II Radziwiłł (1585–1640)

SPISEK ORLEAŃSKI

KAROL ŻOJDŹ

REALNY PLAN DETRONIZACJI ZYGMUNTA III WAZY CZY SONDAŻOWE DZIAŁANIA LITEWSKIEJ OPOZYCJI?

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że już początek rządów Zygmunta III, przynajmniej w pewnym stopniu, zaważył na relacjach pomiędzy królewskim dworem a całą birżańską linią Radziwiłłów. Co prawda Krzysztof Radziwiłł „Piorun", piastujący w 1587 r. urzędy wojewody wileńskiego i hetmana polnego litewskiego, w wyścigu po polską koronę bardziej sprzyjał Wazie niż Maksymilianowi Habsburgowi, to nie można o nim powiedzieć, by był orędownikiem szwedzkiej kandydatury. Ta miała bowiem w Wielkim Księstwie Litewskim bardziej zdecydowanych zwolenników. I choć Radziwiłł dość szybko uzyskał od młodego władcy buławę wielką litewską, to jego stosunki z tronem były dalekie od wzorowych. Rzutowało na nie kilka kwestii, takich jak spór o obsadę biskupstwa wileńskiego, asertywna polityka nominacyjna Zygmunta, dobre relacje wojewody wileńskiego z opozycją koronną czy obustronna nieufność, której źródeł można się doszukiwać w różnicach wyznaniowych, ponieważ Radziwiłłowie birżańscy byli ewangelikami reformowanymi, »

FOT. ARCHIWUM. LITHUANIAN ART MUSEUM. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» a król wspierał postępującą kontrreformację. Zasadniczo oś konfliktu miała jednak wymiar ambicjonalny. Chodziło o to, że dwór nie zamierzał się dzielić z „Piorunem" „fruktami władzy" ani zaspokajać urzędniczych ambicji jego synów – Janusza i Krzysztofa.

Zygmunt III a synowie „Pioruna"

Ostatecznie sukces osiągnął władca, jako że wraz ze śmiercią wojewody wileńskiego w listopadzie 1603 r. udało mu się załamać dominację Radziwiłłów birżańskich na Litwie. Konsekwencja, z jaką Waza realizował swoją linię polityczną, przyczyniła się do wywołania poczucia krzywdy u spadkobierców „Pioruna". Było to o tyle niebezpieczne, że książęta Janusz i Krzysztof II, już wkraczając do polityki, mieli zagwarantowane dziedziczne podstawy potęgi materialnej, tak ważne w działalności opozycyjnej.

Pierwszy uaktywnił się starszy z braci, podczaszy litewski Janusz Radziwiłł – jeden z liderów rokoszu sandomierskiego. Zdecydowanie ostrożniejszy był książę Krzysztof, który po latach spędzonych w „poczekalni", w 1615 r. otrzymał buławę polną litewską. Można by tę nominację traktować jako nagrodę i próbę ocieplenia przez króla swojego wizerunku w Szwecji, a przy okazji szansę na zjednanie młodszego z synów „Pioruna". Można by, gdyby nie pewna okoliczność. Otóż wiele przemawia za tym, że ta decyzja była wymierzona w hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, a dwór liczył na rozerwanie zarysowującego się sojuszu pomiędzy tym ostatnim a Radziwiłłami birżańskimi. Jeśli istotnie taki był plan, to trzeba przyznać, że się powiódł. Z kolei co do księcia Krzysztofa, to pomimo tego awansu w następnych latach jego relacje z dworem się pogarszały. Radziwiłł czuł się niedoceniony przez władcę. W zamian za swą „krwawą posługę" nie uzyskał upragnionego miejsca w senacie ani intratnych dzierżaw, jedyne, co mu powierzono, to dowództwo na drugoplanowym teatrze inflanckim, bez wystarczających sił na odparcie Gustawa Adolfa, ale za to z pełną odpowiedzialnością za wynik walk. Z perspektywy króla, który miał skłonność do lekceważenia Szwedów, to Radziwiłłowi brakowało talentu lub, co gorsza, chęci – za czym miałyby przemawiać względy konfesyjne. Z punktu widzenia hetmana walczyć byłoby jak i kim, ale nie było za co.

Początkowo książę uchodził za zwolennika siłowego rozstrzygnięcia konfliktu z północną sąsiadką. Wydaje się jednak, że mógł zmienić zdanie na przełomie 1621 i 1622 r. Natomiast podczas sejmu 1624 r. otwarcie wystąpił z „Dyskursem... o podniesieniu wojny inflanckiej", w którym najpierw wskazywał, jak pokonać Szwedów, aby na koniec przewrotnie stwierdzić, że zwycięstwo nie leży w interesie obywateli Rzeczypospolitej, ponieważ zagraża ich wolnościom. Dlatego proponował królowi zrzeczenie się praw do dziedzicznej korony w zamian za jakąś rekompensatę. Oczywiście dla Zygmunta III, od lat konsekwentnie dążącego do odzyskania władzy w Sztokholmie, była to propozycja nie do przyjęcia.

ZASADNICZA SŁABOŚĆ PRZECHWYCONEGO MATERIAŁU POLEGAŁA NA TYM, ŻE LISTY BYŁY PISANE DO RADZIWIŁŁA, A NIE PRZEZ NIEGO

Zaostrzenie podziałów na Litwie

Można się spierać, kto miał słuszność, nie ulega natomiast wątpliwości, że książę naraził się monarsze. Najdobitniej Zygmunt III dał temu wyraz w 1625 r. poprzez nominowanie na hetmaństwo wielkie litewskie Lwa Sapiehy, co stanowiło dla pominiętego hetmana polnego Krzysztofa II Radziwiłła olbrzymi dyshonor. Król oczywiście miał prawo do takiej decyzji. Broniła się pod względem finansowo-organizacyjnym, ale nie można powiedzieć tego samego o doświadczeniu wojennym nominata. Co nie oznacza, że sędziwy Lew Sapieha otoczony zdolnymi oficerami nie byłby w stanie sprawnie pełnić urzędu.

Radziwiłł potraktował decyzję króla osobiście, tym bardziej że wyniesiono dawnego klienta jego ojca. W efekcie tej nominacji litewska scena polityczna silnie się spolaryzowała, na co dodatkowo nałożył się konflikt o charakterze wyznaniowym, zważywszy na postępującą w tym czasie kontrreformację oraz znaczenie birżańskiej linii dla litewskiego protestantyzmu. Wiarygodności księcia nie pomogły także ponoszone porażki, a zwłaszcza zdobycie przez Szwedów jego rodowej twierdzy, Birż, które skapitulowały 5 września 1625 r.

Zawiązanie intrygi

Prawdopodobnie to przekazanie buławy wielkiej Sapieże skłoniło Radziwiłła do nieodpowiedzialnego zachowania, za jakie uznać należy zaangażowanie się w tzw. spisek orleański, którego celem miało być osadzenie na polskim tronie syna Henryka IV i Marii Medycejskiej, młodszego brata króla Francji Ludwika XIII, księcia Orleanu Gastona.

O ile sam pomysł na wybór katolickiego kandydata spoza dynastii Wazów nie wydaje się bardzo zaskakujący, zważywszy na pozycję poszczególnych wyznań w państwie polsko-litewskim, o tyle ciekawe jest postawienie akurat na opcję francuską. Już wraz z odsunięciem od rządów Marii Medycejskiej i jej faworyta Concino Conciniego (1617 r.) Francja dokonała zwrotu, odchodząc od polityki porozumienia z Habsburgami, ale dopiero w 1635 r. zdecydowała się na otwartą wojnę. Wcześniej podejmowała raczej próby utworzenia szerokiego frontu antyhabsburskiego, a swoją pomoc dla sojuszników opierała na subsydiach. Zresztą od stycznia 1625 do lutego 1626 r. Ludwik XIII i współpracujący z nim od niedawna, dopiero wypracowujący swoją pozycję, kardynał Richelieu, zajęci byli sprawami wewnętrznymi, a konkretnie kolejną odsłoną sporu z hugenotami. Dlatego zainstalowanie Gastona Orleańskiego nad Wisłą może i niosłoby z sobą jakieś korzyści, wątpliwe jest jednak, by polsko-litewska opozycja zdołała się porozumieć w tej sprawie z osobami decyzyjnymi. Tym bardziej że w tym czasie we Francji ścierały się różne koncepcje polityczne.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Tu nasuwa się także pytanie o zasięg kontaktów Krzysztofa II Radziwiłła. Jakiś krąg korespondencyjny z pewnością odziedziczył po starszym bracie, który poznał Francję podczas peregrynacji, a następnie wracał tam w trakcie przymusowej emigracji z Rzeczypospolitej, po fiasku rokoszu. Nieco świeższe znajomości zapewnić mogli krewni i klienci księcia, przebywający od początku lat 20. w Sedanie – ośrodku wiązanym z przeciwnikami Ludwika XIII. Jednym z nich był hugenota Jacques Roussel, niegdyś preceptor podopiecznych Radziwiłła, braci Pakoszów, który następnie skonfliktował się z dotychczasowym pryncypałem. Pośrednictwo Roussela z potencjalnymi sojusznikami księcia hetmana za granicą oraz jego udział w wypłynięciu całej sprawy pozostają do dziś niejasne. Lecz jeśli to jemu oraz banicie Krzysztofowi Arciszewskiemu Radziwiłł zamierzał powierzyć nawiązanie relacji z francuskim dworem, nie świadczyłoby to dobrze o międzynarodowych koneksjach księcia.

Nagłośnienie sprawy

O „praktykach" Radziwiłła wiadomo bardzo niewiele. Kiedy rozpoczęto rozmowy? W czyim imieniu i za czyim pośrednictwem je prowadzono? Na jakich warunkach Gaston miałby uzyskać wsparcie od polsko-litewskiej opozycji? Nie znamy odpowiedzi na te kluczowe pytania. Wiadomo natomiast, że w lipcu 1626 r. zatrzymano w Dunkierce wysłannika z zaszyfrowanymi dokumentami, powiązanymi następnie z Radziwiłłem i jego klientem – Krzysztofem Arciszewskim. Przejęcie materiałów było zasługą hiszpańskiego wywiadu, a odcyfrowaniem całości zajął się znany kryptograf, profesor Uniwersytetu w Lowanium, Eryk Puteanus. Przechwycony „tłumoczek" z dokumentami zawierał m.in. łacińską instrukcję, poruszającą temat wprowadzenia na polski tron Francuza oraz polski list, odnoszący się do planu porwania przebywających w Lowanium synów Lwa Sapiehy. Notabene, jeden z nich – Krzysztof Mikołaj pomagał Puteanusowi w przełożeniu polskiego listu.

Jeszcze w lipcu oryginały kompromitujących dokumentów wraz z ich tłumaczeniem zostały dostarczone do Brukseli na dwór namiestniczki Niderlandów Hiszpańskich, infantki Izabeli. W tym czasie stosunki Zygmunta III z Hiszpanią układały się dobrze, rozważano bowiem realizację bałtyckich planów Olivaresa, przewidujących współpracę z polskimi Wazami przeciwko Szwecji. Co prawda król otrzymał wspomniane materiały dopiero na jesieni 1626 r., ale nie był nimi zaskoczony, gdyż od końca 1625 r. docierały do niego ostrzeżenia przed spiskiem. Dodatkowo na niekorzyść Radziwiłła działało to, że przejęcie „szkatuły" Arciszewskiego zbiegło się w czasie z początkiem kampanii Gustawa Adolfa w Prusach.

Zasadnicza słabość dowodowa przechwyconego materiału polegała na tym, że listy były pisane do Radziwiłła, a nie przez niego. Brakowało również wyraźnego świadectwa, że łacińską instrukcję sporządził hetman polny litewski lub jego bliski współpracownik Piotr Kochlewski, wiązany z aferą.

Polityczne konsekwencje ujawnienia spisku

Najpewniej tzw. spisek orleański nie wykroczył poza przygotowanie gruntu pod rozmowy sondażowe. Z poszlakowych źródeł, którymi dysponujemy, wynika, że Radziwiłł nie myślał o detronizacji ani zamachu na życie króla, chodziło raczej o doczekanie do jego spodziewanej śmierci oraz wsparcie Francuza podczas elekcji. Również sam Waza nie traktował sprawy poważnie. W rozmowie ze starostą żmudzkim Jaroszem Wołłowiczem miał się nawet wyrazić, że listy zawierały „leda co". Trzeba natomiast przyznać, że Zygmunt III, jak na wytrawnego polityka przystało, nie przegapił okazji do zneutralizowania czołowego litewskiego opozycjonisty. Przechwycone w Dunkierce dokumenty nie zostały udostępnione szlacheckiej opinii publicznej, ale samą sprawę nagłośniono, puszczając w obieg różne, czasem sprzeczne informacje. Pozwalało to podgrzewać temat przez dłuższy czas, tym samym stawiając Radziwiłła w niewygodnej sytuacji. Pojawiały się nawet sugestie, że o jego przyszłości może zadecydować sąd sejmowy.

Od 1628 r. książę Krzysztof rozpoczął starania o przywrócenie do łask. Na dworze lobbowali za nim nie tylko radziwiłłowscy rezydenci i zaprzyjaźnieni senatorowie, ale także osoby z bliskiego otoczenia władcy, m.in. królowa Konstancja. Mimo to na sejmie 1629 r. nie osiągnął celu. Oficjalne przebaczenie uzyskał dopiero podczas publicznej audiencji, która odbyła się 5 kwietnia 1632 r., czyli niecały miesiąc przed śmiercią króla.

Gaston, książę Orleanu, młodszy brat króla Francji Ludwika XIII (1608–1660)

FOT. MUSÉE CONDÉ

eprasa.pl 88a0ab6d8b

FIŃSKI PIŁSUDSKI

POLSKA MIAŁA MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, FINLANDIA – MARSZAŁKA KAROLA MANNERHEIMA. ZESTAWIENIE TYCH OBU POSTACI WYGLĄDA SZCZEGÓLNIE CIEKAWIE

ERWIN JAN KOZŁOWSKI

W 1918 r. na mapie politycznej Europy pojawiły się państwa, które odzyskały niepodległość. Część z nich miała za sobą znacznie dłuższy okres „politycznego niebytu” niż Rzeczpospolita Polska. Każde z tych państw miało swojego bohatera, któremu w mniejszym lub większym stopniu przypisuje się decydujące zasługi w procesie wybijania się na niepodległość.

Finlandia od XII w. stanowiła część Szwecji, od 1809 r. zaś wchodziła w skład Imperium Rosyjskiego. Co my, Polacy, wiemy o kraju sauny, reniferów, skoczków narciarskich i św. Mikołaja z Rovaniemi? Z przyczyn geopolitycznych zaliczamy Finlandię do państw skandynawskich, chociaż dla samych Finów obrazą jest nazwanie ich Skandynawami. Pod względem etnograficznym mają świętą rację. Ich przodkowie nie należeli do plemion germańskich, a ich język zaliczamy do grupy języków ugrofińskich, tak jak język węgierski.

Wyjazd do Finlandii daje sposobność lepszego poznania tego kraju. Podróż zaczynamy od Helsinek i niestety często tylko na tym mieście poprzestajemy. Uczestnicząc w typowym objeździe turystycznym miasta, nie sposób nie znaleźć się na głównej ulicy noszącej imię marszałka Mannerheima i nie zauważyć przez okno jego konnego pomnika. Na pytanie, kim on był, przeważnie usłyszymy od lokalnego przewodnika, że to taki fiński Piłsudski.

Do bezpośredniego spotkania Józefa Piłsudskiego i Karola Mannerheima nigdy nie doszło, ale gdyby stali obok siebie, mogliby wyglądać tak jak tutaj

FOT. NAC (2X)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Podobni a różni

Gdy przyjrzymy się biografii Karola Gustawa Emila Mannerheima (1867–1951), zauważymy, że mimo wielu odmienności osiągnięcia tego fińskiego bohatera i naszego Naczelnika Państwa są zbieżne. Do Piłsudskiego zbliża go powszechna wśród Finów opinia, że był mężem opatrznościowym, który kilkakrotnie ratował Finlandię w okresach zagrożenia jej państwowości. W przeciwieństwie do naszego Marszałka był profesjonalnie wyszkolonym wojskowym (Piłsudski na tym polu był w dużym stopniu samoukiem), a na dodatek do aktywności politycznej został zmuszony bardziej przez okoliczności niż wrodzoną ambicję.

Polaka i Fina łączy ten sam rok urodzenia, obaj też pochodzili z rodzin szlacheckich. Ród naszego Marszałka to zasiedziała na Litwie polska szlachta, arystokratyczny ród Mannerheima miał korzenie szwedzko-holenderskie. Młodość ich obu przebiegała zgoła inaczej i nic nie wskazywało, że ich los może w przyszłości zbiec się we wspólnym punkcie – walce o suwerenny byt swoich ojczyzn. Postępowanie Piłsudskiego, który związał się z nurtem socjalistycznym, charakteryzowała antyrosyjska i rewolucyjna działalność. Podyktowane było to dążeniem do uzyskania niepodległości dla Polski, co uwidoczniło się w jego politycznej i legionowej aktywności u boku Państw Centralnych.

Mannerheim przeciwnie – był lojalnym poddanym cara Rosji, a swoją karierę związał ze służbą w carskiej armii. Dla Finów 1863 r., odmiennie niż dla Polaków, był rokiem przyznania im szerokiej autonomii w ramach imperium jako Wielkiemu Księstwu Finlandii. Ofiarodawcą był car Aleksander II, którego pomnik do dzisiaj zdobi pl. Senacki stolicy. Co ciekawe, dwudziestokilkuletni Karol Gustaw miał okazję dobrze poznać Polskę i Polaków, gdyż jako oficer został skierowany na służbę wojskową nad Wisłę. Najpierw w 1889 r. trafił do Kalisza, gdzie służył w szeregach Aleksandrowskiego Pułku Dragonów. Z pomocą rodziny po dwóch latach udało mu się wyrwać do Petersburga, następnie ochotniczo brał udział w wojnie z Japonią, a później odbył dyplomatyczno-wywiadowczą podróż po Azji. Ponownie zawitał na dłużej do „Priwislańskiego kraju" w latach 1909–1914, gdy dowodził pułkiem ułanów stacjonującym w dzisiejszym Mińsku Mazowieckim, a potem w Warszawie (dokładnie na terenie Łazienek Królewskich). Czy słyszał o rewolucyjnych antyrosyjskich poczynaniach Piłsudskiego, a następnie o jego działalności za austriacką granicą? Zapewne tak. Jednak nie mieli sposobności spotkać się ani wtedy, ani w czasie wojny. Co prawda w początkowym okresie światowego konfliktu Mannerheim walczył w Galicji, ale po przeciwnej stronie frontu.

Kontakty z Polakami

Wcześniej, w warszawskim okresie swojej służby, Mannerheim często obracał się zarówno wśród elit rosyjskich, jak i polskich. Jego narodowość oraz arystokratyczne pochodzenie ułatwiały częste kontakty z Polakami, tym bardziej że oprócz wizyt w teatrze był częstym gościem w Klubie Myśliwskim (ul. Kredytowa 7) z racji zamiłowania do polowań. Natomiast pasja do koni sprawiła, że często odwiedzał tor wyścigów konnych, najpierw na Polu Mokotowskim, następnie przy ul. Polnej, gdzie niedaleko mieszkał. Fascynację marszałka Finlandii końmi potwierdza pomnik w stolicy kraju. Podobnie ulubioną klacz naszego Naczelnika Kasztankę utrwalił w malarstwie Wojciech Kossak, jak również Jan Raszka, autor projektu pomnika Piłsudskiego w Lublinie.

Kontakty carskiego oficera z polskim środowiskiem sprawiły, że Fin, chociaż był wiernym poddanym rosyjskiego imperium, znał nastawienie Polaków do zaborcy i szanował polskie aspiracje. Były to czasy panowania Mikołaja II, kiedy nasilały się tendencje do ograniczenia fińskiej autonomii, co z pewnością bolało Mannerheima i pozwalało mu lepiej zrozumieć Polaków.

KONTAKTY Z POLSKIM ŚRODOWISKIEM SPRAWIŁY, ŻE FIN, CHOCIAŻ BYŁ WIERNYM PODDANYM CARA, ZNAŁ NASTAWIENIE POLAKÓW DO ZABORCY I SZANOWAŁ POLSKIE ASPIRACJE

Wojna i niepodległość

I wojna światowa wywróciła do góry nogami jego dotychczasowe życie. Po upadku carskiej Rosji powrócił do ojczyzny, która niepodległość ogłosiła już 4 grudnia 1917 r. Z racji swojego doświadczenia wojskowego został wyznaczony na naczelnego dowódcę rządowych wojsk fińskich. Stojąc na czele sił „białych", walnie przyczynił się do pokonania w wojnie domowej (1917–1918) fińskich komunistów. Obronił niepodległość Finlandii, uniemożliwiając jej ponowne wchłonięcie przez sąsiada, tym razem przez „czerwoną" Rosję. Nasuwa to analogię do sytuacji Polski w 1920 r. Mannerheim był zdeklarowanym wrogiem komunizmu i akceptował powstałe na terenie Finlandii obozy koncentracyjne, gdzie zostali uwięzieni zwolennicy sowieckiego porządku. Więzienia te zyskały złą sławę, gdyż z racji surowych warunków stały się miejscem kaźni dla fińskich komunistów (np. twierdza Suomenilinna pod Helsinkami).

Za uratowanie suwerenności państwa Mannerheim został w uznaniu zasług wybrany na regenta. Jako głowa państwa wyruszył w 1919 r. w podróż dyplomatyczną po Europie i znalazł się w Warszawie. Tutaj nie tylko odwiedził dawnych znajomych, ale przede wszystkim spotkał się wreszcie i prowadził rozmowy na najwyższym szczeblu z Piłsudskim. W swoich pamiętnikach fiński regent bardzo pozytywnie ocenił polskiego przywódcę, z którym znalazł wspólny punkt widzenia w kwestii rosyjskiej.

Pomimo swojego autorytetu po powrocie do kraju Mannerheim przegrał wybory na prezydenta Finlandii. Zrezygnował więc z angażowania się w politykę i skupił się na tej dziedzinie, którą znał najlepiej. Jako przewodniczący »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» Rady Obrony Państwa zreorganizował armię i doprowadził do budowy pasma umocnień na Przesmyku Karelskim, nazwanego linią Mannerheima. Nie trzeba chyba wyjaśniać, przed kim te umocnienia miały zabezpieczać Finlandię. Fatum groźnego sąsiedztwa od Wschodu sprawiło, że przyszły marszałek miał ponownie odegrać rolę obrońcy narodu w końcu lat 30., wtedy kiedy Józef Piłsudski już nie żył.

II wojna i polityka

Układ Ribbentrop–Mołotow podyktował konsekwencje zarówno dla Polski, jak i dla Finlandii. W 1939 r. żądania terytorialne kierowane z Moskwy doprowadziły do wybuchu „wojny zimowej", która trwała 105 dni – od grudnia 1939 do marca 1940 r. Opór, jaki najeźdźcom stawiała dzielna armia fińska, zadziwił ówczesną Europę. Mimo ostatecznej przegranej i utraty dużej części terytorium były to dni największej chwały Karola Gustawa Mannerheima.

Umożliwiło mu to powrót do polityki i przejęcie steru spraw państwa. Wobec dalszego zagrożenia ze strony ZSRS doprowadził do sojuszu z Niemcami. Nie był jednak potulnym realizatorem planów Hitlera. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej sprzeciwił się wykorzystaniu fińskich jednostek zarówno w oblężeniu Leningradu, jak i w atakach na kolej murmańską. Dzięki temu, gdy koleje wojny obróciły się na niekorzyść III Rzeszy, udało mu się korzystnie przeprowadzić Finlandię do końca wojny. Gdy został wybrany na prezydenta (4 sierpnia 1944 r.), odrzucił linię polityczną swojego poprzednika i we wrześniu zawarł zawieszenie broni z ZSRS. Następnie skierował wojska fińskie do walki z Niemcami.

Ten manewr polityczny sprawił, że Finlandia, chociaż uznawana za jedno z państw Osi, nie była okupowana przez wojska alianckie. Co prawda Mannerheim musiał ustąpić wobec dyktatu sowieckiego, który ponownie wprowadzał korektę granicy, likwidację potencjału militarnego (np. zniszczenie wszystkich łodzi podwodnych) oraz wypłatę reparacji. Te ostatnie trafiły także do Polski w postaci dostawy drewna pod postacią fińskich domków stawianych na osiedlach dla robotników odbudowujących chociażby zrujnowaną Warszawę czy Gdańsk.

Adolf Hitler podczas powitania na stacji kolejowej w imieniu narodu niemieckiego składa życzenia fińskiemu marszałkowi Karolowi Mannerheimowi z okazji 75. rocznicy urodzin, czerwiec 1942 r.

Powojenne boje

W ojczyźnie działalność Mannerheima spotkała się zarówno z poparciem, jak i krytyką. Podyktowane było to ciężkimi doświadczeniami, jakie dotknęły Finlandię. Północna część kraju została zdewastowana przez wycofujące się wojska hitlerowskie. Cała zaś administracja państwowa musiała się uporać ze zmasowanym napływem i relokacją uchodźców z terenów zajętych przez Sowietów. Te doświadczenia Finów były zbliżone do doświadczeń polskich, z tą istotną różnicą, że Finlandia utrzymała suwerenność. Co prawda przez okres zimnej wojny pozostawała ciągle zagrożona przez wielkiego czerwonego brata, co dyktowało politykę wyważonych ustępstw wobec ZSRS, aż do konferencji KBWE w Helsinkach.

Tymczasem w 1944 i 1945 r. Karol Gustaw Mannerheim, stojąc na czele państwa, u szczytu swojej politycznej kariery, często podkreślał, że jest prezydentem tylko po to, by wyprowadzić Finlandię z wojny i ochronić swoich wojskowych podwładnych. Zadanie to wykonał i gdy uznał w 1946 r., że wypełnił swój obowiązek, ustąpił ze stanowiska. Miał 79 lat i był schorowany. Nie chciał akceptować udziału komunistów w rządzie Finlandii i nie zgadzał się z pociągnięciem do odpowiedzialności sądowej swojego poprzednika za współpracę z III Rzeszą. Na znak protestu po rezygnacji z urzędu udał się na dobrowolną emigrację do Szwajcarii, gdzie spędził ostatnie pięć lat życia.

Patrząc na życiorys tego fińskiego męża stanu po 1935 r., możemy zapytać: czy losy Polski potoczyłyby się inaczej, gdyby Piłsudski żył tak długo jak jego rówieśnik? Czy Polska przeszłaby podobną drogę jak Finlandia? Może i tak, ale historia nie może być nauką, która kreuje alternatywny bieg dziejów. Historia opiera się na faktach i tylko wizjonerzy lubią snuć alternatywne wersje historiografii, często pozbawione zdrowego rozsądku, czym wprowadzają zamęt i szkodzą przekazowi historycznemu.

Polskie losy potoczyły się odmiennie. Finlandia, stąpając po politycznym kruchym lodzie, zdołała uchronić się przed zniewoleniem przez Związek Sowiecki, czego nie udało się Polsce. W dużym stopniu zawdzięczała to wojskowemu i politycznemu geniuszowi, jaki wykazał marszałek Mannerheim.

Jego pogrzeb w 1951 r. stał się wielką manifestacją jedności fińskiego społeczeństwa, które mimo wszelkich kontrowersji zalicza go do panteonu swoich bohaterów narodowych, tak jak my zaliczamy Józefa Piłsudskiego.

FOT. NAC

eprasa.pl 88a0ab6d8b

JÓZEF HIERONIM RETINGER

I KONIEC EUROPY NARODÓW

BYŁ WAŻNYM ORĘDOWNIKIEM KONCEPCJI FEDERACYJNEJ EUROPY, ODZNACZAŁ SIĘ OD NAJMŁODSZYCH LAT NIEZWYKŁYMI, WSZECHSTRONNYMI TALENTAMI

MACIEJ GLOGER

W tym roku wyszła nad Sekwaną ważna książka Philippe'a de Villiersa „Pociągnąłem za nić kłamstwa i wszystko wyszło na jaw" („J'ai tiré sur le fil du mensonge et tout est venu", oficyna Fayard), w której autor dowodzi, m.in. na podstawie niedawno odtajnionych archiwów, że projekt Unii Europejskiej jest zamysłem amerykańskiego lobby politycznego i gospodarczego oraz dziełem pohitlerowskich, kolaboracyjnych elit, m.in. Roberta Schumana, który już od 1912 r. był zorientowany proniemiecko i wspierał w czasie II wojny światowej rządy marszałka Pétaina. Autor dowodzi, że u podłoża idei Unii Europejskiej leży dążenie do zlikwidowania w Europie państw narodowych i zastąpienie ich nieposiadającym politycznej podmiotowości ani demokratycznej legitymacji zrzeszeniem zarządzanym przez skrytą w cieniu elitę. Ów rząd światowy zaczął się organizować w sposób tajny wokół Grupy Bilderberg założonej w 1954 r. Taki quasi-polityczny twór miał być uległy wobec ideologicznych celów oraz ekonomicznych i politycznych interesów amerykańskich, a także europejskich oligarchów. Publikacja de Villiersa stała się szybko niezwykle głośna. Stanowi spore wyzwania dla prounioeuropejskich elit politycznych, została bowiem napisana przez poważnego polityka i jest oparta na twardych podstawach faktograficznych.

Na początku był Polak

Jednak dla każdego, kto zna biografię polskiego polityka Józefa Hieronima Retingera (1888–1960) – założyciela Grupy Bilderberg, jednego z najważniejszych, obok komunisty Altiero Spinellego, ojców UE, tezy zawarte w publikacji nie są żadną nowością ani sensacją. Zyskują tylko kolejne, solidne potwierdzenie. Notabene w polskich dyskusjach przedakcesyjnych nazwiska Retingera i Spinellego zostały niemal całkowicie zmilczane, co pokazuje, że było wiele manipulacji w informowaniu o istotnych celach Unii, które obecnie stają się coraz bardziej jawne i prowadzą do pozbawionego demokratycznej legitymizacji superpaństwa sprawującego wszechogarniającą kontrolę i cenzurę nad każdym przejawem życia jego mieszkańców.

Idea stworzenia rządu światowego ma oczywiście korzenie o wiele starsze, jest wpisana w dążenia zakładanych w XVIII w. tajnych stowarzyszeń: wolnomularstwa oraz iluminatów, przenika ideologię francuskiego oświecenia. W XIX w. stanowi nieskrywany cel filozofii pozytywistycznej. Jej twórca August Comte (1798–1857), uczeń

Brytyjska misja wojskowa w Coëtquidan. Z prawej Józef Retinger, 1940 r.

protokomunisty Henriego Saint-Simona, stworzył w swych późnych dziełach szczegółowy projekt religii ludzkości – wielkiego bytu, którego kult chciał zaprowadzić odgórnie, by zorganizować na nowo od podstaw cały ludzki świat. Projekt ten miał już charakter protototalitarny, bo zakładał, że władzę będzie sprawowała wąska elita naukowców i filozofów, której podporządkowane masy będą oddawały kult niemal boski. Podobną wizję rozsnuwał w swych dramatach i pismach filozoficznych inny scjentysta i mason Ernest Renan (1823–1892). W XX w. wielkim kontynuatorem tej koncepcji był logik i matematyk Bertrand Russell (1872–1970), zarazem mason wysokiego stopnia wtajemniczenia. Wszystko też wskazuje na to, że masonem wysokiego stopnia wtajemniczenia był Retinger. »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

» Na początku lat 20. XX w. Aristide Braind i Richard Caudenhove-Kalergi wysuwają koncepcję stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy z partnerstwem niemiecko-francuskim mającym tworzyć jej serce. Caudenhove-Calergi był także autorem projektu wymieszania ras ludzkich celem stworzenia jednolitego rasowo i mentalnie społeczeństwa i zatem likwidacji tożsamości narodowych. Nie ma większych wątpliwości, że ten plan stoi u podstaw polityki emigracyjnej realizowanej obecnie przez Angelę Merkel i elity UE.

Działania na rzecz stworzenia rządu europejskiego, a następnie światowego zostały zintensyfikowane i zyskały poważnych politycznych zwolenników po hekatombie I wojny światowej, kiedy coraz wyraźniej zaczynają konkurować z sobą dwie koncepcje nowej Europy: narodowa i federacyjna. Do idei Stanów Zjednoczonych Europy powraca Winston Churchill w 1946 r. w swym przemówieniu wygłoszonym na uniwersytecie w Zurychu.

August Comte (1798–1857)

Aristide Briand (1862–1932)

Richard Coudenhove-Kalergi (1894-1972)

FOT. NAC (2X); ARCHIWUM

Europa bez wyrazu

Ważnym orędownikiem koncepcji federacyjnej stał się szybko, odznaczający się od najmłodszych lat niezwykłymi, wszechstronnymi talentami, Józef Hieronim Retinger, który uczestniczył we wszystkich tych procesach, odgrywając w nich niebagatelną rolę.

Przybył on do Paryża w 1906 r. jako protegowany hrabiego Władysława Zamoyskiego, wielkiego zwolennika pracy organicznej i patrioty. Pomogło mu także pokrewieństwo z Misią Godebską, która prowadziła wtedy najważniejszy salon artystyczny Paryża. W 1908 r. uzyskał doktorat na Sorbonie w zakresie nauk o literaturze. Nawiązał już wtedy liczne kontakty towarzyskie wśród osób wpływowych i wysoko postawionych. Następnie wrócił do Krakowa, gdzie realizował swoje artystowskie ambicje, wydając pismo literackie. W 1912 r. na zlecenie Zamoyskiego przybywa do Londynu, aby prowadzić Biuro Opieki nad Polskimi Robotnikami. Biuro zaczęło wkrótce także działalność polityczną. Około 1913 r. Retinger wydał broszurę informacyjną na temat Polski. Wskazywało to, że mógł być już wówczas pośrednikiem jednej z lóż masońskich, które zawiązywały się na polskim gruncie na fali liberalizacji polityki rosyjskiej po rewolucji 1905 r. Wolnomularze za pośrednictwem kontaktów z lożami francuskimi umożliwiali polskim działaczom narodowym dostęp do najwyższych władz państwowych, francuskich i angielskich. W Anglii polscy masoni dotarli np. bezpośrednio do ministra spraw zagranicznych Edwarda Greya. Jeden z członków loży Maksymilian Malinowski relacjonował, że w 1914 r. nawet Roman Dmowski nie posiadał kontaktów w tak wysokich sferach. Grey zalecił, aby o sprawie polskiej informować angielską opinię publiczną i zyskiwać jej sympatię poprzez wydawanie różnych publikacji na tematy polskie. Nie jest więc wykluczone, że takie akcje wolnomularze przeprowadzali już wcześniej, a Retinger został wyznaczony do zjednania do sprawy polskiej także Josepha Conrada, który w owym czasie bardzo rzadko kontaktował się z Polakami. Tu rzeczywiście osiągnął sukces, sprowadzając pisarza do Polski. Skłonił go także do napisania ważnych not i artykułów w sprawie polskiej. Conrad jednak stopniowo dystansował się od Retingera.

Autor „Lorda Jima" podzielał bowiem stanowisko wielkiego historiozofa Feliksa Koneczngo, który w swej kluczowej rozprawie „O wielości cywilizacji" (1935) podkreślał: „Kto myśli o zrzeszeniu ponadnarodowym, ten zmierza ku zniesieniu narodowości, a tym samym ku zniesieniu cywilizacji łacińskiej". A w ten sposób przygotowuje powstanie kolejnego totalitaryzmu. Conrad na równi z Konecznym dostrzegał liczne podobieństwa między cywilizacją rosyjsko-bizantyńską i prusko-niemiecką. Co więcej, obaj humaniści właśnie w tych formacjach kulturowych dostrzegali proroczo korzenie totalitaryzmu faszystowskiego i komunistycznego. Pisarz był orędownikiem odrodzenia Polski jako siły krzewiącej ideały cywilizacji łacińskiej między naporem dwóch wielkich barbarii: pruskiej i rosyjskiej. Dlatego Conrad zarazem zwalczał wszelkie ideologie, socjalistyczne oraz internacjonalistyczne, głoszące ideę – jak to ujmuje znawca jego twórczości Zdzisław Najder – „międzynarodowego braterstwa" i dążące do „roztopienia w bezosobowej masie narodowych indywidualności". W „Zbrodni rozbiorów" pisarz zauważał: „Ścieżki internacjonalistów są może mroczne, ale nie niezbadane". Conrad jako pierwszy dostrzegł istotne, antyłacińskie i w gruncie rzeczy antyeuropejskie podłoże poglądów i dążeń Retingera.

Idea stworzenia światowego rządu gwarantującego pokój i ustanawiającego nowy porządek polityczny zrodziła się w umyśle Retingera już w 1916 r. Stało się to pod wpływem znajomości z angielskim arystokratą Arturem Capelem, który poświęcił takiemu projektowi dwie publikacje, a jego koncepcje zainteresowały wielkich tego

eprasa.pl 88a0ab6d8b

świata: Clemenceau, Brainda, Wilsona. Retinger poświęcił się od tego momentu zadaniu popularyzacji projektu Capela.

Szara eminencja

W 1918 r. Retinger z racji kontrowersyjnych poglądów dotyczących organizowania armii polskiej we Francji (tzw. błękitnej armii gen. Hallera), które można ocenić także jako pacyfistyczną obstrukcję, stracił nieoczekiwanie swą silną pozycję we Francji i został z tego kraju wydalony, trafiając na tułaczkę po Hiszpanii i Ameryce. (Warto zauważyć, że Francja wtedy była największym sprzymierzeńcem Polski). W tym samym roku poznał na statku, którym podróżował (rzekomo przypadkowo), Luisa Napoleona Moronesa, jednego z czołowych polityków meksykańskich, przyszłego ministra przemysłu i handlu, zostając na długie lata jego doradcą i wy-

Bertrand Russell (1872–1970)

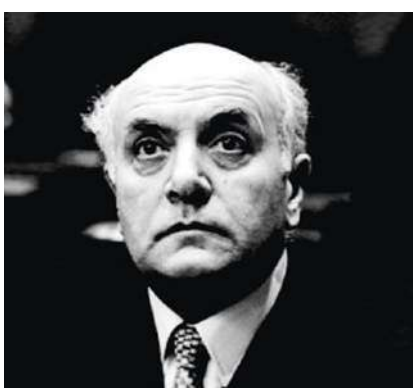

Altiero Spinelli (1907–1986)

wierając duży wpływ na życie społeczno-polityczne Meksyku. Przez długie lata wspierał więc lewicowo-masońskie rządy Meksyku. Rządy te upamiętniły się prześladowaniem chrześcijan dorównującym prześladowaniom sowieckim, co doprowadziło do wybuchu powstania w obronie religii: słynnej Cristady (1926–1929). Retinger twierdził, że nie miał nic wspólnego z tymi działaniami meksykańskiego rządu, ale niewątpliwie musiał je przynajmniej biernie akceptować. Po przystąpieniu Retingera do meksykańskiego rządu Conrad zerwał z nim stosunki.

Po poluzowaniu relacji z meksykańskim rządem Retinger włącza się w działalność sił opozycyjnych wobec sanacyjnego rządu, wspierając powstanie Frontu Morges w 1936 r. pod patronatem Władysława Sikorskiego i Ignacego Paderewskiego. Stąd potem tak silna pozycja Retingera w emigracyjnym rządzie Sikorskiego. Można zauważyć, że Retinger w tym rządzie był szarą eminencją posiadającą niejasne kompetencje i czasem większe wpływy niż sam premier, czego gorzką świadomość miał sam Sikorski, wypowiadający wobec różnych osób krytyczne i ostrzegawcze sądy na temat swego doradcy, określając go w pewnym momencie słynnym przydomkiem „kuzynek diabła".

W czasie II wojny światowej i obecności w rządzie Sikorskiego kontynuował swoją integracyjną działalność, pracując nad koncepcją federacji polsko-czechosłowackiej, następnie rozważał koncepcję unii środkowoeuropejskiej obejmującej Litwę, Węgry, Rumunię i ewentualnie przyszłą niepodległą Ukrainę. Działania te nie pozostały bez efektu. 11 listopada 1940 r. ogłoszono Deklarację polsko-czechosłowacką, a w roku następnym Zasady aktu konstytucyjnego Polski i Czechosłowacji. Dalsze działania w tym kierunku zahamowały atak Niemiec na Związek Sowiecki, ujawnienie zbrodni katyńskiej i późniejsze roszczenia Stalina do monopolu na porządkowanie spraw Europy Środkowo-Wschodniej.

Działania Retingera i innych szarych eminencji na rzecz zjednoczenia Europy nie byłyby rzeczą naganną, gdyby odbywały się w pełni jawnie i za wolą narodów oraz uwzględniały i próbowały zrekompensować hańbę układu jałtańskiego. Jednak dążenia te odbywały się w dużej mierze metodą spiskową, a jej apogeum stało się powołanie Grupy Bilderberg w 1954 r., której niepokojące istnienie dla opinii publicznej stało się widoczne tak naprawdę od lat 90. XX w. za sprawą takich dziennikarzy śledczych jak Alex Jones. Grupa ma charakter transatlantycki, w jej obradach uczestniczą czołowe osobistości polityki, służb specjalnych, biznesu z obu stron oceanu. Jest to więc jakby skryty w cieniu przyszły rząd światowy.

Z archiwum londyńskiego Retingera możemy się dowiedzieć, że pierwszymi polskimi delegatami protegowanymi (ich obecność nie jest bowiem pewna z uwagi choćby na bariery paszportowo-wizowe) na obrady grupy w 1957 r. byli: Antoni Słonimski, Jerzy Turowicz, wydawca tygodnika „Po Prostu" Eligiusz Lasota oraz profesor Politechniki Warszawskiej Janusz Groszkowski. Ten ostatni został później w PRL posłem na Sejm, był wiceprzewodniczącym Rady Państwa i prezesem PAN. W czasie wojny zasłużył się dla wywiadu brytyjskiego zdobyciem fragmentów pocisków V-1 i V-2 oraz wartościowymi badaniami nad hitlerowską Wunderwaffe. Nietrudno zauważyć, że polscy delegaci idealnie godzili w swym życiu postawy ugodowe wobec reżimu komunistycznego z łagodną postawą opozycyjną i byli później ważnymi mentorami architektów okrągłego stołu i twórców mediów III RP, z „Gazetą Wyborczą" i „Tygodnikiem Powszechnym" na czele, w których pedagogika wstydu wobec tradycji narodowych i ojkofobia są wątkami niebagatelnymi i wciąż narastającymi.

Karty odkryte

W listopadzie 2018 r. podczas konferencji zorganizowanej w Berlinie przez Fundację Konrada Adenauera „Parlamentaryzm między globalizacją a narodową suwerennością" Angela Merkel wreszcie otwarcie ogłosiła, że państwa narodowe muszą być gotowe na oddanie swojej suwerenności na rzecz rządu federalnego. Mądrość etapu, nakazująca skrywać prawdziwy cel UE, nie jest już niezbędna; widać, że przygotowania do likwidacji narodów europejskich znalazły się na tym stopniu zaawansowania, że zwolennicy tej operacji poczuli się wreszcie pewniej, a Retinger może raczej spokojnie spoczywać w grobie. Cała nadzieja w tym, że na skutek takiej szaleńczej inżynierii społecznej i ekonomicznej nastąpi przebudzenie i nowa wiosna narodów, do czego książka de Villiersa może być iskrą. ■

Artykuł oparty jest w dużej mierze na monografii Bogdana Podgórskiego „Józef Retinger prywatny polityk" (Kraków, Universitas 2013)

eprasa.pl 88a0ab6d8b

JESZCZE W 2014 r. BYŁEM PRZEKONANY, ŻE ANTONI DOŁĘGA, STARSZY BRAT MOJEJ BABCI IRENY, ZGINĄŁ W LATACH 50. XX w., MIMO ŻE SB ORAZ MILICJA POSZUKIWAŁY WUJA I INWIGILOWAŁY JEGO RODZINĘ JESZCZE DUŻO DŁUŻEJ

OSTATNI Z WYKLĘTYCH

RONALD WERELICH

Ze względu na to, że po raz ostatni kontaktował się z moją babcią w 1947 r. w Świdwinie, a później słuch po nim zaginął, wierzyliśmy, a właściwie babcia, że musiał zginąć w latach 50., bo nie utrzymywał z nią kontaktu. Ostatnia informacja o bracie pochodziła od byłych sąsiadów z Łukowa, udzielających w tym czasie schronienia Antoniemu, i dotarła wraz z tymi sąsiadami do Białogardu kilka dobrych lat po ostatnim spotkaniu w Świdwinie. Babcia zmarła kilkadziesiąt lat później w 2008 r., przekonana, że brat nie żył od wielu, wielu lat. W takim przekonaniu wzrastaliśmy wszyscy w rodzinie.

W 2014 r. wpadł mi jednak w ręce krótki artykuł Jarosława Kopińskiego „Działalność grupy Romana Dawickiego »Lonta« i Antoniego Dołęgi »Znicza«”, który był dla naszej rodziny początkiem zmiany spojrzenia na historię wuja, dla mnie zaś początkiem najbardziej fascynującej podróży w głąb historii rodziny i historii w ogóle. Kopiński na podstawie materiałów archiwalnych uznał, że Antoni Dołęga po 1956 r. nie się ujawnił, wyjechał na Ziemie Odzyskane, gdzie żył i zmarł pod przybranym nazwiskiem do początku lat 90. Ja z kolei uznałem, że to nie mogło się wydarzyć. Gdyby wyjechał i żył incognito, nic nie stałoby na przeszkodzie w kontaktach z rodziną, która zaraz po wojnie opuściła Łuków i zamieszkała początkowo pod Świdwinem, a ostatecznie w Białogardzie w byłym woj. koszalińskim. Uznałem jednocześnie, że jest punkt zaczepienia, że jest szansa dokończyć to, co zaczął mój ojciec w latach 70. – odnaleźć grób wuja, gdyż w owym artykule pojawiły się konkretne informacje, nazwiska i miejsca, w których Antoni Dołęga przebywał przed 1956 r. W taki sposób, po ponad roku poszukiwania odpowiednich kontaktów w Łukowie i okolicach, późną zimą 2015 r. pojechałem do Tadeusza Brzozowskiego, mieszkańca Trzebieszowa, syna żołnierza AK por. Wieńczysława Brzozowskiego ps. Szary, dzięki któremu poznałem Jerzego Płudowskiego, syna żołnierza AK por. Zygmunta Płudowskiego ps. Jarząbek.

Fascynujące odkrycie

Obaj znali mojego wuja, ich rodzice udzielali mu schronienia jeszcze w latach 70., a później na przełomie stuleci, dochodząc już swoich dni, poszukiwali miejsca jego spoczynku. Do naszej grupy dołączyli: Daniel Jasiński, wnuk jednego z ostatnich żołnierzy Antoniego Dołęgi – Józefa Jasińskiego „Pana Polskiego”, Jacek Adamiec, specjalista badań geofizycznych, oraz z czasem Dariusz Mościcki i poświęciliśmy kolejne półtora roku na odnalezienie konspiracyjnego grobu mojego wuja. Jednocześnie na podstawie dokumentów zgromadzonych w archiwach, pracy Jarosława Kopińskiego, kilku dosłownie wzmianek w literaturze oraz przede wszystkim wywiadów przeprowadzonych z kilkudziesięcioma świadkami, postanowiłem uporządkować informacje o ostatnim żołnierzu II Rzeczypospolitej.

Antoni Dołęga ps. Kulawy Antek, Znicz, Pijak, Mały Franio, urodził się 1 maja 1915 r. w Farfaku k. Łukowa (obecnie Łuków) jako syn Jana i Władysławy z domu Cisiak. Ukończył szkołę podoficerską przy 84. pułku piechoty w Pińsku w 1938 r. W stopniu kaprala uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. W lutym 1941 r. ożenił się ze Stanisławą Izdebską. Następnie walczył w konspiracji antyniemieckiej od 1942 r., o czym wspomina w swoim życiorysie z ujawnienia w 1947 r. Gdy przeszedł front, 11 września 1944 r. został wcielony do 17. pułku piechoty w II Armii Ludowego Wojska Polskiego. W LWP Antoni Dołęga był dowódcą plutonu kompanii fizylierów i uczestniczył w walkach do 6 maja 1945 r., kiedy wraz z grupą sześciu podkomendnych zdezerterował i przedostał się do Łukowa. Tam nawiązał kontakt z oddziałem Henryka Korzeniowskiego „Wrony”, oraz z por. Józefem Matuszem

FOT. DAWID FLORCZAK/IPN LUBLIN; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ps. Lont – gdyż tak właściwie nazywał się pierwszy dowódca oddziału WiN (a nie Roman Dawicki). W 1946 r. na rozkaz kpt. Stefana Lemieszka, komendanta organizacji Wolność i Niepodległość obwodu Łuków, „Lont" stworzył oddział zbrojny liczący 18 osób, który funkcjonował początkowo w ramach struktur terenowych WiN przejętych po Armii Krajowej. Antoni Dołęga był instruktorem wyszkolenia polityczno-bojowego w II Rejonie Obwodu Łuków. W 1947 r. na rozkaz swojego dowódcy ujawnił się i wyjechał w Koszalińskie, gdzie po raz ostatni skontaktował się z siostrą Ireną w Świdwinie. Po krótkim pobycie na Pomorzu, czując na plecach oddech UB, powrócił do Łukowa i ponownie związał się z „Lontem", który po nieudanej próbie ucieczki na Zachód odtwarzał struktury konspiracyjne. W grudniu 1951 r. w wyniku choroby zmarł por. Józef Matusz „Lont", a dowodzenie oddziałem powierzył Antoniemu Dołędze ps. Kulawy Antek. Oddział się powiększył i liczył wówczas 19 osób.

Do grupy „Kulawego Antka" należeli:

- **Buczyński Leopold** – żołnierz patrolu Teodora Szabelskiego „Tygrysa" z oddziału Antoniego Dołęgi „Kulawego Antka", aresztowany 18 grudnia 1954 r. na terenie pow. Łuków;
- Ciołek Bolesław – bliski współpracownik „Lonta", następnie związany z Antonim Dołęgą;
- **Dężuch Julian** – żołnierz „Lonta", a następnie „Kulawego Antka";
- **Jasiński Józef** – „Pan Polski", „Junak z Łęcznowoli", w czasie okupacji niemieckiej żołnierz NSZ, następnie w oddziale „Wrony", później w oddziale „Kulawego Antka", ujawnił się w 1955 r.;
- **Kędra Edward** – aresztowany w 1955 r.;
- **Kołodziejczuk Stanisław** – aresztowany w 1955 r., opuścił więzienie w 1962 r.;
- **Mościcki Edward „Rekin", „Tadek"** – poległ w walce z zasadzką KBW – UB w kol. Bystrzyca, pow. Radzyń Podlaski, 23 maja 1954 r. w wyniku zdrady agenta UB Bolesława Wierzchowskiego ps. Jankowski;
- **Palica Bolesław** – żołnierz „Lonta", a następnie „Kulawego Antka";
- **Przeździak Tadeusz „Blicharz"** – poległ w walce z KBW 28 października 1954 r.;
- **Rudnicki Czesław „Kat"** – ranny w walce z grupą operacyjną KBW – UB we wrześniu 1952 r. w kol. Czereśl, pow. Łuków został aresztowany;
- **Sadowski Jan „Iwan", „Wacek"** – aresztowany 28 października 1954 r. we wsi Gołąbki, pow. Łuków;
- **Sawicki Roman „Cichy"** – poległ w walce z zasadzką KBW – UB w kol. Bystrzyca, pow. Radzyń Podlaski, 23 maja 1954 r. w wyniku zdrady agenta UB ps. Jankowski Bolesława Wierzchowskiego;
- **Skwara Wacław „Wilk"** – poległ w walce z zasadzką KBW – UB w kol. Bystrzyca, pow. Radzyń Podlaski, 23 maja 1954 r. w wyniku zdrady agenta UB Bolesława Wierzchowskiego ps. Jankowski; Stańczak Edward – poległ w walce z KBW prawdopodobnie w grudniu 1954 r.;
- **Szabelski Teodor „Tygrys"** – dowódca patrolu w oddziale Antoniego Dołęgi „Kulawego Antka". Aresztowany 18 grudnia 1954 r. na terenie pow. Łuków;
- **Szczygielski Ferdynand** – do 1952 r. ukrywał się na Lubelszczyźnie, żołnierz „Lonta", a następnie „Kulawego Antka"; Zalewski Tytus – ukrywał się samodzielnie do 1954 r. we wsi Gołąbki, pow. Łuków;
- **Żurawski Gerard** – aresztowany w marcu 1954 r. na terenie woj. warszawskiego.

Grupa intensywnie działała, przeprowadzając akcje zbrojne i likwidując agentów UB. Na uwagę zasługuje bardzo dobrze rozwinięta siatka terenowa będąca silnym wsparciem dla patroli, które dzięki niej, mimo licznych obław, trwały do końca 1955 r. Prawdopodobnie była to ta sama siatka licząca 200 osób, o której wspominają Kazimierz Krajewski oraz Tomasz Łabuszewski („Mazowsze i Podlasie w ogniu 1944–1956", IPN, RYTM, str. 215), służąca oddziałowi Henryka Korzeniowskiego „Wrony", a współorganizowana przez Antoniego Dołęgę. W zasobach IPN (Lu 08/145/8 str. 147/308) zachował się dokument wytworzony przez WUBP w Lublinie w 1954 r. mówiący o wyjątkowej w skali kraju sile oddziaływania patroli podporządkowanych Antoniemu Dołędze, co skutkującej tym, że „pow. Łukowski zajął ostatnie miejsce w całym kraju w ostatnich wyborach, ostatnie miejsce zajmował w dostawach nadwyżek zbożowych jak również poważnie zahamowana została budowa gospodarki socjalistycznej na wsi" (zachowano oryginalną pisownię). UB w Łukowie nasiliło działania mające na celu likwidację grupy w 1954 r. Do walki przeciwko ukrywającym się partyzantom rzucono dwie kompanie z III Brygady KBW oraz nasilono działania agentury, którą kierował w łukowskim PUBP por. Ryszard Trąbka. W wyniku zdrady Bolesława Wierzchowskiego, agenta UB o pseudonimie Jankowski, 23 maja 1955 r. zginęli Wacław Skwara, Edward Mościcki i Roman Sawicki. W październiku poległ Tadeusz Przeździak „Blicharz", następnie ujawnił się Józef Jasiński „Pan Polski", a aresztowani zostali Edward Kędra i Stanisław Kołodziejczuk, który opuścił więzienie po siedmiu latach odsiadki.

Na początku 1956 r. w konspiracji pozostał już tylko sam „Kulawy Antek", który choć już nie prowadził żadnych działań zbrojnych, to nie wierzył komunistom i postanowił się ukrywać.

Do końca w konspiracji

Antoni Dołęga nie opuścił swego terenu. Korzystał z pomocy zaufanych ludzi, mieszkańców okolicznych wiosek, którzy udzielali mu schronienia aż do jego »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Uroczystości pogrzebowe chorążego Antoniego Dołęgi ps. Znicz, 19 listopada 2017 r., Trzebieszów

FOT. PAP/WOJCIECH PACEWICZ

» śmierci w 1982 r. To, co wydawałoby się niewiarygodne, uzupełniają relacje licznych świadków, którzy opowiadają, jak z nim rozmawiali, pokazują, gdzie się ukrywał, gdzie był przewożony. Jeszcze w 1947 r. uległ wypadkowi z bronią i konieczna była amputacja lewej nogi, stąd jego pseudonim Kulawy Antek. Swoje miejsce pobytu zmieniał dość często, ograniczając maksymalnie informacje o swojej następnej kryjówce poprzednim domownikom, po czym za jakiś czas nieoczekiwanie wracał do nich ponownie. Kazimierz Płudowski (syn żołnierza AK, Zygmunta Płudowskiego ps. Jarząbek) wspomina ze łzami w oczach moment zakładania protezy starzejącemu się już Antoniemu Dołędze w połowie lat 70., w miejscu jakże charakterystycznym dla jego wieloletniej konspiracji, na strychu stodoły. „Po założeniu protezy, a były to już czasy, kiedy Antoni nie poruszał się prawie w ogóle o własnych siłach, obwiązaliśmy go z ojcem skórzanymi pasami i spuściliśmy ze strychu do podstawionego niżej wozu, po czym odwieźliśmy do następnej kryjówki, sytuacja miała miejsce około 1976 r.”. Świadkowie przekazali wiele informacji z jego codziennego życia, z którego wyłania się niezwykły obraz wiary w to, że nadejdzie wolna Polska. W relacji Zenobii Kisielewskiej-Chorąży, Antoni Dołęga otaczany był szacunkiem i mógł liczyć na pomoc wielu rodzin, gdyż legendą do dzisiaj owiana jest jego przysięga złożona przed ołtarzem na początku powstania antykomunistycznego, na wierność ojczyźnie, II Rzeczypospolitej i że broni nie złoży wrogowi, dopóki żyje. „Kulawy Antek” ukrywał się w domu Wieńczysława Brzozowskiego ps. Szary do 1974 r. Wtedy Tadeusz Brzozowski odwiózł go wraz z ojcem po raz ostatni do jego kolejnej kryjówki. Edmund Krasuski zrelacjonował swój ostatni kontakt z „Kulawym Antkiem”, który miał miejsce w 1976 r., Konstanty Strus zaś obławę na Antoniego Dołęgę, której był świadkiem w latach 60.

Jerzy Płudowski wspomina, że po raz ostatni w zabudowaniach swego ojca widział Antoniego około 1976 r. Po raz ostatni w życiu spotkał „Kulawego Antka” w 1979 r. Marek i Kazimierz Płudowscy wspominali swoje rozmowy z Antonim i to, że prowadził dziennik, w którym opisywał ważniejsze wydarzenia ze swojego życia, ale również na papier przelewał swoje emocje. Kazimierzowi Płudowskiemu utkwił w pamięci jeden zapis: „Siedemnaście zim spędziłem na sianie, w oborach”. W świetle innych relacji w miejscowości Zembry ukrywał się u kościelnego i w tejże miejscowości jeszcze w latach 70. organizowane były dla niego konspiracyjne msze święte.

Niezwykły pochówek

W trakcie wieloletniej tułaczki Antoni Dołęga poświęcał czas na tworzenie grafik o charakterze religijnym i patriotycznym. Rodzina Płudowskich z Popław przechowała 22 takie obrazy. Zachowały się również dwa pamiętniki pochodzące z lat 1967–1968 pieczołowicie przechowywane w Sokołowie Podlaskim przez Marię Rowicką, siostrzenicę Pawła Artowicza.

Latem 1982 r. Antoni Dołęga przebywał w dobrze sobie znanym miejscu – u rodziny Artowiczów w Popławach-Rogalach. Tam zmarł w wieku 67 lat najprawdopodobniej w wyniku wylewu. Był stan wojenny, pochowali go we trójkę: Paweł Artowicz, Henryk Popławski i Czesław Gryczon. Spoczął w niewielkim zagajniku na skraju posiadłości Artowiczów w nieznakowanym konspiracyjnym grobie. Świadkiem pogrzebu był Marek Artowicz, syn Pawła, jedyny żyjący dzisiaj uczestnik tego wydarzenia. Podczas kolejnego naszego spotkania w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych 1 marca 2017 postanowił ujawnić mi miejsce spoczynku Antoniego Dołęgi. 13 czerwca tego samego roku odbyła się ekshumacja, a 19 listopada 2017 uroczysty pogrzeb z wojskowymi honorami na cmentarzu parafialnym w Trzebieszowie sprawowany przez ks. bp. Kazimierza Gurdę, ordynariusza siedleckiego. Rok po ujawnieniu konspiracyjnego miejsca spoczynku Prezydent RP Andrzej Duda za wybitne zasługi dla niepodległości Polski przyznał pośmiertnie Antoniemu Dołędze Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

CHRISTIANITAS AETERNA

Klucz do Putina

MAREK JUREK

Sześć lat temu w Moskwie grupa chuliganów obrzuciła polską ambasadę racami. Władze rosyjskie podały, że byli to działacze Innej Rosji, kontynuującej działalność zdelegalizowanej Partii Narodowo-Bolszewickiej. Wtedy o tym ugrupowaniu (komunistycznym, faszystowskim i demokratycznym jednocześnie; istny ideologiczny koktajl Mołotowa) usłyszała szerzej opinia publiczna w Polsce. Wcześniej wiedzieli o nim głównie czytelnicy „Frondy" albo ci, którzy – często inspirowani „Frondą" – sięgnęli po biografię Emmanuela Carrère'a „Limonow", opublikowaną w 2012 r. przez Wydawnictwo Literackie. Jej bohater, Eduard Limonow, to rosyjski pisarz, były emigrant, kondotier i przywódca nacjonal-bolszewików.

Autor jego biografii prowokacyjnie pisze, że to książka „o historii nas wszystkich", urodzonych po II wojnie światowej. Jego bohater jest rówieśnikiem pokolenia '68, on sam, Emmanuel Carrère, należy do mojego pokolenia. Gdzie szuka wspólnego mianownika generacji, którą przywołuje, pisząc o rosyjskim ekstremiście? W tym, mniej więcej, o czym traktuje film „Ronin". Konieczności określenia się w świecie, w którym „straciły" aktualność (a tak naprawdę szerokie zrozumienie) aksjomaty polityczne zimnej wojny.

Dla wyjaśnienia fenomenu neosowieckiej reakcji Carrère przypomina rządy Jegora Gajdara (za prezydentury Jelcyna), gdy doszło do „akumulacji" oligarchicznych kapitałów. Poprzedzała je „powszechna prywatyzacja", jednak masowa inflacja wywołana monetarystyczną polityką rządu spowodowała całkowitą dewaluację bonów prywatyzacyjnych, łatwo skupywanych przez przedsiębiorczych cwaniaków, dysponujących z reguły pieniędzmi służb specjalnych. Tak powstawały kosmiczne fortuny „nowych Rosjan".

Chaosowi społecznemu rodzącego się w ten sposób kapitalizmu Limonow przeciwstawił bohatera swoich rodziców, Stalina, i mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Jednym z najbardziej poruszających fragmentów książki Carrère'a jest opis emigracyjnego spotkania Limonowa i jego żony, jazzowej piosenkarki Natalii Miedwiediewej, w domu Andrieja Siniawskiego. Siniawski reprezentował na emigracji najzupełniej liberalny nurt kultury rosyjskiej, wielu emigrantów zarzucało mu kosmopolityzm. Stał mniej więcej tam, gdzie w polskiej emigracji paryska „Kultura". Siniawski i jego żona wzruszali się do łez wojennymi piosenkami Armii Czerwonej, które przy wódce śpiewała im żona Limonowa.

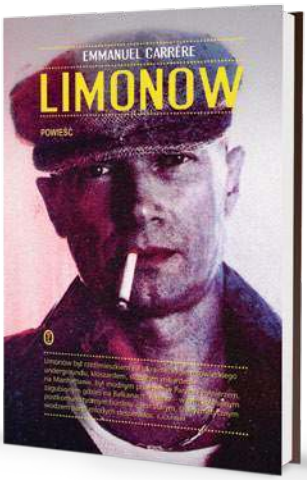

W Rosji rewolucja miała charakter wewnętrzny, a wygrana wojna Stalina nadała jej charakter „narodowy". Dla większości Rosjan stała się częścią ich wspólnoty losu. Nieprzypadkowo wojenne piosenki śpiewali Okudżawa i Wysocki. Nam to może trudno zrozumieć, ale tak jak Jünger pisał, że w czasie wojny dla konserwatywnej niemieckiej inteligencji, niechętnej reżimowi, armia stawała się azylem, tak w Rosji, w czasach komunistycznego kłamstwa, wojna stała się najbardziej własnym, autentycznym przeżyciem pokolenia. Widać to również we wspomnieniach Sołżenicyna albo w zakończeniu „Doktora Żywago" Borysa Pasternaka.

O treści consensu decyduje opozycja, jej zakres zgody z władzą. Dlatego „Limonow" to książka tak ciekawa i pesymistyczna jednocześnie. Pokazuje posowiecką Rosję, gdzie suplementem politycznego pluralizmu są Żyrynowski i neokomuniści Ziuganowa, a kontestacja ma charakter właśnie – neostalinowski. W tle jest Francja, nieuleczalnie zafascynowana Rosją i – dodajmy – sowiecką Rosją. W tym wypadku jest to o tyle osobliwe, że Emmanuel Carrère jest synem Hélène Carrère d'Encausse, wybitnej francuskiej sowietolog, która z dużą precyzją przewidziała rozpad ZSRS. Profesor Carrère d'Encausse jest z domu Zurabiszwili, ze znanej rodziny gruzińskich niepodległościowych emigrantów we Francji. Obecna prezydent Gruzji, Salome Zurabiszwili, to ciotka Emmanuela Carrère'a. Jemu jednak, już jako francuskiemu pisarzowi, nie przeszkadzało to umieścić na końcu swej książki bardzo „wyrozumiałych" rozważań o Rosji obecnej. Życie Eduarda Limonowa traktuje w pewnym sensie jako klucz do interpretacji jego głównego politycznego wroga, Władimira Putina. Losy dzisiejszej Rosji kształtują duchowe wnuki Stalina.

AUTOPROMOCJA

polecamy
WSKLEPIKU.PL

Złota epopeja
Agnieszka Lewandowska-Kąkol

Pierwsza powieść o dramatycznych losach polskiej rezerwy złota w czasach drugiej wojny światowej. Wielkie przyjaźnie i wielkie emocje. Wielka rozgrywka wywiadów. Odwaga, brawura i sensacja, kiedy trzeba – chłodna kalkulacja prawnicza. Oficerowie od zadań specjalnych, bankierzy i pierwsza polska medalistka olimpijska.

Płonące pustkowie
Marcin Ludwicki

Pozbawione mieszkańców miasto widmo zostało skazane na zagładę. Specjalne oddziały niemieckie niszczyły je metodycznie, kwartał po kwartale. Po ich przejściu w milczących ruinach poza zdziczałymi kotami nie było już nikogo. Książka opowiada o dramatycznych miesiącach po kapitulacji Powstania, zbierając relacje tych, którzy pozostali w mieście.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem: 22 836 54 45

eprasa.pl 88a0ab6d8b

REPRESJE

NAWET WOBEC TAKSÓWKARZY

NIE MOGĄC POWSTRZYMAĆ POGRZEBU KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI W WARSZAWIE, WŁADZE LOKALNE STARAŁY SIĘ CHOCIAŻ UKARAĆ TAKSÓWKARZY ODPROWADZAJĄCYCH KONDUKT W BIAŁYMSTOKU

KAROLINA MĘTRAK

30 października 1984 r. w zalewie na Wiśle k. Włocławka zostało odnalezione ciało ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego kilka dni wcześniej przez funkcjonariuszy SB. Sekcja zwłok kapłana została przeprowadzona w Zakładzie Medycyny Sądowej przy Akademii Medycznej w Białymstoku. Stamtąd, po cichu i bez rozgłosu, trumna z ciałem ks. Popiełuszki miała zostać przewieziona do Warszawy.

Jednak pochówek ks. Jerzego w stolicy budził zastrzeżenia władz. W obawie przed prawdopodobną manifestacją antykomunistyczną zależało jej na pogrzebie księdza jak najdalej od Warszawy najlepiej w jego rodzinnej parafii w Suchowoli, ok. 50 km od Białegostoku. Władze wskazały Suchowolę, używając argumentu, że matka ks. Jerzego, Marianna Popiełuszko, wolałaby mieć grób swojego syna blisko. Ona jednak odpowiedziała: „Dałam go Kościołowi na służbę i Kościół będzie decydował, gdzie zostanie pochowany”. O pogrzeb ks. Jerzego w Warszawie prosili prymasa Glempa przyjaciele kapłana, związane z nim przykościelne środowiska robotnicze, a także proboszcz parafii św. Stanisława Kostki ks. Teofil Bogucki. Prymas się zgodził i ks. Jerzy Popiełuszko miał zostać pochowany przy kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

Przejazd konduktu

Przewiezienie zwłok ks. Jerzego z Białegostoku do Warszawy odbyło się 2 listopada w godzinach popołudniowych. Po odmówieniu modlitw w kaplicy białostockiego Zakładu Medycyny Sądowej trumnę z ciałem przeniesiono do spe-

eprasa.pl 88a0ab6d8b

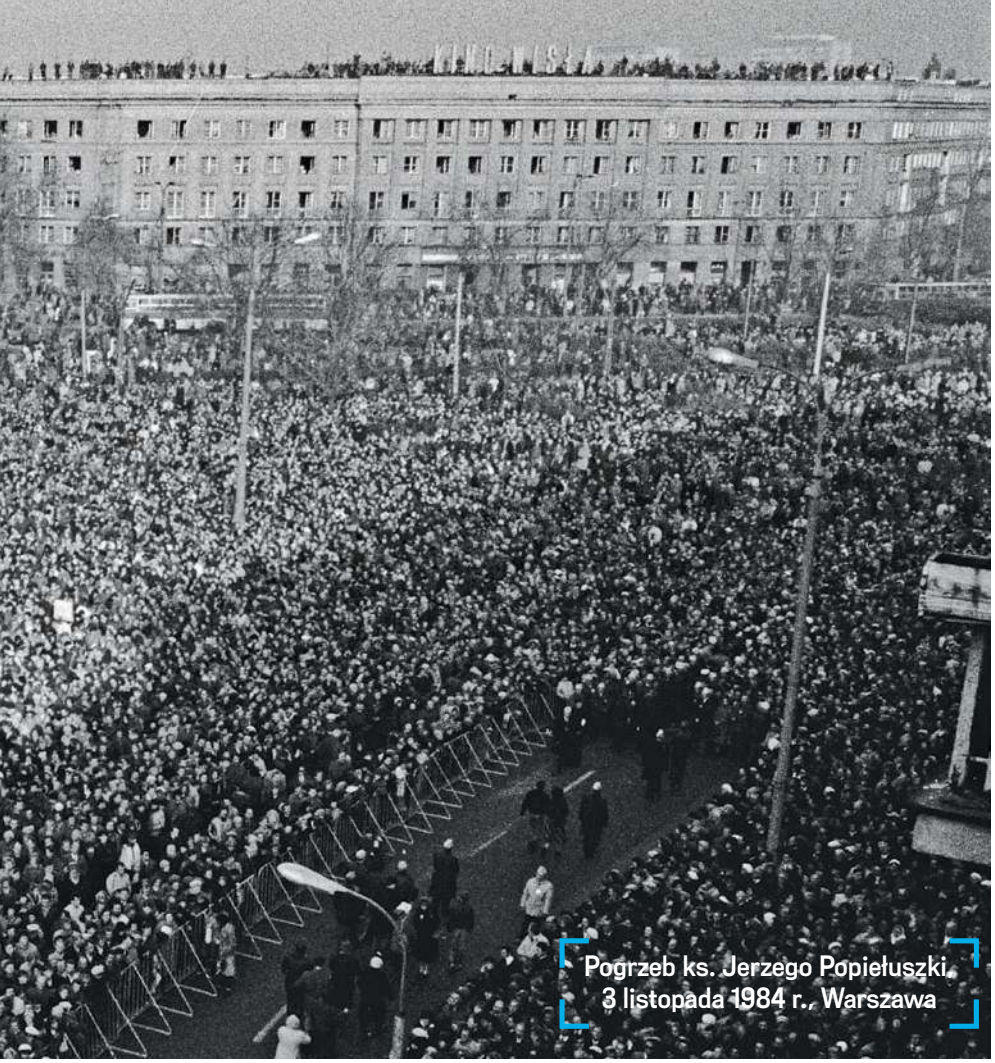

Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki, 3 listopada 1984 r., Warszawa

FOT. WIERZEJSKI/FOTONOVA

cjalnego samochodu. Na czele konduktu pogrzebowego jechało auto z biskupem ordynariuszem białostockim Edwardem Kisielem, następnie samochód z trumną ks. Jerzego, a dalej samochody z rodziną zmordowanego kapłana i z delegacją archidiecezji warszawskiej. Tak uformowany kondukt ruszył w kierunku Warszawy. Po drodze spontanicznie dołączały do niego inne samochody prywatne i taksówki.

Warunki przejazdu nie były łatwe. Wzdłuż trasy gromadziło się wielu ludzi, a wyjeżdżające z Białegostoku auta kilkakrotnie musiały się zatrzymywać na światłach. W momentach postoju zgromadzony tłum napierał na kondukt, by znaleźć się jak najbliżej karawanu z trumną i oddać cześć zamordowanemu księdzu, przynajmniej dotykając pojazdu. Ponadto przejazd odbywał się już o zmroku i podczas mgły. O niesprzyjających okolicznościach przejazdu pisał do Wydziału Ruchu Drogowego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Białymstoku administrator apostolski archidiecezji białostockiej, bp Edward Kisiel: „Sytuacja, którą osobiście obserwowałem, wymagała szybkiego przejazdu ze względu na gromadzące się tłumy ludzi przy trasie przejazdu, napierające na jezdnię z chęcią przynajmniej dotknięcia ręką samochodu z trumną. Jedynym wyjściem w tym wypadku było niezatrzymywanie się na jezdni. Byłoby pięknie, gdyby zrozumiał tę sytuację stojący na skrzyżowaniu milicjant i pokierował ruchem konduktu. Tego jednak, niestety, żaden milicjant nie uczynił”.

BIAŁOSTOCCY TAKSÓWKARZE PRZY WŁĄCZONYCH KLAKSONACH ODPROWADZALI KS. JERZEGO ULICAMI SWEGO MIASTA

Karanie taksówkarzy

Wobec bierności milicji drogowej ogromną życzliwością wykazali się pozostali kierowcy aut osobowych i taksówek, którzy widząc zbliżający się do skrzyżowania kondukt, sami dawali mu pierwszeństwo przejazdu i ostrzegali pozostałe auta. Obecność białostockich taksówkarzy w kondukcie pogrzebowym była szczególnie widoczna – przy włączonych klaksonach odprowadzali ks. Jerzego ulicami swego miasta. Ich bardzo liczny udział w kondukcie nie pozostał bez reakcji lokalnych władz. Za uczestnictwo w kondukcie i „nieuzasadnione” używanie sygnałów dźwiękowych na kierowców taksówek zostały nałożone poważne kary, włącznie z odebraniem prawa jazdy.

Wstawiła się za nimi kuria arcybiskupia w Białymstoku. Bp Edward Kisiel protestował: „[...] Nie można winić kierowców taksówek, którzy w tym wypadku użyli sygnałów dźwiękowych. Wszyscy też byliśmy zdziwieni, gdyśmy zobaczyli milicjantów w okolicy Nowosiółek, którzy zatrzymywali wiele taksówek i spisywali ich numery boczne. Kuria została powiadomiona, że niektórym taksówkarzom odebrano prawo jazdy i grożono kolegium za używanie w czasie przejazdu konduktu z trumną sygnałów dźwiękowych. Nazwiska ukaranych są w posiadaniu Kurii. W związku z tą przykrą sprawą wnoszę o zaniechanie represji względem kierowców taksówek i o anulowanie już wymierzonych kar. Wymaga tego dobrze pojęte dobro Państwa i potrzeba pokoju w kraju. Nie wiem, komu zależy na tym, aby siać niepokój wtedy, kiedy cały kraj tak boleśnie przeżywa zbrodnię zamordowania kapłana katolickiego”.

Interwencja bp. Edwarda Kisiela okazała się skuteczna i po kilku dniach represje ustały. Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki odbył się 3 listopada 1984 r. w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu i zgromadził ogromny tłum wiernych. Kazanie wygłosił prymas Józef Glemp. Powiedział wówczas: „Odpuszczamy wszystkim winowajcom, którzy z przekonania lub na rozkaz zadali bliźnim krzywdy. Odpuszczamy zabójcom ks. Popiełuszki. Nie mamy do nikogo nienawiści”.

Pogrzeb był też pretekstem do wielotysięcznej pokojowej manifestacji, która przeszła ulicami Warszawy.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ARYSTOKRATA Z RZEŹBIARSKIM DŁUTEM

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Wystawa Międzynarodowa w Paryżu 1937 r., rzeźba Augusta Zamoyskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W MARCU BR. MKiDN ZAKUPIŁO I SPROWADZIŁO Z FRANCJI KOLEKCJĘ 93 RZEŹB AUGUSTA ZAMOYSKIEGO DLA MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE. TAM MOŻNĄ JĄ OGLĄDAĆ NA RAZIE DO 25 SIERPNIA

„Urodziłem się na koniu w lesie. Zacna, twarda i sroga (szczególnie dla siebie) matka moja, podczas rannego objazdu po majątku – powiła mnie w gajówce, a nie w szpitalu, przy pomocy wdowy po Mazurku, gajowym, zastrzelonym przez kłusownika" – wspominał okoliczności swojego przyjścia na świat wybitny polski rzeźbiarz August Zamoyski (1893–1970). Rodzice przyszłego artysty: Tomasz Zamoyski (1861–1935) i Ludmiła z węgierskiej linii Zamoyskich (1864–1928) zamieszkiwali wtedy swój wiejski majątek i pałac w Jabłoniu, położony w województwie

eprasa.pl 88a0ab6d8b

lubelskim. Tam właśnie August spędził swoje chłopięce lata. „Byłem ciekawski, godzinami wagarowałem u naszych rzemieślników folwarcznych. Wówczas wszystko robiło się w wiejskim majątku – od bryczki z hartowanymi resorami, po wozy i pługi. To, co dziś jest w rękach wielkiego przemysłu, było wykonywane przez rzemieślników dworskich. Garbowało się skóry z własnych wołów, wypalało własne garnki, cegły i dachówki, jak i rury do drenowania pól”.

Pierwsze nauki

Szkołę August Zamoyski ukończył w Warszawie, ale jego artystyczne zainteresowania znalazły swój początek na wsi, w majątku Jabłoń. Przyszły rzeźbiarz pisał dalej: „Mistrzem moich badań dziecinnych, do piętnastego roku życia był nasz kowal folwarczny Bronikowski, zaś kolejnym nasz stolarz Grzeszczuk, powstaniec z roku 1863, który szablą miał ucięte w boju dwa palce prawej ręki. Bronikowski, kowal artysta, wprawił mnie w uderzenie młotka, Grzeszczuk w używanie siekiery ciesielskiej i struganie szprych brzozowych do wozów lub toczenie piast dębowych. Rodzice moją ciekawość do rzemiosł popierali; wstawili mi do pokoju warsztat stolarski i chodziłem na lekcje do kuźni i stolarni, podobnie jak na łacinę do proboszcza, a na resztę nauk do korepetytora, mego ukochanego pana Zygmunta Szupa, który był studentem w Moskwie, a u nas prowadził buchalterię w kancelarii majątku oraz przeprowadzał kontrolę i analizy mleka w naszej mleczarni. Równocześnie rysowałem pasjami od dziesiątego roku życia, głównie karykatury, i w różnych materiałach, jak żelazo i drewno, kułem i strugałem”.

Pałac w Jabłoniu

Ziemski majątek w Jabłoniu dla swojego syna Tomasza w 1884 r. kupił August Zamoyski z Różanki (dziad Augusta rzeźbiarza). Gdy zamieszkał tu Tomasz Zamoyski wraz z żoną Ludmiłą, gospodarstwo w Jabłoniu należało już do wzorowych. Jeden z poprzednich właścicieli, mąż Emmy Potockiej, Piotr Strzyżewski, który zarządzał Jabłoniem od 1810 r., był znakomitym gospodarzem. Wprowadził płodozmian w uprawach, założył szkółki drzew dekoracyjnych, wybudował klasycystyczny pałac i założył park w stylu angielskim. Po zamieszkaniu w Jabłoniu Tomasz i Ludmiła Zamoyscy wybudowali nowy, późnoklasycystyczny pałac, a parę lat później kolejny, połączony z poprzednim ćwierćkolistym łącznikiem.

Ta najnowsza, powstała w latach 1904–1905, budowla nawiązywała do neogotyckich rezydencji angielskich i była już wyposażona w najnowsze osiągnięcia technologiczne. W pałacu zainstalowano centralne ogrzewanie, były kanalizacja, oświetlenie elektryczne i windy. Rezydencja zaprojektowana była prawdopodobnie przez wiedeńskiego architekta Ferdinanda Fellnera. Po II wojnie majątek rozparcelowano, w pałacu zaś do pożaru w 1968 r. funkcjonowały szkoła podstawowa i technikum rolnicze. Fragment wnętrz pałacowych w Jabłoniu, jeszcze przed pożarem, tak opisywał historyk sztuki, specjalista od architektury dworskiej, prof. dr hab. Tadeusz S. Jaroszewski: „Z przedsionka wchodzimy do ogromnego hallu ciągnącego się przez obie kondygnacje i mieszczącego reprezentacyjną »

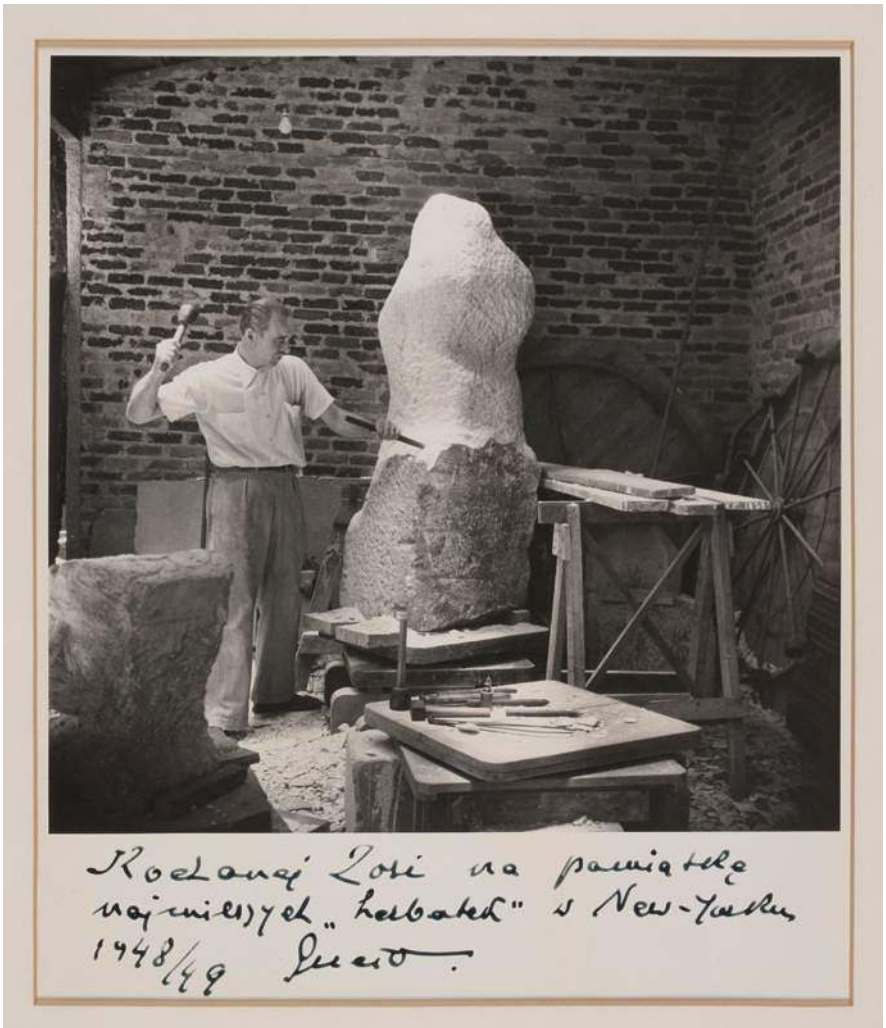

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

August Zamoyski w pracowni rzeźbiarskiej

Włącz kanał
W POLSCE PL
NA POZYCJACH
339 dekoder Mediabox
121 dekodery KAON i Horizon
eprasa.pl 88a0ab6d8b

» klatkę schodową wiodącą na I piętro. Było to w pałacu z pewnością najokazalsze wnętrze, gdzie gromadzili się jego mieszkańcy. Głównym akcentem wyposażenia hallu jest biały marmurowy kominek zamknięty łukiem Tudora, obudowany z boku dębową boazerią".

W 1999 r. zdewastowany pałac wraz z zabudowaniami gospodarczymi od gminy Jabłoń zakupiły osoby prywatne. W jednym z dworskich czworaków mieszczą się dziś Gminny Ośrodek Kultury oraz Muzeum Augusta Zamoyskiego. W pałacu zaś prowadzone są prace remontowe oraz rekonstrukcyjne zabytkowych zniszczonych elementów drewnianych i licznych sztukaterii. Pałac w Jabłoniu jest zaliczany do piękniejszych neogotyckich rezydencji powstałych w Polsce w pierwszym dziesięcioleciu XX w.

WE WRZEŚNIU 1939 r. PO POWROCIE Z PARYŻA WYDAŁ ZABEZPIECZAJĄCE MAJĄTEK ZARZĄDZENIA I UKRYŁ ZGROMADZONE RZEŹBY, ZATAPIAJĄC JE W DWORSKIM STAWIE W JABŁONIU

Zamoyscy z Węgier

Oprócz znanej ordynackiej linii Zamoyskich h. Jelita z ziemi zamojskiej było jeszcze kilka innych gałęzi rodu, w tym linia węgierska, z której wywodziła się Ludmiła, matka rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego. Dzieje tej linii rozpoczynają się od czasu, gdy Stanisław Kostka Zamoyski (1766–1830), żonaty z Ludwiką Grocholską h. Syrokomla, otrzymał w 1820 r. od cesarza Austrii Franciszka I dziedziczny tytuł hrabiowski. Jeden z jego trzech synów, Józef, poślubił w 1828 r. Eleonorę Abensberg und Traun, córkę Antoniego, ordynata na Traun i Petronell w Austrii. Józef sprzedał swoje dobra w Galicji i kupił węgierski majątek Bresztovany w rejonie Trnavy w dolinie rzeki Wag (obecnie Male Bresztovany na Słowacji). Wzniósł tu obszerny w polskim stylu zbudowany dwór, z dwoma od frontu i ogrodu czterokolumnowymi portykami i salonami wypełnionymi sarmackimi portretami przodków rodu Zamoyskich. Znalazły się tam też wizerunki naszych bohaterów narodowych, m.in. księcia Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki i Emilii Plater, a także stojący szafowy zegar, który odtwarzał melodię „Mazurka Dąbrowskiego". Majątek w Bresztovanach był przez lata główną siedzibą linii węgierskiej Zamoyskich, tu też w czasie rodzinnych odwiedzin zmarła w 1928 r. Ludmiła Zamoyska. Historycy badający dzieje węgierskiej linii tego rodu twierdzą, że niezależnie od wychowywania się poza rodzinnym krajem i zawierania małżeństw z austriackimi arystokratkami Zamoyscy z Bresztovan byli zawsze Polakami, patriotami i tak starali się wychować kolejne pokolenia.

Artysta rzeźbiarz August Zamoyski obok swego dzieła na wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie, listopad 1936 r.

FOT. NAC

Romans z komediantką

Po maturze August Zamoyski wyruszył na zagraniczne nauki. Studiował w Szwajcarii ekonomię, w Heidelbergu filozofię, w Berlinie zaś uczęszczał na lekcje rysunku. Po wybuchu I wojny światowej Zamoyski jako obywatel rosyjski został uwięziony w strasznych warunkach w obozie w Prusach Wschodnich, gdzie zachorował na cholerę. Na skutek interwencji spokrewnionej wiedeńskiej arystokracji został przeniesiony do szpitala w Berlinie, tu poznał włoską śpiewaczkę Ritę Sacchetto i się w niej zakochał. Poznał też artystyczne środowisko Berlina, które mocno wpłynęło na wybór jego drogi życiowej jako rzeźbiarza.

Gdy do pałacu w Jabłoniu dotarły wiadomości, że August porzucił poważne studia, zajmuje się wyłącznie sztuką i ma „romans z komediantką", zaniepokojeni rodzice mocno ograniczyli przesyłane mu środki finansowe. Jak donosiły pokątne wieści, rodzina często wysyłała służbę, by zrywała afisze zapowiadające czy to występy Rity, która co prawda nawet po ślubie nie używała nazwiska Zamoyskich, czy wystawy rzeźby z uczestnictwem Augusta. Tymczasem młody rzeźbiarz dysponujący rzemieślniczym doświadczeniem nabytym w dworskich kuźniach i stolarniach Jabłonia, dorabiał sobie, wycinając na zamówienie renesansowe ramy do obrazów lub rzeźbiąc głowy lwów na poręcze foteli, równocześnie eksperymentując we własnych pracach rzeźbiarskich, zbliżonych do działań grupy polskich ekspresjonistów, późniejszych formistów. Jego prace pokazywane na wystawach poznańskiego „Buntu" budziły wiele kontrowersji, niemniej powoli zaczęły się stawać znane i cenione.

W kręgach artystycznej bohemy

Po wystawach grupy „Bunt" w Poznaniu i Berlinie August Zamoyski wraz z poślubioną Ritą Sacchetto przeniósł się do Zakopanego. Tu na Skibówkach wybudo-

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Zespół pałacowo-parkowy Jabłoń zbudowany w latach 1904–1905 dla Tomasza Zamoyskiego

FOT. MUZEUM LITERATURY / EAST NEWS

wał dom wraz z pracownią i salą dla żony, która udzielała lekcji tańca i przygotowywała słynne „tańce formistyczne". W Zakopanem August natychmiast stał się jedną z głównych postaci przebywającej w tej miejscowości cyganerii artystycznej, do której należały takie osobistości jak Stanisław Ignacy Witkiewicz „Witkacy", Leon Chwistek, bracia Pronaszkowie, Tytus Czyżewski. Zaczął chodzić w góry, jeździć na nartach, uprawiać kolarstwo. Jednym z najgłośniejszych sportowych wyczynów Augusta Zamoyskiego był przejazd rowerem z Paryża przez Szwajcarię, Włochy, Zakopane, Kraków do Warszawy. Założył się z pewnym Argentyńczykiem o „furę dolarów", że te 2929 kilometrów pokona, jadąc tylko na rowerze, i zakład wygrał. Innym sukcesem, tym razem artystycznym, było zaproszenie rzeźbiarza do udziału w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w 1925 r. w Paryżu. „Rzeźba Zamoyskiego miała na wystawie tej, w sąsiedztwie znakomitych artystów [Utrilla i Braque'a – dop. J.K.], tak duże powodzenie, że po pewnym czasie dostawiono jeszcze trzy inne dzieła naszego znakomitego rodaka" – relacjonował w „Wiadomościach Literackich" Jarosław Iwaszkiewicz.

Po eksperymentach formistycznych, które z hukiem porzucił Zamoyski wystawą „Koniec formizmu" (1923 r.), nastąpiła w jego twórczości epoka realizmu.

Koniec młodzieńczego buntu

Po śmierci matki (1928) i ojca (1935) Zamoyski odkrył w sobie poczucie ziemiańskich obowiązków i rozpoczął zarządzanie majątkiem w Jabłoniu. Gospodarzem okazał się rozsądnym, pozbył się zadłużeń i dokonał wielu pomyślnych rolniczych inwestycji. Myślał o zorganizowaniu w pałacu w Jabłoniu domu pracy twórczej dla przyjaciół artystów. Jego rzeźbiarskie prace z tego okresu demonstrują zainteresowania modelami wiejskich kobiet i dziewczyn. Rzeźby te odniosły ogromny sukces na weneckim Biennale w 1936 r. i na dwóch wystawach w Warszawie (główna nagroda za głowę „Wierki" modelki z Jabłonia na I Salonie Rzeźby w IPS w 1937 r.).

Wrzesień 1939 r. zastał Augusta Zamoyskiego w Paryżu, gdzie przygotowywał kolejną wystawę. Na wieść o wybuchu wojny z Niemcami wsiadł jednak natychmiast w auto i po wielu trudach dotarł do Jabłonia. Tu wydał zabezpieczające majątek zarządzenia i ukrył zgromadzone rzeźby, zatapiając je w dworskim stawie. Udało mu się jeszcze powrócić do Paryża. Później, uciekając przed kolejnymi frontami i agresją hitlerowskich Niemiec, Zamoyski schronił się aż w dalekiej Brazylii. Został w Rio de Janeiro wykładowcą rzeźby na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych, a w mieście tym do dziś stoi zaprojektowany przez Zamoyskiego monument przedstawiający Fryderyka Chopina. W 1955 r. polski artysta opuścił Brazylię i zamieszkał w paryskim klasztorze dominikanów, skupiając się na sztuce religijnej i tworząc dramatycznie ekspresyjne rzeźby, takie jak „Pieta" czy „Zmartwychwstanie". Zmarł w 1970 r. na południu Francji w posiadłości Saint-Clar-de-Rivière, nad jego miejscowym grobem zaś rozpięty został łuk rzeźby „Zmartwychwstanie".

Włącz kanał
W POLSCE PL
CYFROWY POLSAT
NA POZYCJI 196
eprasa.pl 88a0ab6d8b

MISTRZ SZABLI, DZIAŁACZ PRON I „ELEMENT PODEJRZANY"

GRZEGORZ MAJCHRZAK

TADEUSZA PIGUŁY KIBICOM – ZWŁASZCZA SZERMIERKI – NIE TRZEBA PRZEDSTAWIAĆ. W LATACH 80. BYŁ CZOŁOWYM POLSKIM SZABLISTĄ. W 1982 r. WYWALCZYŁ TYTUŁ INDYWIDUALNEGO MISTRZA EUROPY, A W 1986 r. DRUŻYNOWEGO WICEMISTRZA ŚWIATA. DLACZEGO TADEUSZ PIGUŁA ZNALAZŁ SIĘ NA CELOWNIKU BEZPIEKI?

Tadeusz Piguła w latach 1970--1993 reprezentował barwy klubu Zagłębie Konin. Dwukrotnie wystąpił na igrzyskach olimpijskich – w Moskwie w 1980 r. zajął czwarte miejsce, a w Seulu w 1988 r. piąte (w obu przypadkach w rywalizacji drużynowej).

Mniej znanym elementem jego życiorysu jest członkostwo w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego, fasadowej organizacji utworzonej przez władze PRL w stanie wojennym. „Piguła jest członkiem Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON od chwili powstania tego ruchu. Został zarekomendowany przez tow. Błaszczykową z Wydziału Organizacyjno-Politycznego KW PZPR [w Koninie – G.M.], gdzie przeprowadzono z nim wstępne rozmowy i uzyskano jego zgodę na podjęcie działalności w PRON. Kandydaturę T. Piguły motywowano znanym nazwiskiem i dużą popularnością w środowiskach młodzieżowych, a także właściwą

Międzynarodowy turniej szermierczy o Szablę Wołodyjowskiego. Walczy Tadeusz Piguła (po prawej), Warszawa, kwiecień 1984 r.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

postawą moralno-polityczną, mimo że [...] jest bezpartyjny" – można przeczytać w jednej z esbeckich notatek ze stycznia 1984 r. I dalej: „Piguła w posiedzeniach Prezydium uczestniczy nieregularnie, tłumacząc to częstymi zawodami sportowymi [...]. Stara się jednak być aktywny i jest dość częstym gościem w Sekretariacie PRON [...]. Pozycja T. Piguły w Prezydium RW PRON jest, dzięki rekomendacji KW PZPR, bardzo mocna. Pozwala sobie nawet na otwartą krytykę społecznej przewodniczącej [...], zarzucając jej niekompetencję. Na plenum RW PRON, które odbędzie się 27 stycznia, planuje się powierzenie T. Pigule nadzoru nad Komisją Dialogu Społecznego".

Donosy i podejrzenia

Tymczasem Służba Bezpieczeństwa w Koninie, a dokładniej kontrwywiad, miała na temat szermierza zupełnie inne zdanie. Funkcjonariusze SB zainteresowali się zresztą jego osobą już wcześniej – w lipcu 1981 r. – ze względu na jego kontakt z pracownikiem jednej ze szwedzkich firm z branży maszynowej. Systematyczne rozpracowywanie Piguły (w ramach materiałów wstępnych kryptonim „Flesz") rozpoczęli jednak dopiero w połowie stycznia 1984 r. Przyczyniły się do tego donosy, z których wynikało, że Tadeusz Piguła może prowadzić „wrogą działalność".

Esbeków do tego rodzaju podejrzeń skłaniało kilka przesłanek. Po pierwsze, „przewyższający oficjalne dochody standard życiowy (luksusowa willa, samochód Polonez)". Po drugie, jego „skrajnie zmaterializowany stosunek do życia". Przypisywali mu oni również „kosmopolityzm". Mieli zastrzeżenia do jego rozległych kontaktów zagranicznych, z których większość miał rzekomo ukrywać przed swoim otoczeniem. Zarzucali mu wręcz, że wynik sportowy nie jest dla niego najważniejszy, a za granicę wyjeżdża „w innych niż sportowe celach". Szczególnie nie podobały im się jednak jego częste prywatne wyjazdy do Szwecji. Mało tego – w ich ocenie – miał ponoć w kraju stosować „pozornie nieuzasadnione środki samokontroli".

FOT. ZBIGNIEW MATUSZEWSKI/PAP

Funkcjonariusze nie zapominali też, że w przeszłości nosił się z zamiarem wyjazdu na stałe na Zachód. Nie podobały im się niektóre cechy jego charakteru, np. skłonność do ryzyka czy „kult »mocnych« mężczyzn" oraz jego „wyraźna ekscytacja tematyką szpiegowską, zwłaszcza w kontekście sprawy Pawłowskiego [chodzi o Jerzego Pawłowskiego, wybitnego polskiego szablistę (m.in. pięciokrotnego medalistę igrzysk olimpijskich), skazanego w 1976 r. na karę 25 lat więzienia za szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych – G.M.]", z którym zresztą się znali. To jednak nie wszystko. Na liście esbeckich zarzutów znalazła się jeszcze „skłonność do nawiązywania doraźnych kontaktów z kobietami i mający cechy przestępstwa handel sprzętem sportowym".

Niedoszła próba werbunku

Rozpracowanie szermierza, ze względu na – jak to określono – niewystarczający „dopływ informacji" i brak perspektyw na zmianę tej sytuacji w najbliższym czasie, nie było jednak łatwe. Zdecydowano się więc na przeprowadzenie z nim (12 maja 1984 r.) rozmowy operacyjnej. Jej celem było lepsze rozpoznanie osobowości Tadeusza Piguły, uzyskanie o nim dodatkowych danych, a w sprzyjających okolicznościach nawet zwerbowanie go do współpracy agenturalnej. W czasie rozmowy zawodnik stwierdził, że nigdy nie znalazł się w sytuacji, która wskazywałaby na zainteresowanie zachodnich służb jego osobą. Siebie zaś przedstawiał jako „lojalnego obywatela PRL, który wyjeżdża [...] wyłącznie w celach sportowych". Miało o tym świadczyć to, że kiedy został (wraz z kolegami) zakwaterowany w koszarach Bundeswehry, zgłosił to władzom. Piguła dużo i chaotycznie mówił o swej karierze sportowej. W ocenie swego rozmówcy Romana Nowaczyka miał „przejawiać w tym dość dużo megalomanii".

Bardzo ciekawa była deklarowana przez szermierza postawa wobec ogłoszonego przez polskie władze (formalnie sportowe, a de facto polityczne) bojkotu igrzysk olimpijskich w Los Angeles w 1984 r. Stwierdzał, że dla jego środowiska nie jest ona absolutnie zaskoczeniem i z tego powodu „już od pewnego czasu trenowano »na pół gwizdka«". Wyraził pogląd, że władze sportowe powinny zrekompensować zawodnikom tę decyzję, „chociażby w postaci atrakcyjnych wczasów rodzinnych za granicą". Jednocześnie opowiedział się zdecydowanie przeciwko organizowaniu imprez konkurencyjnych wobec igrzysk. Decyzja o bojkocie – jak stwierdził – miała wpływ na jego plany sportowe. Po igrzyskach zamierzał bowiem zakończyć karierę sportową, ale w nowej sytuacji zmienił zdanie, gdyż „chciałby wziąć udział choćby w jednej olimpiadzie mającej pełną obsadę" – moskiewskie igrzyska zostały zbojkotowane przez część państw, głównie zachodnich. Dlatego też zamierzał, o ile oczywiście pozwoli mu na to zdrowie, „dotrwać do Seulu". W przyszłości zaś chciał „zająć się pracą trenerską z najmłodszymi". W tym celu zresztą rozpoczął studia na Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach.

Wypowiadał się też na temat środowiska sportowego w Polsce. Według niego sytuacja finansowa sportowców była „w sumie niezła". Twierdził przy tym, że ich głównym pozaoficjalnym źródłem dochodów są rzekomo oszczędności z diet, a także pieniądze ze sprzedaży nagród rzeczowych (głównie zegarków i sprzętu elektronicznego), za które mieli oni uzyskiwać 200–300 dolarów, co było jak na ówczesne warunki sumą wysoką. Narzekał z kolei na panujące w polskim środowisku sportowym animozje i zawiść. Miało o tym świadczyć rzekome „wyślizganie" go z plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na najlepszego polskiego sportowca roku. Ponoć zajął w nim dziesiąte miejsce, ale „powiedziano mu, że do »10« trzeba włączyć [Wojciecha] Fibaka [wybitnego polskiego tenisistę – G.M.]". W ten sposób chciano ściągnąć go do kraju, podobno po to, by „zakończyć prowadzone [przeciwko niemu – G.M.] postępowanie o przestępstwa podatkowe".

W trakcie rozmowy Nowaczyk nie próbował pozyskać Piguły do współpracy, gdyż w jego ocenie „nie wystąpiły okoliczności, które mogłyby uzasadniać" próbę podjęcia takiego werbunku. »

Włącz kanał
W POLSCE PL
NETIA NA POZYCJI 192
orange NA POZYCJI 32
VECTRA NA POZYCJI 825
eprasa.pl 88a0ab6d8b

» I to mimo że szermierz miał „nie widzieć przeszkód w odbyciu kolejnej rozmowy", a nawet deklarował „pozytywny stosunek" do SB oraz twierdził, iż „docenia jej rolę w ochronie interesów Państwa". Być może przeważyło stwierdzenie, że to, czym zajmuje się Służba Bezpieczeństwa, to dla niego „sprawy obce", w które nie chciałby się angażować.

Piguła odmówił

Tak na marginesie szermierz w rozmowie z funkcjonariuszem SB nie był szczery, a przynajmniej w pełni szczery. Jak informował tajny współpracownik „Jacek", był on bowiem wręcz zbulwersowany decyzją polskich władz w sprawie bojkotu igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Mało tego, jak alarmował dziewięć dni po wspomnianej rozmowie ten agent: „Piguła, [Andrzej] Kostrzewa oraz [Jacek] Bierkowski czynią jakieś starania, aby wyjechać do Szwecji przed olimpiadą, tam pozostać i zgłosić swój udział indywidualny w igrzyskach olimpijskich". W przypadku Piguły i Bierkowskiego taka decyzja miała być tym łatwiejsza, że obaj ponoć planowali zakończenie kariery. Ponadto mogliby pozostać w Szwecji lub innym kraju kapitalistycznym, gdyż mieli tam ponoć zapewnioną pracę. Piguła był nawet podobno skłonny pozostawić w kraju wykańczany właśnie dom. Być może widział szansę powrotu. Podobnie jak koledzy uważał, że nie popełniłby żadnego przestępstwa, a „jedynie" wszedł „w kolizję" z władzami sportowymi i politycznymi PRL.

Konińska bezpieka, mimo danych uzyskanych od TW „Jacka", chciała prowadzić z Tadeuszem Pigułą tzw. dialog operacyjny, czyli kontynuować z nim rozmowy w celu pozyskania go do współpracy. Uznano, że ma „kapitalne możliwości ofensywne" i może być dla SB cennym nabytkiem. Oczywiście zamierzano przeciwdziałać jego ewentualnemu wyjazdowi na igrzyska w Stanach Zjednoczonych. Miało temu służyć czasowe zastrzeżenie wyjazdów zagranicznych na okres czerwiec–sierpień 1984 r.

W końcu 6 marca 1985 r. próbę zwerbowania szermierza do współpracy podjął Roman Nowaczyk, jednak bez powodzenia. Jak potem raportował Piguła, „okazał się dość podatny na argumenty natury ogólnej", a nawet miał „zadeklarować swoją pomoc" w „każdym żądanym" przez Służbę Bezpieczeństwa zakresie, jednak zdecydowanie odmówił podpisania zobowiązania do współpracy. I to mimo że funkcjonariusz SB w trakcie rozmowy z nim sięgnął po materiały obciążające sportowca, a konkretnie „nieścisłości" w rozliczeniach przez niego kosztów udziału w zawodach (przejazdy, dodatkowe posiłki, koszty eksploatacji prywatnych pojazdów). W ocenie Nowaczyka nie zrobiły one zresztą na jego rozmówcy większego wrażenia. Twierdził on, że doszło do nich „za pełną akceptacją władz klubu", a co więcej, iż taka praktyka jest powszechnie „stosowana w całym kraju".

POD KONIEC LAT 80. PIGUŁA PONOWNIE ZNALAZŁ SIĘ NA CELOWNIKU. TYM RAZEM JEDNAK NIE SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA, ALE WOJSKOWEJ SŁUŻBY WEWNĘTRZNEJ

Esbek się nie poddawał i zaproponował Pigule również inną „»łagodniejszą« formę" zobowiązania do współpracy, nic jednak nie wskórał. Szermierz swą odmowę uzasadniał „brakiem predyspozycji psychicznych" do współpracy, a także „oporami natury psychicznej". Pod koniec tego trzygodzinnego spotkania odpowiadał już zresztą „monosylabami".

I jeszcze WSW

Mimo tego niepowodzenia Roman Nowaczyk nie zamierzał rezygnować z werbunku sportowca. Liczył, że ten „z czasem wyrazi zgodę na podpisanie zobowiązania [do współpracy – G.M.], pod warunkiem że uda się pozyskać jego zaufanie i pokonać opory psychiczne". Miały w tym pomóc materiały obciążające lub kompromitujące Tadeusza Pigułę, które zamierzał zbierać. Problem w tym, że przez blisko rok (do połowy lutego 1986 r.) takich danych nie udało się pozyskać... W tej sytuacji esbek był zmuszony wystąpić do przełożonych o zgodę na zakończenie rozpracowania szermierza.

Nie oznaczało to jednak końca zainteresowania Pigułą ze strony SB. Nowaczyk zamierzał „w wypadku zaistnienia sprzyjającej sytuacji operacyjnej" przeprowadzenie z nim kolejnych rozmów o charakterze operacyjnym lub rozpoznawczym. Tym bardziej że szermierz miał nie tylko „nie zgłosić żadnych zastrzeżeń" wobec „takiej formy kontaktów", lecz również zachować – zgodnie z wytycznymi esbeka – w tajemnicy dotychczasowe spotkania. Niestety nie wiadomo, czy do kolejnych spotkań doszło. Zachowana dokumentacja wskazuje, że raczej nie. W każdym razie 13 lutego 1986 r. rozpracowanie Tadeusza Piguły zakończono, a jego akta powędrowały do archiwum z następującym uzasadnieniem: „Nie uzyskano materiałów świadczących o prowadzeniu przez figuranta wrogiej działalności, brak możliwości pozyskania go w charakterze TW, zamknięcie możliwości operacyjnych (planowane zakończenie kariery sportowej)".

Pod koniec lat 80. Piguła ponownie znalazł się na celowniku. Tym razem jednak nie Służby Bezpieczeństwa, ale Wojskowej Służby Wewnętrznej. Ta – w ramach „operacyjnej ochrony" Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego Legia Warszawa – uzyskała, za pośrednictwem tajnego współpracownika „Klincz II" dane o jego podejrzanych kontaktach zagranicznych. Otóż w trakcie wyjazdu na turniej szermierczy w Bonn, w marcu 1989 r., jak wynika z doniesienia TW, Piguła miał nawiązać kontakt (spędzić noc) u Niemki, która „pracowała w bliżej nieokreślonej instytucji kontrolnej w Hanowerze", instytucji w rodzaju polskiej Najwyższej Izby Kontroli. W tej sytuacji 8 maja 1989 r. p.o. szef Oddziału II Zarządu I Szefostwa WSW Waldemar Pałys zdecydował, że należy „dokonać ustaleń i sprawdzeń Tadeusza Piguły", gdyż jak wynikało „z dotychczas uzyskanych" przez Wojskową Służbę Wewnętrzną informacji, jest on „osobą atrakcyjną dla służb specjalnych przeciwnika". Atrakcyjność z kolei miała wynikać z tego, że szermierz posiadał „bardzo dobre »układy« wśród władz partyjnych i państwowych województwa konińskiego".

Niestety dotychczas odnalezione akta WSW nie dają odpowiedzi na pytanie, jakie były efekty tych ustaleń, a także czy i jakie działanie wojskowa bezpieka podejmowała...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 88a0ab6d8b

NIEZNANA SZERZEJ KSIĘŻNICZKA MIAŁA DLA PRZYSZŁEGO MAŁŻONKA BEZCENNĄ WARTOŚĆ, CHOĆ NIE BYŁA NIĄ URODA

ANNA CYLEJSKA, ŻONA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY, I JEJ CÓRKA

MAREK BARAŃSKI

Królowa Jadwiga zmarła 17 lipca 1399 r. Po jej śmierci prawa Jagiełły do polskiego tronu mogły wydać się wątpliwe. Był on przecież królem dlatego, że ożenił się z potomkinią Piastów. Jagiełło zaczął nawet sugerować, że pozostawi tron Polski i wróci na Litwę. Tego jednak nie chciał ani on, ani Polacy. Unia z Litwą musiała być utrzymana! Aby zachować pozory ciągłości dynastii, znaleziono potomkinię Piastów mogącą być żoną króla Władysława. Była nią Anna, córka Wilhelma hrabiego Cilli, i Anny, córki Kazimierza Wielkiego.

Hrabstwo Cilli leżało na pograniczu obecnej Słowenii i Austrii, jego panowie od niedawna cieszyli się tytułem hrabiowskim. Choć ród ich miał posiadłości na tym terenie co najmniej od XII w., to jednak dopiero w 1341 r. przodek Anny, Fryderyk, otrzymał od cesarza Ludwika Bawarskiego tytuł hrabiego Cilli. Hrabstwo to było lennem króla niemieckiego.

Gdy Anna miała 14 lat, zmarł jej ojciec, a matka wyszła za mąż za Ulryka von Teck i opuszczając córkę, wyjechała do męża. Anną zaopiekował się jej stryj Herman I Cylejski. Niezbyt bogata potomkini drugorzędnego hrabiego, nie mogąc liczyć na atrakcyjnego męża, wiodła swój żywot na oddalonym od centrów ówczesnego świata dworze. Jednak, jak w bajce, zmieniło się jej życie, gdy w 1400 r. przybyło do hrabiego Hermana poselstwo z Polski, prosząc go o rękę jego bratanicy. Hrabia Herman oczywiście się zgodził, wydanie bratanicy za potężnego króla podnosiło jego prestiż.

Anna przybyła do Krakowa w połowie lipca 1401 r., jednak nie od razu odbył się ślub, gdyż Jagiełło bardzo się rozczarował, widząc swą narzeczoną. Anna nie była urodziwa. Zamiast się ożenić, król wyjechał na Litwę i tam oddawał się polowaniom. Podobno nawet myślał o zerwaniu narzeczeństwa. W tym czasie Anna, choć nie była pewna swojej przyszłości, intensywnie uczyła się polskiego. Jagiełło jednak się zdecydował i ślub odbył się w końcu stycznia 1402 r., a koronacja Anny – w lutym następnego roku.

Chyba jednak nie było to złe małżeństwo. Wiemy, że Anna towarzyszyła mężowi w jego podróżach po Polsce, brała udział w pracach związanych z chrystianizacją Żmudzi. W 1412 r. wraz z Jagiełłą doprowadziła do małżeństwa księżniczki mazowieckiej Cymbarki z Ernestem Żelaznym Habsburgiem i zorganizowała ślub młodej pary. Ponieważ jej kuzynka Barbara, córka Hermana II Cylejskiego, była żoną Zygmunta luksemburskiego, mogła ułatwiać rozmowy Jagiełły z cesarzem. Gdy w 1410 r. Zygmunt Luksemburski uwięził znajdujących się na Węgrzech polskich kupców, Anna wyjednała ich zwolnienie. Natomiast w 1412 r. brała udział w spotkaniu Jagiełły i Zygmunta w Lubowli.

W 1408 r. parze królewskiej urodziła się córka, nadano jej imię Jadwiga. Pięć lat później, na zjeździe w Jedlni, została ona ogłoszona następczynią tronu. Posiadanie córki jeszcze bardziej wzmocniło pozycję Jagiełły w Polsce, nie zachwiała jej już nawet śmierć Anny w 1416 r. Był przecież ojcem wywodzącej swój ród od Piastów Jadwigi, która po nim miała zostać królem Polski.

Gdy Jadwiga skończyła 11 lat, zaczęto się zastanawiać, za kogo ją wydać za mąż. Pierwszym kandydatem był Bogusław IX. Jednak książę pomorski nie mógł się zdecydować, czy ubiegać się o koronę polską, czy też o następstwo po Eryku pomorskim i panowanie w Szwecji, Danii i Norwegii. Ostatecznie nie uzyskał żadnej korony, pozostając tylko księciem słupskim. Niemal jednocześnie król Władysław i jego doradcy zwrócili uwagę na Fryderyka Hohenzollerna, syna margrabiego brandenburskiego. W 1421 r. został zawarty układ polsko-brandenburski, w którym postanowiono, że Jadwiga poślubi Fryderyka, gdy ten stanie się dorosły. Rok później Fryderyk przybył do Polski, aby uczyć się polskiego języka i polskich obyczajów. Jednak do małżeństwa nie doszło, przeciwny mu był cesarz Zygmunt, który obawiał się sojuszu polsko-brandenburskiego, a także książę Eryk pomorski liczący jeszcze na mariaż Jadwigi z jego kuzynem. Około 1430 r. król Cypru wystąpił z propozycją poślubienia Jadwigi przez jego syna. Związane z tym pertraktacje przerwała śmierć królewny. Jadwiga zmarła w 1431 r. zapewne na gruźlicę.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

HISTORIA PEWNEGO LOTU

MĘŻCZYZNA, WSPÓŁCZESNY CZŁOWIEK – JAKKOLWIEK PATRZEĆ. ZMĘCZONY? ŚPIĄCY? ZREZYGNOWANY SOBĄ, SWOIM POSTĘPOWANIEM, OTACZAJĄCYM ŚWIATEM? NIE WIEM I TA NIEWIEDZA BAWI MNIE, POPYCHA W STRONĘ NIEZOBOWIĄZUJĄCEJ REFLEKSJI

Fot. EAST NEWS/TIMOTHY A. CLARY/AFP

PAWEŁ ORZEŁ

Niejednoznaczność. Zagadka. Stopy w butach skierowane ku sobie, kolana oparte o podłoże, zewnętrze strony dłoni podobnie. I opuszczona głowa tuż nad ziemią. Otwarte, przymknięte oczy – kolejna rzecz, której nie mogę stwierdzić. Na pewno cała ta dziwaczna pozycja atakuje jakieś wyobrażenia o cielesnych możliwościach człowieka (a nawet rzeźby z brązu lub udającej brąz), naturalne wyczucie i zrozumienie grawitacji oraz zwyczajowe wizualne przyzwyczajenie. A wszystko to za sprawą upartego lotu niewielkiego czarnego ptaka. Przy moim dotkliwym deficycie wiedzy ornitologicznej zaryzykuję i uznam go za kosa zwyczajnego (Turdus merula) lub jednego z mniej zwyczajnych podgatunków, które i tak pozostają dla mnie nierozpoznawalne... Ale – najważniejsze – dokąd leci w pełnym majestacie zwierzęcia symbolicznie istotnego dla ludzi od dawnych kultur po Beatlesów? Skąd w nim tyle siły, by w niewielkim pazurach utrzymać za koszulę i ciągnąć (pod sobą) dorosłego człowieka? Po co w ogóle mu ten człowiek?

Mój Boże, skąd to wszystko?

W zaskakujący sposób 19 września 1929 r. świat doczekał się (który to już raz?) czegoś na kształt „nowego Adama" i „nowej Ewy". Dokładnie 90 lat temu niemiecki doktor medycyny (przy okazji oddany nietzscheanista) Friedrich Ritter (1886–1934) oraz jego pacjentka (diagnoza: stwardnienie rozsiane) i kochanka Dore Strauch (1901/2–1943) zamieszkali na bezludnej wyspie Floreana w archipelagu Galapagos. Wpływ na tę decyzję miały najpewniej niepokoje społeczne w Niemczech, kryzys ekonomiczny, kształtujący się hitleryzm oraz dojrzewająca w doktorze przez przeszło 20 lat niechęć do nowoczesnego społeczeństwa lub po prostu do ludzi. Na wybór miejsca mogła za to wpłynąć książka Williama Bebee'a „Galapagos: World's End" (1924; niem. wydanie w 1926).

Niełatwo stworzyć sobie raj na wyspie z kamienistym wybrzeżem, niełatwo też przekształcić dżunglę w ogród (nawet za pomocą nasion przywiezionych z Niemiec). Jeszcze trudniej chyba utrzymać relację między zdeterminowanym mężczyzną, który w chwilach wolnych od prac cielesnych oddaje się pracom intelektualnym nad wielkim filozoficznym dziełem (bodajże nieopublikowanym i zaginionym), a ciężko chorą kobietą, która słyszy wśród różnych pretensji, że siłą woli mogłaby pokonać swoje dolegliwości. W tych warunkach wyrosło „Friedo" (z zestawienia pierwszych sylab imion) – pierwsza XX-wieczna kolonia na Floreanie, której jedynym kontaktem ze światem była skrzynka na listy odbierane przez nieczęsto przepływające statki. Właśnie za sprawą tej korespondencji z rodziną i bliskimi do prasy niemieckiej (i nie tylko) dotarła informacja o: parze wariatów, nudystach, jaskiniowcach

eprasa.pl 88a0ab6d8b

(może nawet kanibalach?), ekscentrycznych (głoszony wegetarianizm nie był pewnie bez znaczenia) filozofach. Bolesne niezrozumienie.

Doktorowi Ritterowi i Dorze Strauch nie udało się więc „odzyskać Raju", nawet na kilku płaszczyznach: międzyludzkiej (brak miłości), bliskości z Naturą (wymagające, wyniszczające okoliczności przyrody) i – co może najgorsze – w ucieczce przed cywilizacją (rosnące zainteresowanie nimi, które w konsekwencji okazało się śmiertelne). Najpewniej w tych warunkach Adam-Zaratustra odnajdywał siły do pozytywnej ascezy – są nieodosobnione opinie o nim jako o człowieku wybitnym, wynalazcy i erudycie, choć miał się brutalnie przekonać o nieomylności stwierdzenia Goethego, że nie można ot tak, bezkarnie, opuścić świata.

(To chyba dobry moment, by przyspieszyć opowieść oraz wspomnieć o lokalnym, ekwadorskim wierzeniu, że najcharakterystyczniejsi mieszkańcy Galapagos, żółwie słoniowe – od nich zresztą nazwa archipelagu – potrafią wyczuć ludzi ze złymi intencjami i... rzucić na nich klątwę. Tak po prostu).

Diabeł nie mógł...

Wątpliwa sława samotników na końcu świata ściągnęła do ich „Raju" innych „kuracjuszy". Pierwszymi intruzami (rok 1932) była rodzina Wittmersów: Heinz i Margaret, syn Harry, z czasem kolejne dziecko (pierwsze urodzone na Floreanie). W żaden sposób nie podzielali oni surowych poglądów doktora Rittera (poza chęcią „odpoczynku" od cywilizacji), ten z kolei, chcąc mieć ich jak najdalej od „Friedo", wskazał im dogodne miejsce do zamieszkania w głębi wyspy, w dawnych pirackich jaskiniach. Praktyczna i skoncentrowana na sobie rodzina Wittmersów nie okazała się jednak takim utrapieniem jak udawana austriacka baronowa Eloise Wagner de Bousquet, która zaraz po przybyciu z dwoma sługusami kochankami ogłosiła się imperatorką. Nie trzeba sięgać specjalnie głęboko w rozumowanie logiczne, by wyobrazić sobie, jak na już napięte stosunki wszystkich wpłynęła obłąkana kobieta, krążąca z bronią palną po „swojej" wyspie i głosząca, że wybuduje hotel Hacienda Paradiso dla bogaczy z całego świata. Smętny ten obraz dopełniają mniej lub bardziej pożądane wizyty ze stojącej wyżej w dziedzictwie kulturowym wyspie Santa Cruz lub z innych regionów (też ze Stanów Zjednoczonych).

Long story short – po nocy okraszonej niepokojącymi krzykami „baronowa" z jednym z kochanków, pozostawiając cały swój dobytek, przepadają. Bohaterowie tej historii zaczynają patrzeć na siebie nieufnie (w tle od pewnego czasu obecne są intrygi uczuciowe), izolować jeszcze bardziej, podejrzewać wzajemnie o morderstwo, zwyczajnie popadać w psychozę. Tajemnicy nie udaje się rozwikłać, a drugi z kochanków Eloise Wagner chce czym prędzej opuścić wyspę, co kończy się tragicznie dla niego i pomagającego mu marynarza – wyrzuceni przez ocean na jeszcze mniej przyjazną wysepkę umierają z pragnienia. (Ich ciała przynajmniej odnaleziono...) Doktor Ritter, zmuszony przedłużającą się suszą, łamie dawne postanowienia i spożywa mięso – kawałek kurczaka ukazuje się tak niezdatny do trawienia, że niedługo później „nowy Adam" kona w męczarniach. Ale dlaczego to samo nie spotyka schorowanej Dory Strauch, która jadła to samo? Rozbieżności pojawiają się też w opisie ostatnich chwil doktora: jedna wersja mówi o chwilowej epifanii w trakcie agonii i pogodzeniu się z ukochaną, druga zaś, że ostatnimi siłami udało mu się jeszcze przekląć kobietę, która tyle lat go rozczarowywała.

Literacki finał

Po wszystkim. Dorota Strauch wróciła do Niemiec, opublikowała (ale po angielsku) w 1935 r. książkę „Satan Came to Eden", osiem lat później zmarła w szpitalu. Margaret Wittmer swoimi artykułami, a w końcu książką („Floreana", 1959) zadała kłam wyidealizowanemu obrazowi życia na wyspie i postanowiła już nigdy nie wracać do wydarzeń z początku jej osadnictwa. Niedługo przed śmiercią miała nawet powiedzieć do ciekawskich „En la boca cerrada no entran moscas" („Do zamkniętych ust nie wpadają muchy").

Korzystając z pewnych możliwości publicystycznych uproszczeń, można powiedzieć, że wszystko, przed czym ci ludzie uciekali, odnaleźli na końcu świata, bo przywieźli to ze sobą...

(W ramach uzupełnienia w podobnym nastroju dodam tylko, że los Masafumiego Nagasakiego, japońskiego 80-latka, żyjącego przeszło trzy dekady na bezludnej wyspie Sotobanari, którego siłą rząd japoński w 2018 r. „sprowadził do cywilizacji", wydaje mi się równie straszny. Tak po prostu).

I powrōt do początku

Opisane przeze mnie dzieło jest częścią większej instalacji rzeźbiarskiej zatytułowanej „Hacienda Paradise" (pierwszy raz zaprezentowana w Galleri Brandstrup w Oslo, 2017). Chyba bez ryzyka na większą kompromitację można założyć, że jej autor, Fredrik Raddum (ur. w 1973), miał przyjemność obejrzeć film dokumentalny „The Galapagos Affair: Satan Came to Eden" (reż. D. Geller, D. Goldfine, 2013; norw. premiera w 2014). Poruszając się wśród tych rzeźb, można dostrzec przekształcone przez frywolną wyobraźnię elementy powtarzane raz za razem w filmie: od żółwi lub pustej skorupy, kijów i narzędzi po dość poczwarnych Adama i Ewę, stojącą na dwóch ludzkich głowach „baronową", która wypluwa nad siebie szaleństwo w postaci złotej chmury, czy doktora Rittera zgniecionego od pasa w górę przez swoją wielką księgę i ostatnie wypowiedziane słowa. Całość zdaje się dość typowa dla artysty, który pełnymi garściami czerpie z późnego pop-artu, „komiksowego" (z braku lepszego słowa, ewentualnie „kreskówkowego") surrealizmu, który porusza się w sferze dekonstrukcji, żartu, absurdu, pornografii, luźnych skojarzeń, ale – jak sam zaznacza – jego rzeźby „drop subtle hints encouraging the viewer to think beyond the initial encounter" (pozostawiają subtelne wskazówki, zachęcające widza do rozmyślań poza pierwszymi wrażeniami).

Chyba z tym ostatnim aspektem możemy mieć najwyraźniej do czynienia w kontakcie z rzeźbą człowieka porwanego przez niewielkiego ptaka (od tytułu „Trans ī re" trzymam się umyślnie z daleka). Bez wątpienia jest to jedno z tych dzieł, które swoją formą wykracza, przewyższa w szerszej perspektywie podjęty temat (odwieczny uniwersalizm). Raddum siłą metafory obnaża porażkę Rittera i pozostałych uciekinierów, ale chyba próbuje też nam powiedzieć, że wszystko to, od czego oni chcieli żyć z dala (cywilizacja i własne demony z nią sprzężone), dziś jest niewiarygodnie spotęgowane. I co jeszcze? Można pójść parę kroków głębiej i wspomnieć, że według niektórych »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

wierzeń kos jako magiczny ptak (zwykły nie udźwignąłby przecież człowieka) posiadał właściwości uzdrawiające, pomagał w ukojeniu nerwów („Blackbird singing in the dead of night”...), odzyskaniu harmonii i pełnego potencjału twórczego. Według innych przekonań tylko przestrzegał przed utratą tych rzeczy (lub ją zapowiadał)... Są też i tacy, którzy wierzą, że złapanie kosa we śnie jest zapowiedzią dostatku. Ale co jeśli to kos złapie nas? Pozostawiając bez komentarza te hermeneutyczne meandry, chciałbym dodać, że w dobie, gdy socjologowie, psycholodzy, psychiatrzy, politolodzy i inni podobno równie niegłupi ludzie do znudzenia (i znieczulenia) narzekają, przestrzegają przed kondycją współczesnego społeczeństwa, widzę rzeźbę Radduma jako wyjątkową metaforę na te wszystkie problemy i kryzysy. Mało tego – właściwie widzę ją w śródmieściu lub jego okolicach w dowolnym dużym mieście w Polsce i na świecie. Dla śmiechu, dla refleksji, dla ozdoby – bo czemu nie?

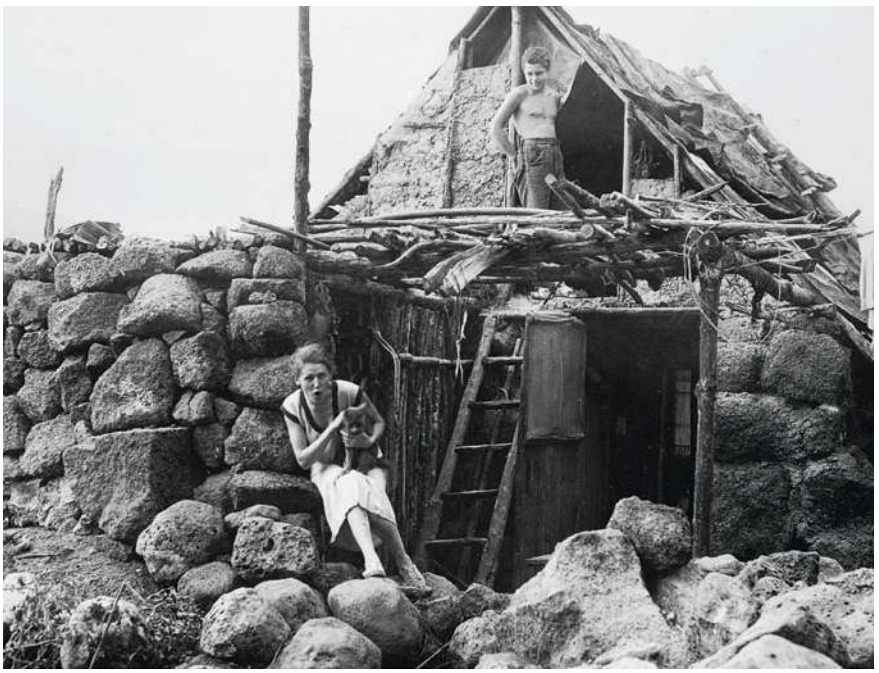

FOT. AP PHOTO/ EAST NEWS

Margaret Wittmer z 14-letnim niewidomym pasierbem Harrym przed ich domem na Wyspie Karola, Galapagos, 19 listopada 1934 r.

POLSKIM OKIEM

Polska–Ukraina: odwilż?

RYSZARD CZARNECKI

Oglądam wyborczą Ukrainę i przypominam sobie, jak pierwszy raz na wyborach byłem tam 17 lat (!) temu. To był zupełnie inny kraj i zupełnie inne społeczeństwo: wtedy Ukraina była częścią Wschodu, dziś westernizuje się niezależnie od zmiany prezydenta i rządu.

Ale też znacznie silniejsze niż wtedy są tendencje nacjonalistyczne. Choć akurat nowa głowa państwa, aktor grający prezydenta, który prezydentem został, może nie zostanie zakładnikiem nacjonalistów, jak Wiktor Juszczenko i Petro Poroszenko? Z czego wynika ta nadzieja? Izraelska prasa pisała po ostatnich wyborach prezydenckich, że Ukraina jest jedynym państwem – poza Izraelem – gdzie i premier (Hrojsman), i prezydent (Zełenski) to Żydzi. Eksperci przypominają, że ukraińscy nacjonaliści na Kresach Południowo-Wschodnich RP, mordując głównie Polaków, zabijali także Żydów. Życie pokaże, czy te nadzieje nie były płonne.

Pytam ambasadora UE w Kijowie Włocha Huguesa Mingarelli, co jest na dłuższą metę strategią Rosji wobec Ukrainy. Dyplomata nie waha się ani chwili: „Federalizacja” – odpowiada. Chodzi o to, aby z państwa unitarnego uczynić kraj z, powiedzmy, landami o bardzo silnej autonomii. W sposób oczywisty wschodnie regiony ciążyłyby gospodarczo i politycznie do Federacji Rosyjskiej.

Mnie jednak bardziej interesują relacje między moją Ojczyzną a naszym wschodnim sąsiadem, np. problem ekshumacji Polaków mordowanych przez Sowietów, a także samych Ukraińców. Przez 30 lat odbyły się tylko dwie takie ekshumacje! Pokazuje to, że także za rządów odległych od nacjonalizmu Kuczmy czy Janukowycza ta sprawa była równie trudna jak za rządów ludzi z „pierwszego” czy „drugiego” Majdanu. Teraz wreszcie jest kolejna, przy czym Polakom łaskawie dano status obserwatora. Skądinąd nie jest to zgodne z traktatem polsko-ukraińskim, który gwarantuje nam pełnoprawne uczestnictwo – ale to krok naprzód. Ciekawe, że strona ukraińska unikała ekshumacji także ofiar komunizmu. Czy ze względu na resentymenty prosowieckie na wschodzie kraju? Czy może bardziej dlatego, że kilkadziesiąt procent zamordowanych przez Sowietów na terenie Ukraińskiej SRS w latach 30. i 40. to Polacy?

Zełenski spotkał się już z prezydentem Dudą jeszcze jako prezydent elekt w polskiej ambasadzie przy UE w Brukseli. Teraz przyjeżdża do Polski w związku z 80. rocznicą napaści Niemiec na nasz kraj i wybuchu II wojny światowej.

Czy ta odwilż w naszych relacjach będzie trwała?

eprasa.pl 88a0ab6d8b

LEICA NA FRONCIE

FOTOGRAFIE NIEMIECKIE Z POLSKI 1939–1944

ZBIOROWA PAMIĘĆ JEST OPARTA NA OBRAZACH. HISTORIĘ II WOJNY ŚWIATOWEJ PAMIĘTAMY JUŻ W WIĘKSZOŚCI POŚREDNIO, BEZWIEDNIE ODWOŁUJĄC SIĘ DO ZNANYCH FOTOGRAFII, A NAWET POWOJENNYCH FILMÓW FABULARNYCH

JOANNA JASTRZĘBSKA-WOŹNIAK

Fotografia z okresu okupacji niemieckiej. Warszawa. Mały gazeciarz – chłopiec roznoszący „Nowego Kuriera Warszawskiego" śmiejący się do fotografującego go żołnierza

Przechodnie i żołnierze niemieccy na tle kamienicy przy skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej 98 i Alej Jerozolimskich 33

FOT. WSZYSTKIE ZDJĘCIA ZAMIESZCZONE W ARTYKULE POCHODZĄ ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Fotografie niemieckie współtworzą obraz mentalności ówczesnych „zwykłych" Niemców – żołnierzy i urzędników cywilnych, bez udziału których nie zbudowano by sprawnie działającego aparatu przemocy na ziemiach polskich

Obraz, który mówi. Żołnierz mocujący flagę amerykańską na wyspie Iwo Jima, jego sowiecki odpowiednik ze sztandarem radzieckim na berlińskim Reichstagu, chłopiec z uniesionymi rękami z likwidowanego warszawskiego getta, niemieccy wojskowi niszczący szlaban na granicy niemiecko-polskiej 1 września 1939 r. – to symbole, wizualne klucze otwierające kolejne drzwi naszych skojarzeń i pamięci. Wielkie mocarstwa już w połowie XIX w. rozpoczęły propagandowy wyścig na wojenne fotografie. Niemal tak szybko, jak doceniono walory dokumentu i obiektywnego przekazu, nauczono się manipulować fotografowaną rzeczywistością i naginać ją do celów politycznych. Z biegiem lat, kiedy po aparaty sięgnęli amatorzy – nie tylko bogaci hobbyści, ale także przedstawiciele klas niższych – oficjalny obraz wojny został skontrowany zapisem osobistym, daleko odbiegającym od wymogów i regulacji polityki państwowej. »

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Po prawej ruiny giełdy – Królewska 14, po lewej kamienica – Królewska 43 róg Zielna 51, Warszawa

Niemiecki monopol na wizerunek wojny – oficjalna fotografia z września 1939 r.

Niemiecki minister propagandy, przyboczny ideolog Adolfa Hitlera, Joseph Goebbels w pełni wykorzystał doświadczenia z fotografią frontową. Od czasu pionierów tej dyscypliny, a nawet od I wojny światowej, minęła cała technologiczna epoka, przynosząc wiele wynalazków i udoskonaleń w tej dziedzinie i czyniąc z Niemców lidera na światowym rynku fotografii. Wprowadzona w 1925 r. do masowej produkcji pierwsza małoobrazkowa, lekka lustrzanka Leica pozwoliła zawodowcom i amatorom na swobodne wykonywanie fotografii w warunkach polowych. Goebbels wybrał ten aparat jako podstawowe wyposażenie kampanii propagandowych (PK) złożonych z profesjonalnych fotoreporterów, których zdjęcia po ocenzurowaniu były powielane masowo nie tylko w rodzimej prasie. Polska Agencja Telegraficzna jako instytucja, w której gestii i możliwościach znajdowało się wykonanie oficjalnej fotograficznej dokumentacji, ewakuowała się ze stolicy wraz z polskim rządem 6 września. Konieczność wypełnienia tej luki dostrzegli nieliczni. Wacław Lipiński (szef propagandy Dowództwa Obrony Warszawy) i jego zleceniodawca prezydent Stefan Starzyński czynili próby sformowania ekipy filmowo-fotograficznej, a wielu fotografów na czele z Sylwestrem Braunem, Henrykiem Śmigaczem czy Janem Rysiem działało na własną rękę. Inicjatywy te nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu. Wrześniowy chaos, coraz trudniejsze warunki egzystencji w stolicy i utrata dokumentacji pod niemieckim ogniem sprawiły, że nie zdołano stworzyć polskiej przeciwwagi dla ikonografii wroga. W ten sposób pierwsze obrazy wojenne, które obiegły świat (były publikowane nawet w amerykańskiej prasie) były starannie przygotowane i wyselekcjonowane przez najeźdźcę. Dopiero wybitny fotoreportaż amerykańskiego dziennikarza Juliena Bryana, wywieziony przez autora z Warszawy i wyświetlany w amerykańskich kinach wiosną 1940 r., pokazał zagranicznej opinii publicznej tragiczną perspektywę ofiar.

Zwycięzca i pokonany. Przekaz wzmocniony kontrastem

Tymczasem to liczba, sugestywność i sprawna dystrybucja niemieckiego obrazu zdominowały wizerunek września 1939 r. Kadry wypełniały sylwetki równo maszerujących, uzbrojonych po zęby żołnierzy, nowoczesnego sprzętu wojskowego, arsenałów zdobytej polskiej broni. Wizerunek własny kontrowano zdjęciami ciągnących w pyle polskich jeńców, zabitych ułańskich koni, biedy polskich wiosek i ich mieszkańców. Sama Warszawa tuż po kapitulacji jawi się jako puste, nieme miasto, otwierające poddańczo swe ulice na defilujące wojska niemieckie, z wyróżniającymi się postaciami Adolfa Hitlera i generałów Wehrmachtu, odbierających honory lub pochylonych nad mapą miasta. W tle pojawia się zarówno wielkomiejska architektura jako wojenne trofea, jak i budynki zniszczone przez bomby i działa niemieckie jako symbol pokonanego miasta. Nie ma tu śladu po heroicznej obronie miasta, a jego mieszkańcy stanowią jedynie składową krajobrazu pokonanej wspólnoty, modlącej się przy ulicznych grobach lub przyjmującej chleb i zupę z pojazdów niemieckiej pomocy społecznej.

Największą uwagę niemieckich fotoreporterów skupiają żydowscy mieszkańcy stolicy. Zapotrzebowanie na wizerunek niezasymilowanego Ostjude (Żyda z Europy Wschodniej) jest formułowane w ściśle określonych wytycznych Ministerstwa Propagandy i nie słabnie od jesieni 1939 r. aż po Zagładę i likwidację polskich gett. Początkowo najbardziej pożądane są portrety Żydów przystające do teorii rasistowskich, sięgających jeszcze XVIII-wiecznego dyskursu o „charakterologii narodowej", a w okresie umacniania roli NSDAP w Niemczech legitymizowane przez różne dyscypliny naukowe. Decydentów interesuje tradycyjny ubiór i wygląd: chałat, kapelusz, pejsy i broda, charakterystyczne rysy twarzy, mające ucieleśniać ich inność i nieprzystawalność – mentalną, społeczną i biologiczną. Po wydzieleniu dzielnicy żydowskiej kompanie propagandowe przyjeżdżały tam fotografować i kręcić filmy. Sceny były często aranżowane i kreowane. Wszechobecną nędzę i śmierć na ulicach zestawiano z eleganckimi przechodniami lub wnętrzami i witrynami lokali rozrywkowych, w których pito i jedzono do syta. Te kontrasty w łonie społeczności żydowskiej nie były zjawiskami nieobecnymi, ale propaganda niemiecka czyniła z nich powszednią rzeczywistość, mającą wynikać ze zdegenerowanej samorządnej polityki i wzajemnych relacji w łonie żydowskiej wspólnoty. „Innych tematów nie zdejmują" – pisał w swoim dzienniku przewodniczący Judenratu Adam Czerniaków o „wizytach" fotografów PK.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Fotografie pamiątkowe z września – codzienność i zbrodnia

Tyle propaganda oficjalna – sprawna, operująca doskonałym technicznie i kompozycyjnie obrazem, wzorowanym na zdobyczach międzywojennego fotoreportażu prasowego. Jednak tyleż samo poddawana presji kontroli, cenzury i ostrej selekcji. Aranżowana, wybiórcza, zmanipulowana. Tym bardziej cenny dla badaczy i amatorów tematu jest zapis osobisty i pamiątkowy Niemców przebywających na terenie Polski w latach 1939–1944. Tematy uznane przez propagandę za szkodliwe, niebezpieczne lub po prostu nieistotne, były podejmowane przez niczym nieskrępowanych początkowo żołnierzy Wehrmachtu. Wykonywanie zdjęć i albumów upamiętniających życie rodzinne, służbowe lub dotyczące edukacji było powszechną praktyką w niemieckim społeczeństwie. Nie dziwi zatem, że obok fotoreporterów PK, biorących udział w ofensywie na Polskę, praktyka fotografowania była zjawiskiem niemal masowym również w szeregach amatorów z Wehrmachtu.

To amatorskie obycie z medium fotograficznym chcieli wykorzystać także dowódcy Wehrmachtu i przełożeni cywilnych urzędników przybyłych z Rzeszy do Generalnego Gubernatorstwa. Wykonywanie zdjęć w warunkach frontowych miało pomóc w oswajaniu obcego, wrogiego otoczenia, zacieśnianiu relacji w obrębie niemieckiej wspólnoty, zagospodarowaniu i normalizacji wolnego czasu. Podobnie jak dbałość zwierzchników o dobrze funkcjonujący system Feldpost (poczty polowej), przyzwolenie na prowadzenie dzienników i osobistych zapisków, fotografia pamiątkowa była częścią świadomie kreowanej i kontrolowanej sfery poczucia osobistej wolności, a dla żołnierzy jeszcze jednym środkiem komunikacji z rodziną. Posuwając się na Wschód, fotografujący żołnierze szukali potwierdzenia swoich antypolskich przekonań wpajanych im przez lata propagandy w okresie Republiki Weimarskiej i przetworzonych przez rasistowską ideologię w III Rzeszy. Fotografowali wszystko, co wydawało się przystawać do przypisywanych Polakom przywar, jakimi miały być: nienawiść do Niemców, gnuśność i niegospodarność (Polnische Wirtschaft). Na zdjęciach żołnierzy pojawiały się zatem błotniste, nieprzejezdne drogi czy ubogie galicyjskie gospodarstwa. Interesowały ich także lokalny folklor i odmienność, a przede wszystkim postacie ortodoksyjnych Żydów. W tej mierze stali się poniekąd naśladowcami fotografii prasowej, jakimi karmiły ich nazistowskie czasopisma. Jednak we wrześniu 1939 r. podejmowano również tematy, które z czasem uznane zostały przez dowództwo za niepożądane i zabronione. Chodzi o zbrodnie popełniane przez Wehrmacht w czasie kampanii polskiej. Najsłynniejsze cykle zdjęć pokazują kolejne etapy mordów dokonanych na jeńcach polskich w Ciepielowie 6 września oraz cywilach z Częstochowy i Końskich, kolejno 4 i 12 września. Fotografie te są nie tylko dowodem popełnionych czynów, ale także – przez brak zahamowań wobec wykonania i przechowywania takiej dokumentacji – świadectwem świadomego usankcjonowania zbrodni wobec polskiej ludności. „Śmierć na ulicy", mówi prosty i powściągliwy podpis autora na zdjęciu z serii częstochowskiej, ukazującym leżące na ulicy zwłoki. Mimo akceptacji i współuczestnictwa fotograf z Końskich, przedstawiając Żydów przed egzekucją i po niej, miał na tyle refleksji, żeby zwrócić obiektyw również w kierunku obserwujących scenę, rejestrując napięcie na twarzach kolegów oraz przerażenie Leni Riefenstahl, słynnej realizatorki filmowej, przygotowującej film na zlecenie Hitlera i mimowolnego świadka wydarzenia. »

Fotografia z okresu okupacji niemieckiej w Polsce. Niemieccy żołnierze przymusowo golący Żyda. Fotografie pokazują, że częstym obrazoburczym aktem wobec ortodoksyjnej ludności żydowskiej, szczególnie w okresie kampanii polskiej, było obcinanie bród i pejsów czy zmuszanie do pracy. Miejsce nieustalone

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Fotograficzna turystyka na targ i do getta

Wraz z krzepnięciem władz okupacyjnych emocje, jakie stały za naciśnięciem spustu migawki w trakcie wrześniowej ofensywy, zelżały. Życie przedstawicieli niemieckiej armii w miastach Generalnego Gubernatorstwa, dzielone między służbę pełnioną na warcie i patrolach a czas wolny, uległo względnej normalizacji. Najlepiej widać to na przykładzie takich miast jak Warszawa, gdzie obawy i dążenia dowództwa względem podwładnych doprowadziły do wyznaczenia pewnej życiowej rutyny, odzwierciedlonej również w ich aktywności fotograficznej. Dowództwo starało się ograniczyć kontakty stacjonujących wojsk z miejscową ludnością do minimum w obawie o zgubny wpływ autochtonów na dyscyplinę i morale żołnierzy. Wojskowe życie starano się zatem skupić w „koszarach i kantynie", jak pisze badacz tematu prof. Stephen Landstaedt, zarówno za pomocą regulaminu, jak i tworzenia komfortowej przestrzeni na wypoczynek i rekreację w obrębie własnego środowiska. Nie zdołano jednak zapobiec tzw. turystyce żołnierskiej, podczas której wojskowi z ciekawością eksplorowali miasto z aparatami fotograficznymi. Wykonane w tym czasie zdjęcia odzwierciedlają ich tryb życia, dzielony między służbę, spotkania w obrębie oddziału oraz wędrówki po mieście, do którego wymykali się spod stałej obserwacji zwierzchników. Na fotografiach żołnierskich z tego czasu widać przede wszystkim miasto, z jednej strony z jego zniszczeniami i zubożeniem, z drugiej z imponującą wielkomiejską architekturą. Niemieccy spacerowicze świadomie lub też bezwiednie rejestrowali na negatywie niemal wszystkie aspekty wojennych anomalii społecznych, takie jak uliczny handel starzyzną i pojedynczymi artykułami spożywczymi, warzywne ogródki w sercu miasta, riksze, dziwaczne zjawiska okupacyjnego ubioru dyktowane deficytami surowców czy w końcu wszechobecne ślady niemieckiej opresyjnej obecności. Sami Polacy na zdjęciach niemieckich zdają się grać rolę jedynie sztafażu czy anonimowej ciżby na tle tego niezwykłego krajobrazu prowizoryczności, biedy i erzacu normalnego życia. Niezaangażowanie w przedstawianiu Polaków było czasem przełamywane ironicznymi czy kąśliwymi komentarzami na rewersie zdjęcia lub na karcie albumu, jak podpis „Polnische Hamsterer" (polskie chomiki) na zdjęciu objuczonych tobołkami podróżnych z Dworca Gdańskiego, skąd wyprawiano się do podwarszawskich wsi po żywność pozwalającą przeżyć w mieście. Zdystansowany, niezaangażowany portret miasta pozostawiony przez niemieckich fotografów zdaje się odzwierciedlać ich tutejszy tryb funkcjonowania w oddzieleniu od właściwej rzeczywistości buforem reglamentowanych towarów, rozrywek i otoczeniem rodaków. Inaczej ukazywana jest ludność żydowska, nadal budząca niezdrowe zainteresowanie rekrutów z Wehrmachtu, nieprzywykłych do widoku ortodoksyjnej społeczności. Ta portretowana jest z bliska, z naruszeniem ludzkiej godności, jak okaz etnograficzny z nazistowskich publikacjach o cechach rasowych. Bramy getta przyciągają licznych niemieckich gapiów z aparatami, niektórym – mimo zakazu – udaje się przedostać za mur, gdzie fotografują przejmujące postaci głodujących i chorych, starców i dzieci, ciała dopiero co zmarłych na ulicy, wszechobecną nędzę.

Ruch uliczny w rejonie skrzyżowania Alej Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej. Ujęcie w kierunku wschodnim, Warszawa, jesień 1939 r.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Budy targowe na placu Mirowskim, między Halami Mirowskimi. Ujęcie z wylotu ulicy Mirowskiej w kierunku południowym, Warszawa

Co wtedy myślą? Czy nadal dominującym uczuciem są u nich wstręt i nienawiść, wpajane na każdym stopniu ich edukacji i formacji w III Rzeszy? Niektóre zdjęcia przedstawiają Żydów nie tylko przez pryzmat niechęci, ale eksponując rodzinne relacje, uśmiech dzieci czy kobiecą urodę, co sugeruje bardziej humanitarne, może nawet empatyczne spojrzenie. To są jednak pojedyncze świadectwa, które podobnie do pamiętników i listów Niemców takich jak Wilm Hosenfeld („dobry Niemiec" ratujący Władysława Szpilmana i innych). Przywołane obrazy zbrodni z września 1939 r. rzadko pojawiały się na kartach pamiątkowych albumów fotograficznych z okresu okupacji. Takie obrazy powstawały wśród szczególnie zdeprawowanych funkcjonariuszy SS i policji, a ich rola była częściowo albo podporządkowana budowaniu swojego wizerunku w oczach zwierzchników (albumy komendanta obozu w Treblince Kurta Franza ze zbiorów Instytutu Yad Vashem, esesmana Hermanna Baltruschata czy kierującego likwidacją getta warszawskiego Jürgena Stroopa – oba ze zbiorów IPN). Jednak również te „zwykłe", żołnierskie albumy przejawiały cechy dewiacji widoczne w swobodnym zestawianiu nieprzystających do siebie obrazów miejscowej nędzy i cierpienia z portretami śmiejących się Kameraden) z alkoholowych wieczorków w kantynie oraz nostalgicznie brzmiących tytułach – „Erinnerungen" („Wspomnienia"), „Aus der Geschichte der Kompanie" („Z opowieści kompanii").

Powojenne życie zdjęć

Wyobrażenie o tym, jak wyglądały Polska i Warszawa w wojennych latach, czerpiemy głównie ze zdjęć niemieckich. Swobodne fotografowanie przez Polaków w przestrzeni publicznej było niemożliwe. Przy rodzinnych i towarzyskich sesjach w plenerze należało uważać na to, by zbyt ewidentnie nie kierować obiektywu w stronę zniszczeń z czasu ofensywy niemieckiej, siedzib okupacyjnych władz wojskowych i administracyjnych. Swobodnie robić mogli to tylko niemieccy spacerowicze. Dokumentacja wykonywana z ukrycia przez tajne komórki fotograficzne Armii Krajowej przepadła w większości w wojennej pożodze. Dopiero jawna działalność powstańczych fotoreporterów i amatorów z szeregów AK pokazała szeroki, pełny obraz wojny z polskiej perspektywy.

Nieskrępowanie i swoboda żołnierzy, którzy oprócz mauserów i schmeisserów mieli na swoim wyposażeniu aparaty Leica, przyczyniła się do stworzenia bogatego źródła historycznego, będącego nie tylko świadectwem życia w okupowanej Polsce, ale dowodem, który zwrócił się przeciwko samym autorom. Zbrodnie, represje, codzienna przemoc przejawiająca się w każdym niemal aspekcie życia społecznego Polaków zawarte zostały na negatywach, odbitkach oraz odautorskich komentarzach w albumach. Wraz z pisanymi na gorąco wspomnieniami i listami współtworzą obraz mentalności ówczesnych „zwykłych" Niemców – żołnierzy i urzędników cywilnych, bez udziału których nie zbudowano by sprawnie działającego aparatu przemocy na ziemiach polskich.

Pierwsza okupacyjna zima i śnieg na ruinach z września 1939 r. W tle m.in. pozostałości kamienicy Zrazowskiego przy ulicy Nowy Świat 64. Przykład barwnej fotografii, wówczas jeszcze rzadkości, na kolorowych przezroczach Agfy

eprasa.pl 88a0ab6d8b

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Wywiady rzeki znowu w modzie! Paczkowski i Olszewski o swoim życiu

Patryk Pleskot, „Góry i teczki. Opowieść człowieka umiarkowanego. Biografia mówiona Andrzeja Paczkowskiego", Warszawa 2019, IPN;
Justyna Błażejowska, „Ta historia wciąż trwa. Wspomnienia Jana Olszewskiego", Poznań 2019, Zysk i S-ka

Gatunek wywiadu rzeki jest niewątpliwie popularny wśród polskich czytelników. Przyczyniła się do tego z pewnością książka Janusza Rolickiego zawierająca jego rozmowy z Edwardem Gierkiem, opublikowana w początkach polskiej transformacji ustrojowej. W kolejnych latach ostatniej dekady XX w. podobnych inicjatyw (mniej lub bardziej udanych) było wiele. Ich liczba nieco zmniejszyła się w ostatnich latach, choć z pewnością warto zwrócić uwagę np. na serię wywiadów rzek Roberta Krasowskiego z politykami takimi jak Jan Rokita, Leszek Miller i Ludwik Dorn. Wydanie dwóch nowych, ciekawych publikacji świadczy jednak o renesansie tego gatunku, tym bardziej że w obu możemy znaleźć sporo interesujących przemyśleń.

Książkę „Góry i teczki. Opowieść człowieka umiarkowanego. Biografia mówiona Andrzeja Paczkowskiego" przygotował Patryk Pleskot, doświadczony autor tego typu publikacji (warto sięgnąć po tom jego rozmów z Georges'em Minkiem). Już sam tytuł wiele mówi o zawartości tomu, gdyż życie historyka prof. Andrzeja Paczkowskiego koncentrowało się wokół dwóch zagadnień: chodzenia po górach oraz pracy naukowej, i to bynajmniej nie historia była na pierwszym miejscu! Także jego druga część jest wielce wymowna, gdyż warszawski historyk znany jest ze swojego wyważonego usposobienia. Publikacja obejmuje okres całego życia Paczkowskiego, od opisu środowiska rodzinnego (o silnych tradycjach lewicowych), przez studia i młodość, burzliwe lata 80., aż do czasów współczesnych zakończonych swego rodzaju rozliczeniem z przeszłością (własną i Polski pod rządami komunistów). Do najciekawszych wątków książki można w moim przekonaniu zaliczyć opis początków pracy naukowej prof. Paczkowskiego, koncentrujący się wokół dziejów prasy w II RP; wyjazdów do Francji w 1968 i 1972 r.; aktywności w latach 80., ze szczególnym uwzględnieniem tworzenia archiwum Solidarności; podejścia do pracy badawczej, a szczególnie opis w tym zakresie burzliwych lat 90., gdy otworzył się dostęp do dokumentacji dotyczącej dziejów Polski Ludowej. Warto nadmienić, że rozmowy są niezwykle ciekawe i wciągające, a tom nie jest przegadany (skróciłbym nieco tylko część dotyczącą podchodów ze strony SB).

Równie interesujące są wspomnienia Jana Olszewskiego: adwokata, obrońcy opozycjonistów w PRL, a potem znanego polityka, opracowane przez Justynę Błażejowską. Autorka podobnie jak Pleskot ma już na koncie podobne publikacje (zbiera i wydaje relacje środowiska prawicowej części KOR, mówiąc w pewnym uproszczeniu). W tym przypadku wywiad rzeka nie obejmuje jednak całości życia Olszewskiego, a autorka już we wstępie zapowiada wydanie kolejnej części. Rozmowy obejmują okres od opisu środowiska rodzinnego i młodości przyszłego premiera, przez pracę w „Po Prostu", do zajęć, jakich musiał się on imać po zamknięciu redakcji przez ekipę Gomułki. Wśród najbardziej interesujących wątków warto wskazać rozważania Olszewskiego na temat warunków życia w czasie II wojny światowej i pierwszych lat Polski pod rządami komunistów; okresu studiów w nienormalnych warunkach naporu marksizmu-leninizmu; pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości czy rzecz jasna działalności redakcji „Po Prostu" – jako fenomenu odwilży w PRL. Szczególnie cenne jest przedstawienie atmosfery terroru w czasach stalinowskich (Olszewski mówi, że pracując w komunistycznym Ministerstwie Sprawiedliwości, znalazł się „w niewoli u małp") oraz tego, jak powstawały najważniejsze teksty, w tym słynny tekst w „Po Prostu" z 11 marca 1956 r. „Na spotkanie ludziom z AK".

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Dwie nowe publikacje o Episkopacie Polski w setną rocznicę jego utworzenia

„100-lecie Konferencji Episkopatu Polski. Księga jubileuszowa", red. A.G. Miziński, Kielce 2019, Jedność;
Michał Białkowski, „Protokoły Konferencji Polskich Ojców Soborowych. Zbiór dokumentów 1962–1965", Lublin 2019, Gaudium

W 2019 r. upłynęła setna rocznica nieformalnego rozpoczęcia funkcjonowania Konferencji Episkopatu Polski. Z tej okazji KEP wydała okolicznościową publikację pod redakcją bp. Artura Mizińskiego zatytułowaną „100-lecie Konferencji Episkopatu Polski. Księga Jubileuszowa". Oprócz tego w tym roku ukazały się dwie inne warte uwagi publikacje książkowe na temat działalności tego gremium: „Protokoły Konferencji Polskich Ojców Soborowych. Zbiór dokumentów 1962–1965" przygotowane przez Michała Białkowskiego oraz „Episkopat Polski wobec stosunków państwo-Kościół i rzeczywistości społeczno-politycznej PRL 1970–1989" mojego autorstwa. O własnej książce pisał rzecz jasna nie będę, pozostawiając ją do oceny innych autorów, ale dwie pozostałe warto krótko omówić, gdyż znacząco uzupełniają naszą wiedzę na temat dziejów Kościoła w Polsce w XX w.

Księga jubileuszowa wydana przez KEP składa się z trzech części. Pierwsza dotyczy kształtowania się struktur episkopatu i jego statusu prawnego, kolejna prezentuje sylwetki czterech najbardziej charakterystycznych postaci wśród polskich hierarchów kościelnych na przestrzeni stulecia jego istnienia, kardynałów: Augusta Hlonda, Stefana Wyszyńskiego, Karola Wojtyły i Józefa Glempa. W ostatniej zaś znajduje się alfabetyczny katalog wszystkich polskich biskupów od 1918 r. do współczesności. Szczególnie cenne są teksty autorstwa ks. Stanisława Wilka i ks. Marka Stępnia o kompetencjach poszczególnych gremiów w ramach episkopatu na przestrzeni jego dziejów, ks. Bogusława Kozioła o prymasie Hlondzie. Mniej wnikliwe są artykuły poświęcone prym. Wyszyńskiemu autorstwa Ewy Czaczkowskiej i kard. Glempowi przygotowany przez Milenę Kindziuk. Pierwszy ze wspomnianych tekstów jest powierzchowny i nie zawiera właściwie żadnych nowych informacji o Prymasie Tysiąclecia, szczególnie brakuje szerszego opisu jego przywództwa w Episkopacie Polski. Drugi zaś koncentruje się tylko na wybranych aspektach działalności prymasa Glempa, takich jak jego działalność medialna i relacje z ks. Jerzym Popiełuszką, a brakuje innych niezwykle istotnych kwestii, takich jak relacje z Janem Pawłem II czy stosunki wewnętrzne w episkopacie, w okresie gdy pełnił on funkcję przewodniczącego Konferencji. Pewien niedosyt budzi brak omówienia sylwetek innych wybitnych postaci polskiego Kościoła, takich jak kard. Dalbor, kard. Sapieha, kard. Kominek, abp Baraniak czy abp Bronisław Dąbrowski. Mimo tych mankamentów tom uznaję za udany i interesujący, gdyż zawiera on najważniejsze informacje dotyczące działalności Konferencji Episkopatu Polski na przestrzeni stulecia jej dziejów.

Tom „Protokoły Konferencji Polskich Ojców Soborowych. Zbiór dokumentów 1962–1965" autorstwa Michała Białkowskiego składa się z trzech oddzielnych, ale wzajemnie uzupełniających się treści: przedstawienia Soboru jako wielkiego wydarzenia w dziejach Kościoła, charakterystyki protokołów posiedzeń polskich ojców soborowych jako źródła historycznego i wreszcie dokumentacji źródłowej w postaci 40 protokołów. Autor słusznie rozpoczął swą pracę od pogłębionego nakreślenia genezy Soboru. Wyczerpująco przedstawił także najważniejsze idee, które towarzyszyły jego organizatorom, oraz szczegółowo opisał struktury funkcjonujące w czasie i wokół Soboru. Omawiając działalność stronnictw, jakie wytworzyły się wtedy w Kościele, uniknął prostej dychotomii oceniania ich aktywności i wpisywania wszystkich wydarzeń w spór między tradycjonalistami i modernistami. Ten sposób prowadzenia narracji okazał się kluczowy, gdyż dzięki niemu Białkowski opisał w precyzyjny sposób działalność polskich ojców soborowych, która w żaden sposób nie wpisywała się w przytoczony wyżej schemat interpretacyjny. Analiza autora oraz dokumenty, które przedstawia, jasno pokazują, że rola polskiego Kościoła była w czasie Soboru znacznie większa, niż zwykło się sądzić, a działalność polskich ojców cechowała się spójnością i dobrze opracowaną strategią.

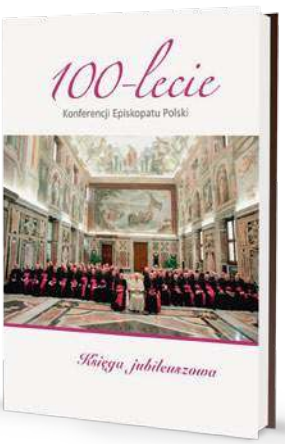

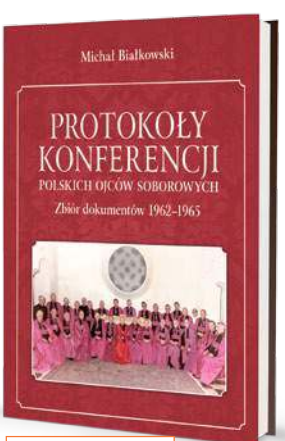

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tajlandia. Magia pamięci

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Tajlandia to pewien fenomen – z jednej strony kraj pozornie znany za sprawą skojarzeń wycieczkowo-wakacyjnych (by nie rzec, rodem z Houellebecqowskiej „Platformy"), choć dla sprawiedliwości dodajmy, że mniej liczni powiążą ją też z zabytkami Ajutthai, a nieliczni z ostatnimi latami życia genialnego muzyka. Z drugiej jednak strony mało rozumiany i rzadko u nas opisywany.

Dowód? „Dzieje Tajlandii" Chrisa Bakera i Pasuk Phongpaichit to bodaj pierwsze całościowe ujęcie historii tego kraju dostępne na polskim rynku wydawniczym. Autorzy – prywatnie małżeństwo, wielce zasłużone w tłumaczeniu ludziom Zachodu kultury Wschodu – wykazują rzadką pokorę i rozwagę. Nie starają się epatować czytelników tysięcznymi przypisami i wymyślnymi wywodami, nie popadają ani w protekcjonalny, ani nazbyt hermetyczny ton. Zaczynają od samych początków osadnictwa (2500 lat p.n.e.), przedstawiają etniczną mozaikę ludności dorzecza Menamu, pojęcie mueangu (miasta-państwa, rządzonego przez władcę – jao), opowiadają o łączeniu się mueangów w konfederacje oraz o toczących się między nimi wojnach, o skomplikowanym „szkatułkowym" systemie budowania politycznych wpływów. Przypominają, że w XVII w. Ajutthaja stała się prawdopodobnie największym miastem Azji Południowo-Wschodniej i z pewnością jednym z najbardziej kosmopolitycznych centrów regionu; opisują dramat jej unicestwienia w XVIII w. przez Birmańczyków i to, jak obrócenie politycznego i religijnego centrum w „stosy ruin i popiołu" naznaczyło pamięć jej mieszkańców. Przedstawiają dworskie rytuały i otaczającą monarchię aurę tajemniczości, skomplikowaną strukturę urzędniczą, powracające tendencje militarystyczne, system poddaństwa, pozycję kobiet, rozwój handlu i rolę buddyzmu. Czy tylko dla odmalowania lokalnego kolorytu? Nic podobnego. Wszystko to okaże się bowiem niezbędne do zrozumienia późniejszych dziejów Tajlandii, którym autorzy poświęcają najwięcej miejsca. Czy XX-wieczna Tajlandia przeszła modernizację i znalazła się w orbicie zainteresowań rywalizujących bloków? Bez wątpienia. Czy wielka polityka światowa miała wpływ na dokonujące się tam przemiany polityczne i społeczne? Oczywiście. Czy jednak jej znajomość wystarczy, by wyjaśnić toczące się w Tajlandii wtedy i teraz spory? Otóż nie, i błędem byłoby lekceważenie tego, jak przywódcy konkurujących grup – zarówno rojaliści, jak i ludowi nacjonaliści, komuniści i wojskowi – czerpali (i wciąż czerpią) z symboliki i historii. I to właśnie pięknie pokazuje ta książka.

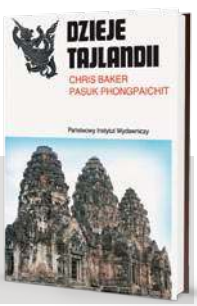

„Dzieje Tajlandii", Chris Baker, Pasuk Phongpaichit, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2019

Cień wojny

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Seria „Wojny dorosłych – historie dzieci" wzbogaciła się o kolejną pozycję. To książka „Mała wojna" Katarzyny Ryrych. Jej akcja przenosi nas w czasy II wojny światowej, do niewielkiej willi na obrzeżach Lwowa.

Mieszkają tam trzy pokolenia kobiet: babcia, mama i córki – Janeczka i Lilka. Dziewczynki dorastają w trudnych czasach, ale otoczone są babcinym i matczynym ciepłem. Kobiety, mimo dramatu, który dzieje się wokół, starają się żyć w pewnym rytmie, wyznaczanym chociażby przez coroczne smażenie powideł. Ich zmaganiom towarzyszy jednak niepokój o losy dziadka oraz ojca dziewczynek, którzy zaginęli na początku wojny. Janka i Lilka chodzą na lekcje muzyki do sąsiada nazywanego Maestrem, bardzo surowego i wymagającego nauczyciela. Podczas jednej lekcji dziewczęta zauważają działanie sił nadprzyrodzonych, słyszą tajemnicze szepty, szelesty i inne dźwięki. Początkowo myślą, że figle płata im własna wyobraźnia, postanawiają więc przeprowadzić śledztwo. Niczym detektywi szukają śladów, próbują się dowiedzieć, jaką tajemnicę kryje dom nauczyciela muzyki. Zauważają, że z domowej kuchni znika walizka, pan Stefan zaczyna pić mleko, a w ogrodzie pojawiają się dziwne postaci. Babcia nie ułatwia im śledztwa, wnuczkom się wydaje, że sama coś przed nimi ukrywa. Mama podobnie. Później się okazuje, że obie są zaangażowane w działalność, którą mogą przypłacić życiem. Starają się, by dziewczynki nie wiedziały o niej zbyt wiele, bo ważne jest zachowanie tajemnicy.

Pewnego dnia Janka spotyka w ogrodzie chłopca – Adama (Uriasza) i tak dziewczynki dowiadują się, że w domu Maestra ukrywają się dzieci, a on sam pomaga im załatwić fałszywe dokumenty. Pan Stefan pewnego dnia znika ze swoimi podopiecznymi na dobre. Jakie były ich dalsze losy? Nie wiadomo.

Tak jak w innych książkach tej serii, u jej źródeł leży prawdziwa historia, opowiadana przez babcię autorki. Niesamowite jest to, że w archiwum rodzinnym zachowało się zdjęcie Maestra w otoczeniu ukrywanych dzieci i to ono stało się pretekstem do opisania tej historii, będącej tak naprawdę opowieścią o tym, że warto być dobrym człowiekiem i bez względu na to, co się dzieje, nie zapominać o bliźnim.

Katarzyna Ryrych, „Mała wojna", Ilustracje: Joanna Rusinek. Wydawnictwo Literatura, Łódź, 2019. Wiek 8+

117/0119/F

eprasa.pl 88a0ab6d8b

Ból, głód, ryzyko, człowieczeństwo

TOMASZ KARPOWICZ

„Nigdy nie zapomnę tych szeroko otwartych, spłoszonych oczu. Rozbieganych, niepewnych. Niczym u zaszczutych, ściganych zwierząt"; były to oczy żydowskich dzieci, uratowanych z warszawskiego Getta. Opowiedziała o nich Wanda Kołomijska z domu Turczyńska – jedna z „Dziewczyn Sprawiedliwych", bohaterek książki autorstwa Anny Herbich.

„Dziewczyny Sprawiedliwe" to zbiór opowieści siedmiu polskich kobiet, które w czasie II wojny światowej zaryzykowały własne życie, by nieść pomoc Żydom. Herbich zebrała wspomnienia pokazujące wstrząsający obraz niemieckiej okupacji i dramatu Holocaustu, opowiedziane przez kobiety, które ryzykowały życie swoje i najbliższych, by ratować innych. W świecie, w którym za człowieczeństwo groziła kara śmierci, te polskie kobiety zdobyły się na wyżyny heroizmu, bo ryzykując losem swoim i najbliższych, wraz z rodzinami ocaliły wiele ludzkich istnień. Każda z historii ma własne, wyjątkowe tło. Pokazuje też rzeczywistość okupowanej Polski, w której śmierć czyhała na każdym rogu.

To również opowieść o utraconym już świecie. Państwa, którego integralną częścią była społeczność żydowska. Z dnia na dzień sąsiadom, przyjaciołom, obywatelom polskim, wyłącznie z powodu ich pochodzenia etnicznego, odmówiono prawa do bycia ludźmi.

„To byli Żydzi. Skazani na śmierć tylko ze względu na swoje pochodzenie. Groziła im zawsze i wszędzie. Nawet na chwilę nie mogli się czuć bezpiecznie. [...] Uważałyśmy, że naszym obowiązkiem jest udzielanie im pomocy" – czytamy w jednej z opowieści.

Bohaterki uhonorowane tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata pochodziły z różnych środowisk, różnych miejsc Polski, a przed wojną żyły w często skrajnie różnych warunkach. Tak jak i ludzie, którym niosły pomoc. Byli to zarówno ubodzy Żydzi, jak i reprezentanci bogatszej części tej społeczności. Żadna z ich historii nie jest porywającą opowiastką o romantycznym bohaterstwie wojennym. Przeciwnie, ich życie to ból, głód, ryzyko, śmierć najbliższych, utrata rodzinnego domu. Widzimy trudy dnia codziennego, które spotykały ludzi chcących ratować nie tylko siebie. W świecie opanowanym przez niemieckich „nadludzi", wspieranych przez szmalcowników, donosicieli i antysemickich banderowców nic nie mogło być proste, poza jednym wyborem: być człowiekiem, zawsze solidarnym z innymi ludźmi, także cierpiącymi i zaszczutymi.

REKLAMA

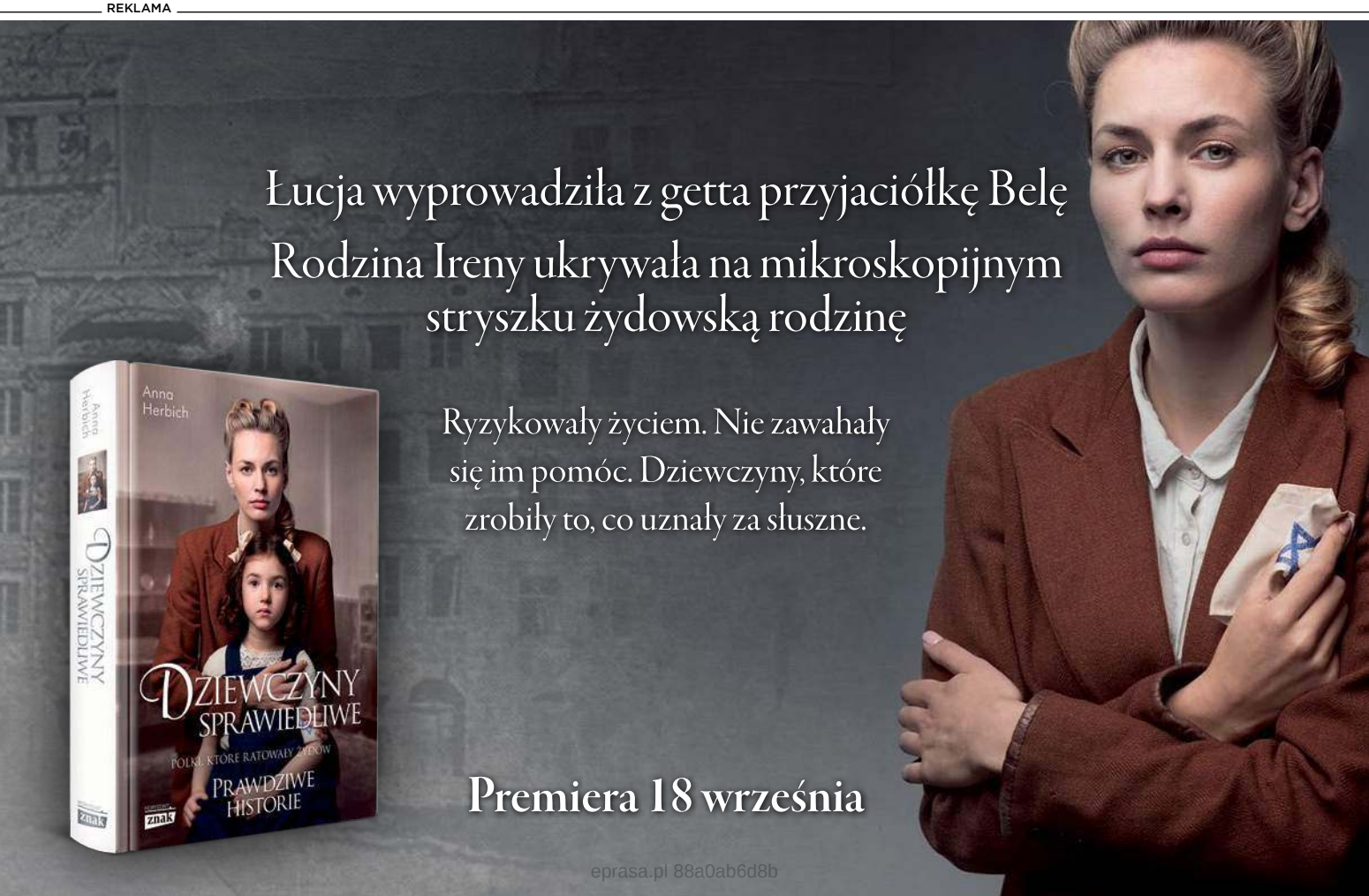

eprasa.pl 88a0ab6d8b

FINOWIE NA WOJNIE

FILM „TALI-IHANTALA" Z 2007 r. UKAZUJE FIŃSKIE DOŚWIADCZENIE CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ. TAK JAK KRAJE BAŁTYCKIE FINLANDIA MUSIAŁA WÓWCZAS POSTAWIĆ NA WSPÓŁPRACĘ Z HITLEREM, ABY ODEPRZEĆ ZAKUSY TOTALITARNEGO KOMUNIZMU W WYDANIU SOWIECKIM. W PRZECIWIEŃSTWIE DO LITWY, ŁOTWY I ESTONII WOJSKA NIEMIECKIE NIE OKUPOWAŁY FIŃSKIEGO PAŃSTWA. DLATEGO TA WSPÓŁPRACA BYŁA W GŁÓWNEJ MIERZE LIMITOWANA, I TO NA FIŃSKICH WARUNKACH

KAROL MAZUR

Finlandia musiała się zmierzyć ze Związkiem Sowieckim już pod koniec 1939 r., kiedy po odrzuceniu ultimatum Stalina Finowie musieli odeprzeć sowiecką agresję w czasie tzw. wojny zimowej. Choć stracili wówczas sporą część swego terytorium, to udało się im uratować niepodległość. W następnych latach Finowie starali się nie drażnić swojego potężnego sąsiada. Toteż sceptycznie odnosili się do propozycji ścisłego sojuszu z Hitlerem, który planował atak na Związek Sowiecki. Ostatecznie zdecydowali się przystąpić do wojny dopiero wówczas, kiedy ich terytorium zostanie zaatakowane pierwsze. Do takiej sytuacji doszło po 22 czerwca 1941 r. Po napaści Niemiec na ZSRS Stalin rozkazał swojemu lotnictwu zbombardować fińskie miasta, co stało się przyczyną przystąpienia Finlandii do tzw. wojny kontynuacyjnej (jatkosota). Finowie nie byli jednak zainteresowani ani wysyłaniem swoich wojsk na inne areny ofensywy prowadzonej przez siły III Rzeszy, ani wcielaniem niemieckiej polityki antysemickiej. Ograniczyli swoją współpracę z Hitlerem do walki o odzyskanie ziem utraconych w 1940 r. oraz wpuszczenia do Laponii oddziałów niemieckich, które miały za zadanie blokować rosyjski port w Murmańsku. Do końca 1941 r. Finowie zrealizowali swoje cele i front zatrzymał się na linii rzeki Świr i jeziorze Onega we wschodniej Karelii. Sytuacja odwróciła się dopiero w 1944 r., kiedy wojska sowieckie po odparciu Niemców w środkowej i południowej Rosji przystąpiły od ofensywy na północy. Na początku czerwca Armii Czerwonej udało się przełamać front i zepchnąć Finów w głąb swego terytorium. Jednak armia fińska szybko zorganizowała nową linię obrony. Do końca czerwca Sowieci nie byli w stanie jej przełamać. W tym czasie bowiem ruszyła ofensywa Armii Czerwonej na Białorusi i ich siły zostały przerzucone na zachód. W tej sytuacji na froncie fińskim został zawarty rozejm. Po wojnie Finowie ponownie musieli poczynić na rzecz Związku Sowieckiego znaczne ustępstwa, ale zachowali ograniczoną suwerenność.

Film Ake Lindmana opowiada o wydarzeniach z czerwca i lipca 1944 r., kiedy ruszyła sowiecka ofensywa na północ. Po przełamaniu fińskiej linii obrony Armia Czerwona stanęła w lesie w pobliżu dwóch wiosek Tali i Ihantala, gdzie została stoczona decydująca bitwa, która zaważyła na losach Finlandii. Film jest dość wierną rekonstrukcją wydarzeń. Jego bohaterami są zarówno zwykli fińscy żołnierze, jak i dowódcy z samym marszałkiem Karlem Mannerheimem na czele (tekst o nim czytaj na str. 70). Widzimy zatem nie tylko walki na froncie, lecz także rozważania sztabowców nad właściwą strategią działania. Największe wrażenie robią jednak sceny bitewne. Możemy zobaczyć, w jaki sposób Finowie wykorzystywali warunki leśne do urządzania zasadzek i powstrzymywania przez dłuższy czas mającego sprzętową i liczebną przewagę przeciwnika. Przy czym twórcy produkcji zastosowali na planie oryginalną broń pancerną – rosyjskie czołgi T 34 i KV oraz niemieckie działa szturmowe – StuG III. „Tali-Ihantala" nie jest jednak filmem wybitnym w warstwie fabularnej. Nie mamy tu jednego czy paru bohaterów, których losy moglibyśmy śledzić z zapartym tchem. Oglądamy losy kilkunastu postaci, których rysy psychologiczne zostały dość słabo naszkicowane. Pod tym względem „Tali-Ihantala" znacznie odbiega od opisywanej już w tym cyklu również fińskiej „Wojny zimowej", gdzie skutki wojny pozostawiły na bohaterach trwały ślad psychiczny. Film Lindmana ma przede wszystkim walor edukacyjny. Reżyser zadbał, aby widz został wprowadzony w kontekst historyczny. Zarówno na początku, jak i na końcu filmu dowiadujemy się, w jakiej sytuacji znalazła się Finlandia podczas wojny i co udało się jej osiągnąć po jej zakończeniu. Film odtwarza wydarzenia chronologicznie, unikając tak modnych teraz eksperymentów z mieszaniem kolejności zdarzeń. „Tali-Ihantalę" warto zatem obejrzeć przede wszystkim dlatego, że pokazuje unikatowe doświadczenie kraju, który w starciu z totalitaryzmem sowieckim uratował swoją suwerenność i nie zhańbił się współpracą z Niemcami, wcielając nazistowską politykę ludobójstwa wobec ludności żydowskiej.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

GÓRNA PÓŁKA

Zagadka Sierowa

ANTONI DUDEK

Oficjalna wersja jest następująca. W 2012 r. wnuczka generała NKWD i pierwszego szefa KGB Iwana Sierowa robiła remont odziedziczonego po dziadku domu. W jego trakcie znaleźć miano w garażu skrytkę mieszczącą dwie walizki z prywatnym archiwum Sierowa.

Na podstawie jego rękopisów powstała książka, której publikacja już w samej Rosji wywołała kontrowersje. Niektórzy specjaliści zakwestionowali bowiem autentyczność całości zapisków, twierdząc, że jest to apokryf oparty na znacznie krótszym życiorysie, jaki Sierow miał napisać, gdy w 1963 r. popadł w niełaskę u Chruszczowa i stracił wszystkie zajmowane stanowiska. Jednak nawet zakładając, że znacząca część tej książki została po latach spreparowana lub co najmniej mocno ocenzurowana, to i tak jest to lektura interesująca.

Jest to bowiem do pewnego stopnia historia sowieckiego Eichmanna, co bodaj najlepiej pokazuje rozdział opisujący kierowaną przez Sierowa deportację nadwołżańskich Niemców, Kałmuków, Tatarów krymskich, Czeczenów i Inguszów. Jeśli kogoś oburza to porównanie, to warto przypomnieć, że w tej deportacji zginął procentowo większy odsetek Tatarów krymskich niż Żydów w konsekwencji Holocaustu. A wszystko to udało się przeprowadzić bez komór gazowych i obozów zagłady, co Stalin docenił, przyznając Sierowowi ordery Czerwonego Sztandaru oraz Suworowa I stopnia. Wódz, jak konsekwentnie nazywa Stalina sam Sierow, w tym ostatnim przypadku wykazał się właściwym sobie poczuciem humoru, order Suworowa bowiem nadawano oficjalnie wyłącznie za szczególne zasługi w dowodzeniu wojskami na polu bitwy.

„Z powodu tych zdrajców-odszczepieńców nie należało wysiedlać całych narodów" – to najostrzejsza samokrytyka, na jaką pozwala sobie Sierow, zaraz jednak dodając: „Jeżeli chodzi natomiast o stwierdzenie, że gdzieś tam jakoby miały miejsce rozstrzeliwania, to takie fakty nie są mi znane". I tak jest w całej książce. Jeśli nawet Sierow bywał świadkiem tortur czy zabójstw, to po pierwsze, był temu z zasady przeciwny, a po wtóre, były to zjawiska marginalne. Można się na to zakłamanie autora czy autorów oburzać, ale dobrze oddają one mentalność człowieka wciągniętego w tryby totalitarnej machiny władzy.

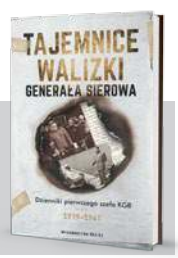

„Tajemnice walizki generała Sierowa. Dzienniki pierwszego szefa KGB 1939–1963", Wydawnictwo REA-SJ, Konstancin 2019

JASNA SCENA

Teoria suspensu

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

To jedna z gorszych teatralnych sytuacji: napięcie rośnie, budzi się nadzieja na coś więcej, ale finał okazuje się banałem.

Nie mam pojęcia, skąd u dyrektorów teatrów bierze się ta chęć dobierania tekstów wedle klucza, nazwijmy to, broadwayowskiego. Tak, jakby dramat, który za chwilę ma zostać wystawiony na ich scenie, miał być propozycją nie do odrzucenia. No bo jeśli autor sztuki odniósł sukces w Nowym Jorku czy Londynie, nie ma powodów, by nie zrobił oszałamiającej kariery w Warszawie. Widziałem już tych szumnych zapowiedzi setki i za każdym razem, gdy afisz bije w oczy taką reklamą, nabieram coraz większych podejrzeń. Choć zdarzały się wyjątki.

Tym razem Teatr Ateneum kusi nazwiskiem Dawn King, która podbiła offowy West End dramatem „Łowca", który stanowi mieszankę Orwella, Lyncha i Tarkowskiego jednocześnie. Tylko do pewnego stopnia piszę to ironicznie. Jeśli ktoś, kto w ten sposób stara się sprzedać spektakl i jest pewny tego, jak go promuje, może być również pewien, że tytuł jakoś przemówi do widza: ostrym przesłaniem, podwójnym znaczeniem, przewrotną konkluzją itd. A jeśli dorzucić do tego dobre aktorstwo, sukces murowany. Zwą to teatrem środka i niektórzy nawet – nie bez krzty racji – utrzymują, że to teatr najważniejszy, bo z definicji zbiera największą liczbę widzów.

Nie tylko mnie martwi to, że teatru środka dziś praktycznie nie ma. Za to jest sporo przedstawień, o których nie da się powiedzieć, czym są, starając się nim być. „Łowca" nie jest ani kryminałem, ani thrillerem, ani opowieścią s-f, mimo że obiecuje te wszystkie gatunki naraz. Świat powszechnej inwigilacji, w którym każdy człowiek jako samodzielna jednostka przestaje cokolwiek znaczyć, to dla King temat, który ma widza zwabić niczym przynęta rybę. Pewnie dlatego, że mniej więcej w połowie tekstu autorka nie wie, co dalej zaproponować. Jej bohaterowie zostają uwikłani w dziwaczny szantaż aparatu państwowego. Jednak oczekując frapującego rozwiązania zagadki, otrzymujemy finał rodem z telenoweli. Oto prawda o władzy: zawsze działa z niskich pobudek. Odkrywcze? Po co był reżyserowi Wojciechowi Urbańskiemu ten westendowski hit? Do tej pory przeważnie wybierał świetnie.

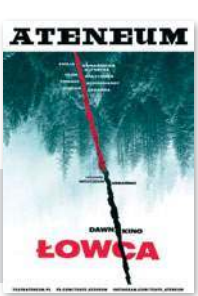

Dawn King, „Łowca", reż. Wojciech Urbański Teatr Ateneum (Scena 61), premiera: 11 maja 2019

eprasa.pl 88a0ab6d8b

BAROKOWY ABSOLUTYZM ELŻBIETY Z GOSTOMSKICH SIENIAWSKIEJ

JOANNA PUCHALSKA

GDYBY BYŁA MĘŻCZYZNĄ, OBRAŁABY STAN RYCERSKI I BŁĘDY HERETYKÓW TĘPIŁA. ALE BYŁA NIEWIASTĄ

Elżbieta Łucja, córka wojewody rawskiego Anzelma Gostomskiego wyznającego kalwinizm, wiarę wzięła po matce żarliwej katoliczce. Wydano ją za późniejszego marszałka nadwornego koronnego, Prokopa Sieniawskiego. Mąż był kalwinem, podobnie jak jej ojciec. Słynął z niepospolitej siły, tak że jednym zamachem potrafił przeciąć na pół konia lub wołu, a karetę poszóstną z góry rozpędzoną hamował, ująwszy za koło. Młoda żona gorliwie pracowała nad nawróceniem swego ślubnego heretyka, w czym wspierali ją ojcowie jezuici. Wspólne wysiłki odniosły skutek i przed zgonem pan marszałek zdążył się pojednać z Kościołem. Umarł w 1596 r., nadwerężywszy się podczas popisu swej nadludzkiej siły, pozostawiając 23-letnią wdowę i nieletnie dzieci. Dwójka z nich wkrótce też zmarła, zostały dwie córki: Zofia i Elżbieta.

Oświadczyny szlacheckie

Po śmierci męża zaroiło się od konkurentów. Jeden z nich, świadom niełatwego charakteru wdowy, przybył w swaty w asyście 600 szabel, obmyśliwszy sobie, że jeśli dostanie odkosza, to jejmość siłą uprowadzi, zniewoli, po czym do ślubu przymusi i tak rzecz się zalegalizuje. Pani zawczasu uzbroiła czeladź, kazała czekać w pogotowiu, a gościa poprosiła do stołu. Gdy jął do celu zamierzać, uraczyła go celną uwagą, jak to „jeden zuchwalec wdowę porwał, za co w Warszawie łeb mu ścięto". Po czym sięgnęła po wiszącą na ścianie rusznicę i dała umówiony znak czeladzi. Na takie dictum zalotnik czym prędzej się oddalił.

Pobożność w duchu epoki

Pani Sieniawska wiele się modliła, spowiadała się i komunikowała w każdą niedzielę i święto. Spała cztery godziny na dobę i na podłodze. Idąc spać, gasiła świecę na własnym ciele, zadany ból ofiarowując za grzeszników. Wstawała o drugiej w nocy i dwie godziny trawiła na pobożnym rozmyślaniu. Po śniadaniu spędzała na modlitwie parę godzin, po obiedzie dalej się modliła, a wieczór poświęcała na książki duchowne i rozmowy nabożne z dziatkami i czeladzią. Nosiła włosiennicę, trzy dni w tygodniu pościła i suszyła. Aby pychę swą upokorzyć, kazała służebnym, by jej dawały dyscyplinę, a przy tym w gębę mocno biły, co też czyniły z należną wielmożnej pani reweren-cją, podczas gdy ona pokornie na ziemi siedziała.

Jak na pobożną panią przystało, trzymała u siebie sieroty ubogie, bywało nawet, że w liczbie 80. Gdy dorosły, dawała je do klasztoru albo w stan małżeński, opatrując każdej posag. Sama im posługiwała, myjąc je i czesząc, ścieląc łóżka, paląc w piecu, szorując garnki. Wielki afekt miała dla relikwii i gromadziła ich ilości nieprzebrane. Klasztorowi w Sandomierzu ofiarowała nie żadne kostki czy strzępki, lecz cztery kompletne szkielety.

Panny córki do klasztoru

Chowała je w żarliwości religijnej i umyślnie ostro. Lada o co łajała, biła i zawstydzała, by zbrzydziły

FOT. MUZEUM DIECEZJALNE SANDOMIERZ

eprasa.pl 88a0ab6d8b

sobie pobyt w świecie i same naparły się do zakonu. Jej brat przyrodni Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, godził się na oddanie Elżbiety do klasztoru, ale sprzeciwiał się planom co do Zofii, dla której miał upatrzonego męża. Próbowali nawet krewni siłą marszałkową zajechać i Zofię zabrać, lecz matka zbrojnie broniła dostępu. Gdy nareszcie panny wyraziły chęć przywdziania sukni zakonnej, natychmiast przyjęła na służbę więcej czeladzi, na wypadek gdyby wuj próbował siłą Zofię odbić. W potrzebie mogła teraz wystawić nawet 800 ludzi prywatnej milicji.

Wybrała klasztor w Chełmnie, gdzie ksienią była matka Magdalena Mortęska. Córki wywiozła w tajemnicy. Jechały okólnymi drogami, trzymając na kolanach chroniące przed niebezpieczeństwem relikwie. Zofia dzierżyła skrzyneczkę ze szczątkami św. Konkordii, Elżbieta miała przydzieloną św. Antoninę Męczennicę, pani marszałkowa zaś nie wypuszczała z rąk kości św. Bonifacjusza Męczennika oraz dłoni św. Erazma Biskupa.

Dotarły szczęśliwie i zostawiła córki pod opieką matki Mortęskiej. Aliści nie mogła pogodzić się z tym, że nad ich życiem żadnej już władzy nie ma, toteż wkrótce postanowiła zabrać je stamtąd i przenieść bliżej. Zofia matce się sprzeciwiła i nie pomogły ostre reprymendy ani nic nie wskórał nasłany jezuita. Nie mając zatem wyjścia, pani Sieniawska zgodziła się na profesję, jednak znacznie zmniejszyła przyobiecany posag. Gniewając się na klasztor, na ksienię i na Zofię, na ślubach nie była. Dwa tygodnie później młodsza Elżbieta zachorowała i umarła.

Marszałkowa nie poddała się i aby Zofię zabrać z konwentu chełmińskiego, postanowiła wystawić klasztor – w którym jako fundatorka mogłaby o wielu sprawach decydować – i uczynić Zofię jego ksienią. Wkrótce też w Sandomierzu jej kosztem stanęły drewniany kościół i dom dla mniszek. W 1615 r. przyjechały z Chełmna pierwsze zakonnice.

Przełożoną była Dorota Kamieńska, a Zofia została jedynie mistrzynią nowicjatu. Fundatorka zaś zaczęła od tego, że narzuciła siostrom spowiednika. Następnie domagała się, aby zakonnice używały brewiarza cysterskiego zamiast rzymskiego. Na koniec zaś zażądała odwołania Kamieńskiej i uczynienia przełożoną swojej córki. Magdalena Mortęska uległa naciskom, a Zofia przyjęła godność z obawą i płaczem. Nie miała talentów organizacyjnych i nie zawsze sobie radziła, choć była lubiana. W dodatku pani marszałkowa, mimo obowiązującej także ksienię klauzury, często wzywała córkę do siebie, a pod jej nieobecność w zgromadzeniu panowało bezhołowie.

Tatarzy też jej nie dali rady

W 1617 r. czambuł dotarł aż pod Łukę w halickim powiecie, gdzie natenczas rezydowała pani Sieniawska. Ona zaś jak raz była bez wojsk swoich, z kilkorgiem tylko służby. Gdy zrobiło się niebezpiecznie, uciekła za Dniestr i ukryła się na moczarach. Nadjechali Tatarzy i usiłowali zgarnąć ją w jasyr, widząc, że to ktoś znaczny, za kogo okup dobry będzie. Jeden na siodło chciał ją wciągnąć, ale że był wątłej postury, marszałkowa zaś mimo postów i umartwień ważyła sporo, więc nie zdołał, tym bardziej że się broniła. Ze złości ciął ją szablą raz i drugi, ale chybił. Pchnął wtedy sztychem i odjechał. Ona zaczęła krzyczeć głośno, wzywając opieki św. Michała. Krzyk ów usłyszał chłop, jej poddany, który po rzece czółnem płynął, a Michał mu było na imię. Poznał ją po głosie i pomyślał, że to jego woła. Podpłynął bliżej i wywiózł ją w bezpieczne miejsce. Po tych przejściach ciężko się rozchorowała, więc znów wezwała córkę. Tym razem Zofia przybyła do matki z wielką radością, gdyż do Sandomierza dotarły już wieści, jakoby marszałkowa dostała się w ręce Tatarów.

Po chorobie rządzimy dalej

Gdy pani doszła do siebie, zjechała do Sandomierza i zaczęły się z córką niesnaski. Szło o to, że ta zdaniem matki niezakonny żywot prowadzi i zbyt często wyjeżdża z klasztoru (jakby to ona sama jej ciągle do siebie nie wzywała). Jeszcze się nie podobało, że Zofia odesłała do Chełmna cztery siostry, które pragnęły wracać do macierzystego klasztoru, a matki się w tej kwestii nie spytała, tylko biskupa. Najgorsza zaś wojna poszła o to, że posądziła córkę, iż podmawia panów Sieniawskich, którzy jęli nastawać na budowę murowanego klasztoru i kościoła, uważając za dyshonor dla rodu, by krewna ich w byle jakim drewnianym domu była ksienią.

W pewnej chwili doszło do tego, że obie, i ksieni chełmińska, nieufająca w zdolności kierownicze młodej wszak Zofii, i marszałkowa, mająca do niej liczne pretensje, jednocześnie napisały do biskupa w sprawie usunięcia jej z przełożeństwa. Biskup jednakże napomniał panią Sieniawską, iż niesłusznie na córkę nastaje, bo sama ciągle się domaga, by ta przy niej była, a to przynosi szkody klasztorowi. Uznał też, że młoda ksieni poczyna sobie coraz sprawniej i oficjalnie zatwierdził jej wybór.

Santa subito?

Po tatarskiej przygodzie marszałkowa nie powróciła do dawnej kondycji i sił. Rychło też zmarła, a zgon nastąpił nagle, gdy jechała w karecie do Lublina dla poratowania zdrowia, naturalnie w towarzystwie córki.

Despotyzmem swym uprzykrzyła życie bliźnim, a mimo to umarła w opinii świętości, w teatralną emocjonalność epoki baroku dobrze się bowiem wpisywały spektakularne praktyki pobożnościowe i dzieła miłosierdzia oraz liczne hojne fundacje. Między innymi postawiła i wyposażyła kościół świętych Piotra i Pawła przy kolegium jezuitów we Lwowie, gdzie też ją uroczyście pochowano.

Nie została przez Kościół uznana za świętą, choć opowiadano o cudach, które za jej przyczyną ponoć miały miejsce. Otóż w klasztorze sandomierskim jedna zakonnica zapadła na febrę, a gdy pani marszałkowa rozkazała jej w imię Pana Jezusa Chrystusa, aby nie chorowała, febra ustąpiła. Podobnie uleczyła inną zakonnicę, cierpiącą z powodu żołądka. Znając charakter naszej bohaterki, można podejrzewać, iż do ozdrowień mogło dojść

Jezuici spisali i wydali żywot swojej fundatorki

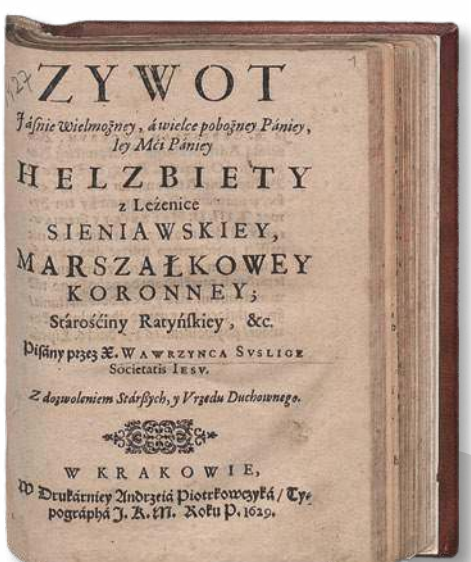
ZYWOT
Jáśnie Wielmożney, á wielce pobożney Pániey,
ley Mći Pániey
HELZBIETY
z Leżenice
SIENIAWSKIEY,
MARSZAŁKOWEY
KORONNEY;
Stárościny Ratyńskiey, &c.
Pisány przez X. WAWRZYNCA SVSLIGE
Societatis IESV.
Z dozwoleniem Stárszych, y Vrzędu Duchownego.
W KRAKOWIE,
W Drukárniey Andrzeia Piotrkowczyká / Typographá J. K. M. Roku P. 1629.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 88a0ab6d8b

KRZYSZTOF ŻARYN

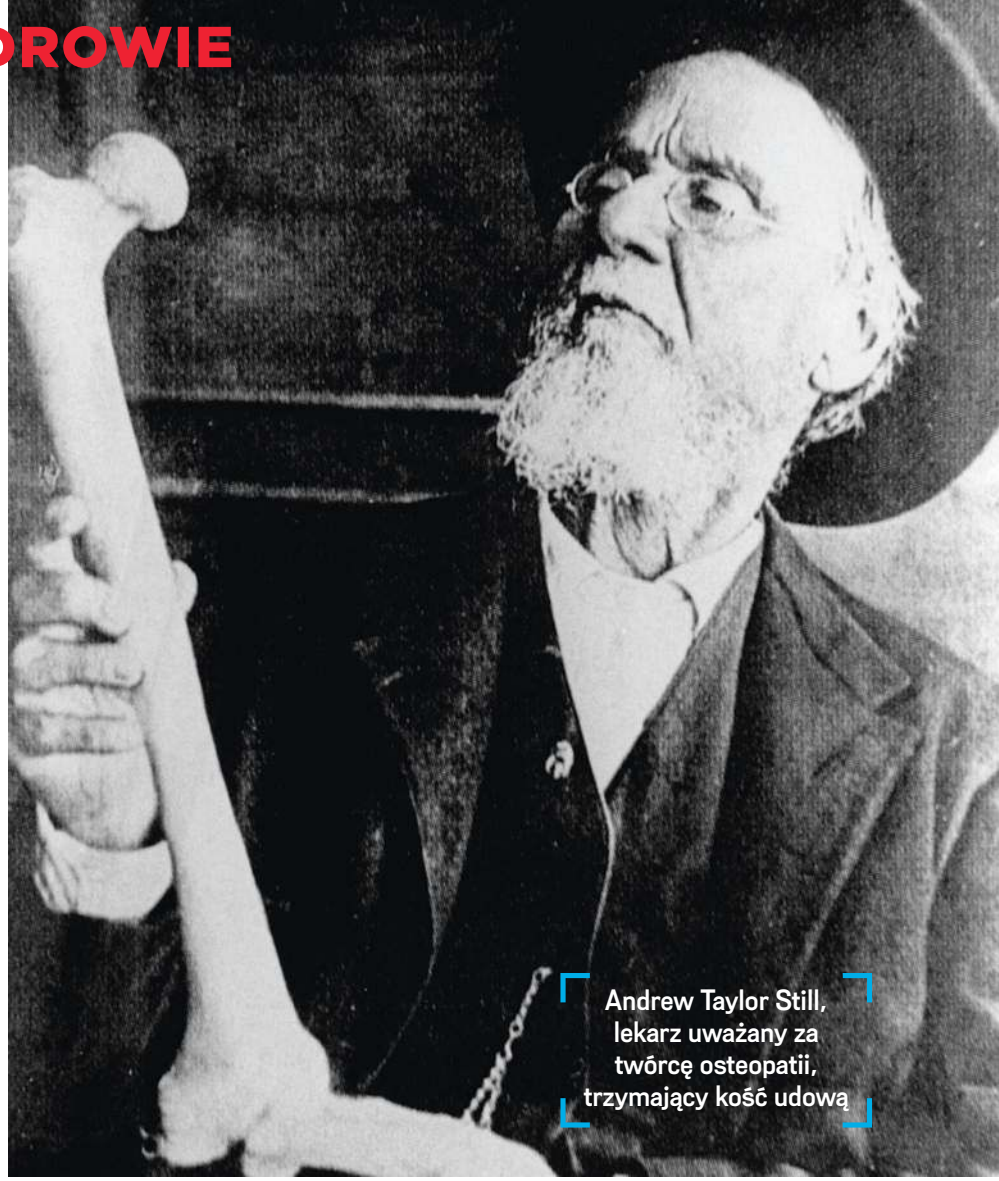

Andrew Taylor Still, lekarz uważany za twórcę osteopatii, trzymający kość udową

SYMPATIA DO KOŚCI

„JAK TRWOGA, TO DO BOGA". CHYBA KAŻDY ZNA TO PRZYSŁOWIE I NIERAZ WDRAŻAŁ JEGO SENS W ŻYCIE. RZECZYWIŚCIE W SYTUACJACH TRUDNYCH, GDY NASZE STARANIA NIE DAJĄ EFEKTU, A WSZELKA MOC NAS OPUSZCZA, RATUNKIEM MOŻE BYĆ MODLITWA... ALE NIE TYLKO

Tak samo dzieje się w medycynie. Nie zawsze zalecenia lekarskie są w stanie zmienić los chorego. Nie wszystko jeszcze na temat ludzkiego ciała wiemy. W takich sytuacjach lepiej oddać los w ręce Najwyższego, niż cierpieć z bezsilności. Jednak między realnym i skutecznym działaniem lekarzy a ową bezsilnością mamy również rozwiązania pośrednie. I jednym z nich może być opisywany dziś przeze mnie dział medycyny niekonwencjonalnej – osteopatia. Jest to model leczenia alternatywnego traktujący pacjenta holistycznie, czyli całościowo, przyglądający się z uwagą każdemu elementowi funkcjonowania organizmu ludzkiego. Jest to metoda oparta na palpacji, czyli badaniu dotykiem wykrywającym patologie i dysfunkcje tkanek oraz stawów, a także ich wpływ na stany chorobowe badanej osoby. U podstaw tej dziedziny nauki leży wiedza potrzebna m.in. do diagnozy i prowadzenia prawidłowego leczenia wad postaw, bólu kręgosłupa oraz wielu dolegliwości związanych z siedzącym trybem życia, którego powikłania stają się powoli chorobą cywilizacyjną.

Teoria całości

Dzieje powstania osteopatii nawiązują do przysłowia stanowiącego prolog tego artykułu. Etiologia tej dziedziny nauki wynika właśnie z braku skuteczności leczenia, z czym nie mógł się pogodzić Andrew Taylor Still – lekarz uważany za twórcę osteopatii. Autorzy opisujący drogę Amerykanina do wypracowania nowej dziedziny paramedycznej bardzo dużą rolę przypisują wychowaniu oraz wzorcom, jakie wpajał mu ojciec. Urodzony w Wirginii w 1828 r. Andrew Taylor Still był wychowywany przez praktykującego lekarza oraz pastora kościoła metodystów. Od początku nasz bohater obcował z tą wspólnotą. Jej głównym założeniem była chęć odnowy człowieka i jego ducha za pomocą wewnętrznego oczyszczenia zgodnie z wiarą oraz zasadami chrześcijaństwa. Socjalizacja w tak poukładanym społeczeństwie wiele mogła nauczyć – od prawidłowego podejścia

FOT. ANDREW STILL, AMERICAN OSTEOPATH / EAST NEWS

eprasa.pl 88a0ab6d8b

do człowieka po obserwacje wpływu jednostek na ogół. Doświadczenia te symbolicznie można przełożyć również na zasady funkcjonowania osteopatii, gdzie podstawową zasadą leczenia jest traktowanie ciała jako całości, na którą mogą wpływać podjednostki mające możliwość samonaprawy i regeneracji.

Ciężkie próby

Niestety jeżeli chodzi o pierwsze, czysto lekarskie, doświadczenia Stilla, nie można uznać ich za pozytywne. Nie dotyczą one jego praktyki medycznej, lecz tragedii, która spotkała jego najbliższych. W połowie XIX w. w Stanach Zjednoczonych panowała epidemia zapalenia opon mózgowych. Medycyna nie potrafiła sobie poradzić z panującym problemem, a choroba zbierała żniwo. Naszego bohatera zaraza dotknęła bardzo brutalnie. Dziesięć lat po zawarciu małżeństwa doktor stracił żonę, a w następnym roku troje z czworga dzieci. Nie pomogły próby leczenia ani zabiegi medyczne. Choroba kończyła się w najgorszy możliwy sposób. Dla młodego lekarza była to wielka tragedia, która dodatkowo zaszczepiła dużą dawkę wątpliwości co do skuteczności jego zawodu oraz zasadności stosowania rozmaitych leków. Był to wstęp do myślenia o nowych mechanizmach terapii, bez użycia leków chemicznych.

Te niewątpliwie trudne, lecz zarazem cenne doświadczenia duchowe i filozoficzne nauczyły go prawidłowego podejścia do pacjenta oraz myślenia o leczeniu. Samą wiedzę czysto medyczną pobierał na uniwersytecie, ale praktykę zdobył, biorąc udział w wojnie secesyjnej (1861--1865). Jako trzydziestoparoletni lekarz doświadczył najtrudniejszej szkoły życia, która musiała wyrobić hart ducha oraz determinację w poznawaniu arkanów sztuki lekarskiej. Medyk uczestniczył w setkach operacji, uratował ogromną liczbę pacjentów i miał możliwość wielu obserwacji z zakresu anatomii, która w tamtych czasach była dziedziną nauki dość słabo opisaną. Jeżeli chciało się mieć szeroką wiedzę na temat tajników ludzkiego ciała, to pobierać ją można było tylko w tak drastycznych okolicznościach jak szpital wojenny. Dużym problemem, z jakim zmagał się Andrew Taylor Still w czasie operacji w warunkach polowych, była mała dostępność leków, zwłaszcza tych uśmierzających ból. Jako środki anestezjologiczne stosowane były alkohol, opium i różne inne naturalne specyfiki. Brak chemicznych substancji czynnych wzmocnił jeszcze w lekarzu poczucie nieufności wobec medykamentów, które kiełkowało od czasu fatalnych doświadczeń rodzinnych.

Od teorii do praktyki

Still budował też dla swoich obserwacji mocną podbudowę teologiczną i filozoficzną. Już po zakończeniu wojny zaczął konstruować początkowe założenia nowej dziedziny lekarskiej. Amerykanin miał nieco ułatwione zadanie ze względu na czas i warunki, w jakich się znalazł. Po wojnie lekarze byli na wagę złota, a o ich usługi były bardzo trudno. Stanowiło to dobre podglebie dla praktyk uzdrawiających niewykonywanych bezpośrednio przez profesjonalistów. Z tego względu nowa dziedzina nauki medycznej, jaką miała stać się osteopatia, zyskiwała większe szanse na rozwój. Pierwsze kroki Andrew Taylora Stilla przypominały uzdrawianie metodami kręgarskimi. Doświadczenia uzyskane z praktyk medycznych i naśladownictwa nauczyły go technik naprawczych, które wpływały bezpośrednio na narząd ruchu. W tym okresie właśnie mógł sformułować podstawową zasadę osteopatii: naprawianie miejsca dotkniętego zmianami patologicznymi i pozostawienie do samoregeneracji. Według swego przekonania uaktywniał on tylko organizm do zdolności autonaprawy.

OSTEOPATIA NA STAŁE WDARŁA SIĘ DO NAUK MEDYCZNYCH, A JEJ NAZWA NARODZIŁA SIĘ W 1890 r. Z POŁĄCZENIA SŁÓW OZNACZAJĄCYCH KOŚCI ORAZ WZBUDZANIE SYMPATII

Tę cudowną moc przypisywał różnym fluidom krążącym po naszym organizmie, których obieg zostaje przerwany w momencie wystąpienia urazu.

Sukcesy

Za przełom w stosowaniu osteopatii uznać można wydarzenia z 1874 r. Po kilku latach praktyki związanej z leczeniem przez dotyk Still zmierzył się z przypadkiem małego dziecka, które cierpiało na chroniczną biegunkę. Jego techniki poprawy krążenia płynów ustrojowych doprowadziły do pobudzenia układu odpornościowego małego pacjenta, co poskutkowało zdecydowaną poprawą stanu zdrowia. Ten przypadek był niewątpliwie ważnym dowodem w sprawie racjonalności działań medyka nie mniej niż każdy z 17 innych. Dzięki tym wydarzeniom osteopatia na stałe wdarła się do nauk medycznych, a jej nazwa narodziła się w 1890 r. z połączenia słów oznaczających kości oraz wzbudzanie sympatii.

Dwa lata po nadaniu dziełu swego życia nazwy naukowiec założył szkołę osteopatii. Początkowo uczyło się tam 17 studentów. Z biegiem lat nowa dziedzina zaczęła się cieszyć coraz większą popularnością, co poskutkowało zorganizowaniem nawet stowarzyszenia zrzeszającego osteopatów i walczącego o prawa tegoż środowiska. Na Stary Kontynent spuścizna Stilla przypłynęła wraz z jego uczniem, Johnem Martinem Littlejohnem – który szybko założył brytyjską szkołę osteopatii.

Wraz z rozwojem medycyny i udowodnianiem skuteczności kolejnych leków stanowisko organizacji osteopatów względem medykamentów musiało się stopniowo ocieplać. Dzisiejsza filozofia osteopatii zdecydowanie współgra z leczeniem farmakologicznym, co było nie do pomyślenia na początku drogi, którą zapoczątkował Andrew Taylor Still.

Osteopatia okazała się bardzo przydatna w naszych czasach. Praca siedząca i ogólne zminimalizowanie codziennego ruchu bardzo mocno wpływają na pogłębiające się wady postawy. By wyleczyć te dolegliwości, zwłaszcza w zaawansowanym stadium, konieczna może być wizyta u specjalisty, który specjalnymi technikami uciskania oraz wskazanymi ćwiczeniami pomoże poradzić sobie z problemami.

Za inspirację do napisania tekstu dziękujemy panu Aleksandrowi Kłosiewiczowi

eprasa.pl 88a0ab6d8b

VICKERS 6-TON

Czołg Vickers 6-ton Mark E Type A służył w Wojsku Polskim od początku lat 30.

FOT. NAC

Z ZAŁOŻENIA VICKERSY 6-TON BYŁY PRZEZNACZONE NA SPRZEDAŻ, A NIE NA WŁASNY UŻYTEK RODZIMEJ ARMII

KACPER GROCHOCKI

Po I wojnie światowej na całym świecie nastąpił prężny rozwój konstrukcyjny czołgów jako nowego rodzaju broni. Była to okazja dla wielu zakładów zbrojeniowych, by zarobić na powstałym zapotrzebowaniu ze strony armii. Szczególnie dużo do zyskania miały przedsiębiorstwa w krajach rozwiniętych przemysłowo, a zarazem zwycięskich w wielkiej wojnie – Francji, Wielkiej Brytanii i USA. Z jednej strony kontrahentem tego typu zakładów była rodzima armia, lecz równocześnie pojawiało się zainteresowanie ich produktami z państw o mniejszym potencjale gospodarczym. Przykładem takiej firmy był angielski Vickers.

Przedsiębiorstwo to w 1928 r. opracowało prototyp czołgu, którym armia brytyjska nie wyraziła zainteresowania, a zatem bezproblemowo mógł zostać przeznaczony na eksport. Po przejściu testów i poprawek wóz był gotowy do sprzedaży do 1930 r. jako Vickers 6-ton Mark E. Potencjalni kupcy mogli nabyć modele wzorcowe, dokumentację techniczną i prawa licencyjne do własnej produkcji lub nawet całe serie gotowych maszyn. Konstrukcja była prosta i nie wymagała zaawansowanych fabryk do budowy pojazdu, wobec czego pojawiło się wielu chętnych do jej zakupu.

Wśród zainteresowanych czołgiem Vickers było także Wojsko Polskie, w którym od połowy lat 20. chciano rozpocząć proces modernizacji wojsk pancernych. Pod uwagę brano również konstrukcje francuskie i amerykańskie. Wóz francuski okazał się jednak nieudany, Amerykanie zaś zwlekali z realizacją kontraktu, który ostatecznie zerwali. Prawdopodobnie wynikało to z prowadzonych równocześnie rozmów z Sowietami, to oni bowiem finalnie zakupili w USA czołg, na którego bazie powstały później w ZSRR pojazdy typu BT. Wobec fiaska poszukiwań w innych krajach Wojsko Polskie wróciło do rozmów z Brytyjczykami, które sformalizowano umową we wrześniu 1931 r.

Czołg Vickers 6-ton Mark E zaprojektowano w trzech wariantach – Type A, B oraz C. Były to odpowiednio wozy: dwuwieżowy uzbrojony w dwa karabiny maszynowe, jednowieżowy uzbrojony w armatę kal. 47 mm i karabin maszynowy oraz dwuwieżowy uzbrojony w dwa działa kal. 37 mm. W wariancie jednowieżowym po raz pierwszy zastosowano sprzężenie uzbrojenia głównego z karabinem maszynowym. Załoga, niezależnie od wersji, składała się z trzech osób – kierowcy, dowódcy-strzelca i ładowniczego (model jednowieżowy) bądź strzelca drugiej wieży (model dwuwieżowy). Wóz ważył niespełna 7,5 t, a pancerz osiągał grubość od 5 do 13 mm. Całość była napędzana silnikiem benzynowym o mocy 80 KM pozwalającym na osiągnięcie maksymalnej prędkości rzędu ok. 35 km/h i zasięg na drogach bitych ok. 160 km.

Polska nabyła 38 czołgów w wersji A, części zamienne do nich, a także licencję na własną produkcję. Wozy partiami trafiały nad Wisłę do 1933 r. Szybko zdecydowano się na przezbrajanie maszyn, najpierw montując w nich nkm-y kal. 13,2 mm, a następnie stare, francuskie armaty kal. 37 mm. Kiedy okazało się to niewystarczające, zamówiono z Wielkiej Brytanii dodatkowe wieże z działami kal. 47 mm i przebudowywano czołgi na wersje jednowieżowe. Później nie decydowano się już na dalszą modernizację Vickersów, lecz użyto licencji jako bazy do produkcji własnego, ulepszonego pojazdu, jakim był 7TP.

Oprócz Polski czołgi Vickers 6-ton Mark E kupiło kilka innych państw. ZSRR nabyło kilkanaście oryginalnych maszyn od Brytyjczyków i licencję, dzięki której powstały wozy T-26 (ich produkcja przekroczyła 10 tys. sztuk). Ponadto trafiły one do Grecji, Boliwii, Finlandii, Chin, Tajlandii, Portugalii i USA.

Choć nie była to wyjątkowo udana maszyna, Vickers 6-ton był ważną konstrukcją dla rozwoju czołgów. Stanowił ciekawe rozwinięcie koncepcji z I wojny światowej oraz element przejściowy na drodze do bardziej zaawansowanych pojazdów. Najczęściej wóz ten traktowany był jako obiekt badań i źródło inspiracji, dzięki czemu na jego bazie powstawały nowe projekty, często dużo lepsze niż wersje oryginalne.

eprasa.pl 88a0ab6d8b

KURICA Z MATKĄ BOSKĄ

W ZASOBACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJE SIĘ DOŚĆ CIEKAWY EKSPONAT. TO NALEŻĄCY DO NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA ORZEŁ WZ. 43 Z PRZYCZEPIONYM DO NIEGO WIZERUNKIEM MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

RAFAŁ BRODACKI

W 1943 r., wobec ewakuacji z „nieludzkiej ziemi” żołnierzy pod dowództwem gen. dyw. Władysława Andersa, na Kremlu zapadła decyzja o sformowaniu jednostek polskich walczących z Niemcami u boku Armii Czerwonej. Żołnierze ci otrzymywali umundurowanie podobne do tego używanego w przedwojennym Wojsku Polskim. Nosili też stopnie i odznaczenia nawiązujące do tych obowiązujących w II RP.

Ustalenia te nie dotyczyły orłów. Zrywając z tradycją przedwojenną, Janina Broniewska zaprojektowała orła wzorowanego na tym umieszczonym na nagrobku króla Władysława Hermana w katedrze płockiej. Orzeł wz. 43, nazywany też piastowskim, ma rozpostarte skrzydła i głowę skierowaną w prawą stronę. Żołnierze nazywali go prześmiewczo kuricą (ros. kura).

Przyglądając się bliżej prezentowanemu orłowi, można dostrzec wyraźnie zarysowany tułów. Jest to więc jeden z wariantów produkowanych od czerwca 1943 r. do lipca 1944 r. w fabrykach Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, dlatego często określa się je moskiewskimi. Produkowane bowiem od lipca 1944 r. w zajętym przez Armię Czerwoną Świdniku orły „lubelskie” nie posiadały wyraźnie zaakcentowanego tułowia i miały nieco inny kształt głowy.

Orzeł najpewniej należał do jednego z żołnierzy 2. batalionu 6. pułku piechoty 2. Dywizji Piechoty 1. Armii Wojska Polskiego. Jego nazwisko i stopień są nieznane. Wiadomo jedynie, że najpewniej urodził się w Zamościu. Musiał otrzymać ten emblemat pomiędzy 19 sierpnia 1943 r. (kiedy sformowano 6. pułk piechoty) a lipcem 1944 r. Mógł więc być jednym z Polaków, którzy opuścili sowieckie łagry wraz 1. Armią WP. Wtedy przeszedłby jej szlak bojowy, obejmujący Smoleńsk, gdzie 2. Dywizja ześrodkowała się w styczniu 1944 r., by w ciągu następnych miesięcy przez tereny Wołynia dotrzeć na Lubelszczyznę. Chełm osiągnięto 24 lipca. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. żołnierzom z 2 DP przyszło walczyć pod Dęblinem i Puławami. Potem zaś, na przełomie sierpnia i września, bili się na przyczółku warecko-magnuszewskim. W połowie września 1944 r. zostali przerzuceni do prawobrzeżnej Warszawy.

Ten sam żołnierz zapewne wykonał otwory w skrzydłach orła służące do przyszycia emblematu do czapki. Tego rodzaju nieregulaminowe przeróbki były dość powszechną praktyką, zastępując fabryczne zaczepy zniszczone w toku użytkowania. On też zapewne przyczepił na piersi orła medalik z Matką Boską.

Według relacji darczyńcy, Jana Rybaka, bezpośrednio po zdobyciu Pragi, jego mieszkanie przy al. Waszyngtona 77 zostało zajęte na kwaterę przez żołnierzy z 6. pułku piechoty. 16 września 1944 r. jeden z nich podarował mu na pamiątkę opisywanego orła z wizerunkiem Matki Boskiej. Następnie dołączył do reszty oddziału, który właśnie luzował Sowietów na Pelcowiźnie i przygotowywał się do przeprawy na drugi brzeg Wisły, by wesprzeć powstańców na Żoliborzu.

Pomiędzy 17 a 20 września 1944 r. na lewy brzeg przeprawili się żołnierze 2. batalionu 6. pułku piechoty. Na Kępie Potockiej uwikłali się w ciężkie walki z Niemcami i ponieśli bardzo duże starty. Prawdopodobnie jednym z poległych był właściciel wzmiankowanego orła. W 2009 r. Jan Rybak przekazał pamiątkę po nieznanym żołnierzu 1. Armii WP do Muzeum Powstania Warszawskiego.

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

Przygotowania na planie zdjęciowym: (od lewej) Cezary Pomykało, Artur Brewczuk, Tomasz Książek, Gracjan Strzelecki, Michał Korsun, Michał Kępiński, Grzegorz Stój

Lokalizacja Rzeczypospolitej w geopolitycznej strefie zgniotu na przestrzeni dziejów zawsze gwarantowała nam wybuchowe niespodzianki.

17 września, wywiązując się z tajnych ustaleń paktu Ribbentrop-Mołotow, ZSRR uderzyło na Polskę. Granicę naszej ojczyzny przekroczyło blisko milion czerwonoarmistów, wbijając wykrwawionej Polsce nóż w plecy. Opór stawiają nieliczne oddziały, ale są bez szans. Oba zbrodnicze mocarstwa spotykają się 22 września w Brześciu nad Bugiem, kilkanaście dni później wobec biernej postawy Zachodu Rzeczpospolita kapituluje. Niemcy i Związek Radziecki dokonują tym samym zbrojnego, czwartego rozbioru Polski. Jak na złość niektórych „pożytecznych historyków" negujących haniebny atak ZSRR, z pamiętnego spotkania armii niemieckiej i sowieckiej zachowały się zdjęcia i filmy, na których uśmiechnięci oficerowie ściskają swoje dłonie, prości żołnierze częstują się papierosami i udają, że rozmawiają. Co to musiała być za niezręczna sytuacja, gra pozorów i dobrych manier. To właśnie jedno z „kultowych" zdjęć, na których generałowie Mauritz von Wiktorin i Heinz Guderian oraz kombrig Siemion Kriwoszein odbierają wspólną defiladę Wehrmachtu i Armii Czerwonej, zainspirowało mnie do odtworzenia podobnej sceny, z tą różnicą, że na pierwszy plan wbija się pijany sołdat. W jego rolę wcielił się świetny Artur Brewczuk, który cierpliwie powtarzał dziesiątki razy „wtaczanie się" z samogonem. Równie cierpliwie powstrzymywał go Gracjan „Wilk" Strzelecki. Kurtuazyjną rozmowę w mundurze NKWD prowadzi Grzegorz Stój, a w niemieckich mundurach Michał Kępiński i (paradoksalnie) Krzysztof Dworenko-Dworkin. Tomasz Książek zagrał fotografa dokumentującego ten historyczny moment. W realizacji sesji pomogła niezastąpiona agencja artystyczna Retro-Pasje.

3 sierpnia minęła 75. rocznica zdobycia przez żołnierzy Batalionu „Chrobry I" niemieckiego posterunku żandarmerii Abschmitt-Wache-Nord mieszczącego się na rogu ulic Chłodnej i Żelaznej. Z tej okazji w autentycznej lokalizacji odbyły się oficjalne uroczystości oraz wyjątkowa i wzruszająca inscenizacja historyczna, w której wzięło udział 120 rekonstruktorów ze Stowarzyszenia Grupy Historycznej Zgrupowanie Radosław, GRH Ludności Cywilnej wraz z GRH Warszawskie Dzieci, GSH Świdnica, GRH Ludności Cywilnej „Rajski Ptak" z Tłuszcza, GRF Bemowo, GRH Grenadiere, GRH Pionier 39, GRH 44 Division Hoch und Deutchmeister oraz hiszpańskiej „Poland First to Fight". Współorganizatorami powyższego wydarzenia były: Środowisko Batalionu „Chrobry I", Wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska oraz SGH „Zgrupowanie Radosław". W uroczystościach wzięli udział kombatanci, przedstawiciele władz, warszawiacy i turyści.

MICHAŁ KORSUN, GRZEGORZ KRYNICKI

Michał Kępiński coś mówi...

Bratnia pomoc. Od lewej: Krzysztof Dworenko-Dworkin oraz Grzegorz Stój

Artur Brewczuk, rekonstruktor z aktorskim zacięciem

Grzegorz Krynicki – scenarzysta i koordynator rekonstrukcji

W środku Małgorzata Retkowska – założycielka GRH Ludności Cywilnej

Krysia, lat 3

Warszawscy powstańcy prosto ...z Hiszpanii („Poland First to Fight")

Jacek Gradus (SHE im. 7. Pułku Lansjerów Nadwiślańskich)

Damian Parzelski (GRF Bemowo) w roli Oskara Dirlewangera

Na Chłodnej zaroiło się od Niemców. Po prawej działo szturmowe StuG III od Team Sdkfz

Marcin Chojecki (GRF Bemowo) z małżonką i synem

Na widowni członkowie GRH Batalionu Czata '49 z Gdańska

Miłość wszystko zwycięży! Jan Królak i Diana Ryściuk

MATKA MŚCISŁAWA

Siedzę w pełnym życia parku. Wszystko wokoło rozkwitło zielenią, rodziny nieśpiesznie spacerują alejkami, z placu zabaw dobiegają odgłosy bawiących się dzieci. Pomiędzy drzewami przemyka wiewiórka, a z ich koron słychać ptasie trele.

Dokładnie 75 lat temu ten teren i większość warszawskiej Woli przedstawiały zgoła odmienny krajobraz. Nikomu nawet do głowy nie przychodziło, że taka sielanka może w ogóle istnieć. Takie myśli skutecznie blokowało rozszalałe wokół piekło. 5 sierpnia 1944 r., piątego dnia Powstania Warszawskiego, Niemcy wspomagani przez artylerię i lotnictwo przypuścili szturm na Wolę. Gorzej uzbrojeni powstańcy nie byli w stanie długo opierać się nawale wroga, pod naciskiem wycofywali się w głąb miasta. W każdym zdobytym kwartale, w każdym budynku Niemcy i kolaborujący z nimi renegaci ze wschodu, z przechodzącym wszelkie wyobrażenia bestialstwem wykonywali zbrodnicze rozkazy Hitlera i Himmlera nakazujące zniszczenie Warszawy i jej mieszkańców, „zniszczenie dziesiątków tysięcy", „zabicie wszystkich, którzy wejdą pod lufy, zakaz brania jeńców". Znany z sadyzmu Oskar Dirlewanger, dowódca specjalnej karnej jednostki SS przeznaczonej do zwalczania partyzantów, otrzymał od Himmlera pełnomocnitwo do „zabijania kogo zechce, według swojego upodobania". Cała Wola spłynęła krwią niewinnych. Cywile ginęli od kul, granatów, ciosów bagnetami i kolbami, w płomieniach – w domach, w piwnicach, na podwórkach, na ulicach, w kościołach, na placach i terenach fabrycznych. Nie oszczędzano nikogo, żołdacy mordowali zarówno dzieci, jak i starców, kobiety w ciąży i przede wszystkim mężczyzn, bez znaczenia, czy byli to księża, lekarze, sanitariuszki czy pacjenci szpitali...

Zwerbowani pod groźbą rozstrzelania Polacy (tzw. Verbrennungskommando) układali ciała w stosy, których rozmiary sięgały do 35 m długości, 20 m szerokości i 2 m wysokości. Stosy te następnie były palone. Oczywiście tylko bardzo niewielu Polaków z tych przymusowych komand pracy przeżyło. Rzeź na Woli przybrała takie rozmiary, że wśród obserwujących ją niemieckich żołnierzy zanotowano przypadki załamania nerwowego.

O tych wydarzeniach przypomina umieszczona w Parku Powstańców Warszawy plenerowa wystawa „Zachowajmy ich w pamięci" w formie podświetlanych kolumn z zapisanymi na nich adresami, liczbą zabitych i czasami ich nazwiskami. Spośród ofiar rzezi Woli, sięgających nawet 65 tys. osób, mniej niż połowa została zidentyfikowana. Muzeum Powstania Warszawskiego cały czas przyjmuje relacje świadków, mogące pomóc w przywracaniu tożsamości tym ludziom.

Trochę na uboczu wystawy, od maja 2017 r. stoi pomnik matki powstały z inicjatywy pani Wandy Traczyk-Stawskiej. Upamiętnia on wszystkie matki skrzywdzone przez Niemców w czasie okupacji. Na jego podstawie w czterech językach, po polsku, rosyjsku, hebrajsku i niemiecku, widnieje napis „MATKA".

Trudno wartościować krzywdę, jednak jedną z najciężej doświadczonych matek była Wanda Lurie, nazywana też Polską Niobe. Mieszkała na Woli, 5 sierpnia 1944 r., będąc w bardzo zaawansowanej ciąży została wraz z trójką jej dzieci zapędzona przez Niemców na teren fabryki Ursus przy ul. Wolskiej 55. Błagała Niemców o ocalenie jej dzieci, próbowała wykupić je trzema złotymi pierścionkami. Wręczone kosztowności nie odmieniły ich losu. Jej dzieci zginęły w masowej egzekucji. Ona sama otrzymała w sumie sześć postrzałów – w kark i twarz oraz w nogi. Upadła na ziemię, a na nią padały kolejne ciała. Konała dwa dni. Trzeciego, gdy już jej siły życiowe gasły, poczuła ruchy jej jeszcze nienarodzonego dziecka. Nadludzkim wysiłkiem wygrzebała się spod zwałów trupów, wtedy odnalazła też ciała trójki swoich dzieci. Niemcy ponownie ją pojmali. Jednak w tych dniach obowiązywał ich rozkaz nierozstrzeliwania kobiet (nie ze względów humanitarnych, dowództwo niemieckie stwierdziło, że żołnierze zajęci gwałtami są mniej wydajni w walce, a powstańcy z tego powodu bardziej zaciekli w obronie). Dzięki temu rozkazowi ocalała również moja babcia. Wanda Lurie została zabrana do kościoła św. Wojciecha przy ul. Wolskiej, gdzie znajdował się obóz przejściowy (upamiętniają to obecnie freski w świątyni), a następnie przewieziona do obozu Durchgangslager 121 w Pruszkowie. Tam po 15 dniach od straty dzieci, 20 sierpnia, urodziła syna, któremu nadała imię Mścisław. Sama przeżyła wojnę, a jej zeznania złożone przed Komisją Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie są bezcennym świadectwem piekła, jakie Niemcy stworzyli w naszej stolicy. Zmarła 21 maja 1989 r., jest pochowana na cmentarzu Bródnowskim. Mścisław Lurie, doktor nauk chemicznych, przez całe życie pielęgnował pamięć ofiar rzezi Woli. Zmarł 22 czerwca 2018 r.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 88a0ab6d8b

ZNISZCZENIE POMNIKA CHOPINA W WARSZAWIE

ROBERT SZCZEŚNIAK

Jest rok 1944. Patrol AK pod dowództwem Wacława Kazimierczaka ps. Krzysztof szuka na ulicach warszawskiego Okęcia okazji do zdobycia broni. W końcu szczęście im dopisuje. Na drodze akowców pojawia się niemiecki żołnierz. Próbuje stawić opór i chwyta za wycelowaną broń. Pada strzał, Niemiec ginie. Oprócz broni patrol zabiera zabitemu teczkę z różnymi dokumentami oraz zbiorem fotografii. Po 75 latach od tego wydarzenia zdjęcia trafiły do zasobu Instytutu Pamięci Narodowej. Wśród wielu fotografii, przedstawiających m.in. zniszczenia Warszawy we wrześniu 1939 r., znajduje się zdjęcie wysadzonego pomnika Fryderyka Chopina w Warszawie.

Pomysł upamiętnienia wybitnego polskiego kompozytora pojawił się w 1876 r., jednak dopiero w 1901 r. car Mikołaj II wyraził zgodę na utworzenie komitetu budowy pomnika. Po wielu bojach z carskimi urzędnikami ostatecznie w 1914 r. przystąpiono do realizacji projektu przygotowanego przez Wacława Szymanowskiego. Wybuch I wojny światowej uniemożliwił wzniesienie pomnika. Do koncepcji powrócono po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ostatecznie 14 listopada 1926 r. pomnik Fryderyka Chopina stanął w warszawskich Łazienkach. Szybko stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych monumentów stolicy.

Kampanię wrześniową pomnik przetrwał w stanie nienaruszonym. Kiedy późną jesienią 1939 r. sąsiadujący z Łazienkami Belweder został wybrany na warszawską rezydencję Generalnego Gubernatora Hansa Franka, władze okupacyjne zamknęły park dla warszawiaków, odcinając tym samym dostęp do pomnika. To właśnie z polecenia Hansa Franka pomnik polskiego kompozytora został zniszczony jako jeden z pierwszych w Warszawie.

Pretekstem stała się wydana w kwietniu 1940 r. odezwa Generalnego Gubernatora wzywająca do zbiórki metali na potrzeby zbrojeniowe armii niemieckiej. Nim władze miejskie mogły zareagować, Hans Frank wydał polecenie zniszczenia pomnika, twierdząc, że jest brzydki i psuje wygląd Łazienek. 31 maja 1940 r. 16-tonowy odlany z brązu pomnik Chopina został wysadzony, a następnie pocięty na mniejsze kawałki i koleją wywieziony do hut III Rzeszy. Jednocześnie Niemcy przystąpili do niszczenia zebranych w polskich muzeach kopii pomnika, co świadczy o tym, że przyczyną jego usunięcia były względy nie tylko estetyczne.

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Kwietniowa odezwa Hansa Franka, jak się okazało, była sygnałem do skoordynowanej akcji niszczenia pomników na terenie GG oraz rozpoczęciem kolejnego etapu wykorzeniania polskiej kultury. Pod koniec 1940 r. władze okupacyjne przesłały do Zarządu Miasta Warszawy pismo z poleceniem usunięcia i przekazania na złom innych pomników, m.in. Adama Mickiewicza i Jana Kilińskiego. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu i często skomplikowanym zabiegom ratusza niemal wszystkie przetrwały do wybuchu Powstania Warszawskiego.

14 maja 1958 r., po 18 latach od zniszczenia i kilku latach żmudnych prac rekonstrukcyjnych, pomnik Fryderyka Chopina powrócił na swoje miejsce w Łazienkach.

FOT. IPN

Autoryzowana

eprasa.pl/88a0ab6d8b

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu
na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl 88a0ab6d8b